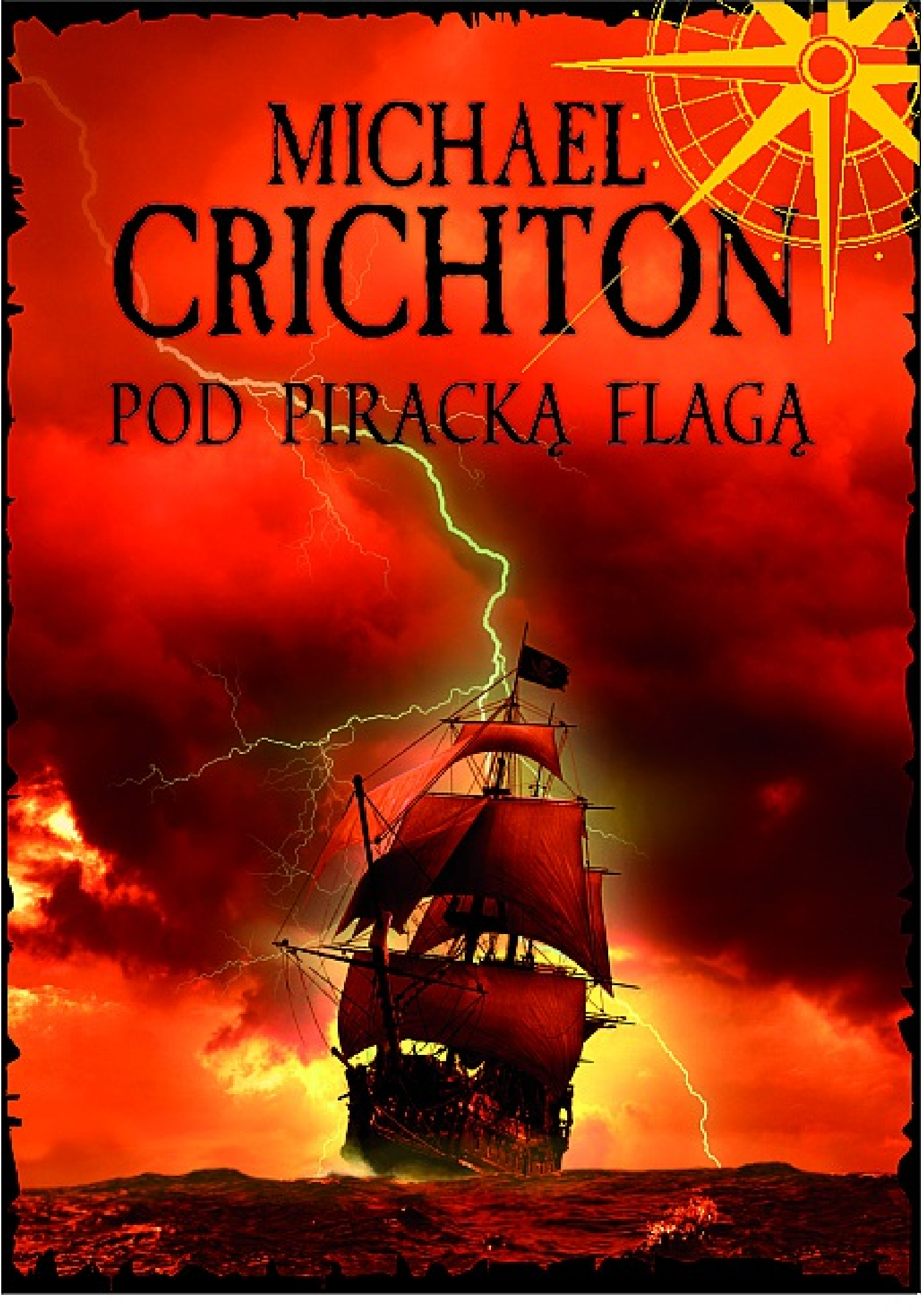


# MICHAEL CRICHTON

POD PIRACKĄ FLAGĄ



**MICHAEL CRICHTON**

**POD  
PIRACKĄ  
FLAGĄ**

*Z angielskiego przełożyła DANUTA GÓRSKA*

# Część I

## PORT ROYAL

### Rozdział 1

Sir James Almont, gubernator Jamajki mianowany przez Jego Wysokość Karola II, zazwyczaj wczesnie wstawał. Po części stanowiło to nawyk podstarzałego wdowca, po części skutek bezsenności wywołanej przez bolesną podagrę, a po części ustępstwo na rzecz klimatu kolonii, gdzie wkrótce po wschodzie słońca robiło się gorąco i wilgotno.

Ranek 7 września 1665 roku nie różnił się od innych. Sir James zbudził się w swoich komnatach na drugim piętrze rezydencji gubernatorskiej i od razu podszedł do okna, żeby sprawdzić, jaka będzie pogoda tego dnia. Pałac gubernatora był imponującą ceglana budowla z dachem krytym czerwonymi dachówkami. Był również jedynym dwupiętrowym budynkiem w Port Royal i gubernator miał stąd doskonały widok na całe miasto. Na ulicach w dole widział latarników, którzy z końcem nocy wykonywali obchód, gasząc uliczne latarnie. Na Ridge Street poranny patrol garnizonowych żołnierzy zbierał walających się w błocie pijaków i trupy. Tuż pod oknem przejechał z łoskotem pierwszy woziwoda w płaskim, ciągniętym przez konie wozie wypełnionym beczkami świeżej wody z odległej o kilka mil Rio Cobra. Poza tym w Port Royal panowała cisza, krótki okres spokoju pomiędzy chwilą, kiedy ostatni z wrzaskliwych nocnych pijaków padł nieprzytomny, a początkiem porannej handlowej krzątania w dokach.

Gubernator przeniósł wzrok z wąskich, ciasnych uliczek miasta na zatokę i

ujrzał las rozkołysanych masztów, setki statków różnej wielkości przycumowanych do nabrzeża i wciągniętych do doków. Dalej, na morzu, zobaczył angielski bryg handlowy zakotwiczony na zatoce za ławicą koralową, w pobliżu rafy Rackhama. Niewątpliwie statek przyplłynął w nocy i kapitan przezornie wolał poczekać na świt, zanim przybił do przystani w Port Royal. Na oczach gubernatora w blasku wstającego dnia rozwinięto marsie, a od brzegu w pobliżu Fort Charles odbiły dwie szalupy, żeby pomóc w holowaniu statku handlowego do portu.

Gubernator Almont, znany wśród miejscowych jako „James Dziesiąty”, ponieważ skrupulatnie odprowadzał jedną dziesiątą zysków z wypraw korsarskich do swojej szkatuły, odwrócił się od okna i pokuśtykał na obolalej nodze przez pokój, żeby dokonać toalety.

Natychmiast zapomniał o statku handlowym, ponieważ tego szczególnego ranka miał do spełnienia przykry obowiązek asystowania przy egzekucji.

W poprzednim tygodniu żołnierze ujęli pewnego francuskiego bandytę nazwiskiem LeClerc, oskarżonego o dokonanie pirackiego napadu na osadę Ocho Rios, na północnym brzegu wyspy.

Na podstawie zeznań kilku świadków, którzy przeżyli napad, LeClerc został skazany na śmierć na publicznej szubienicy na High Street. Gubernator Almont nie interesował się szczególnie ani Francuzem, ani jego losem, musiał jednak uczestniczyć w egzekucji jako przedstawiciel władz. Zapowiadał się nużący, oficjalny poranek.

Do pokoju wszedł Richards, służący gubernatora.

– Dzień dobry, wasza ekscelencjo. Oto pańskie bordo.

Podał kieliszek gubernatorowi, który natychmiast opróżnił go jednym haustem. Richards rozstawił przybory toaletowe: misę ze świeżą wodą różaną, następną wypełnioną roztartymi jagodami mirtu i trzecią małą miseczkę proszku do zębów, obok której położył ściereczkę. Gubernator Almont rozpoczął ablucje przy akompaniamencie syczenia perfumowanych miechów, za pomocą których Richards co rano odświeżał powietrze w pokoju.

– Ciepły dzień jak na wieszanie – skomentował służący.

Sir James chrząknął twierdząco, nakładając na rzadniejące włosy pastę z

jagód mirtu. Miał pięćdziesiąt jeden lat i łysiał od dekady. Nie był specjalnie próżnym człowiekiem – zresztą i tak zwykle nosił kapelusze – więc łysina tak bardzo go nie przerażała. Niemniej stosował różne środki, żeby zahamować wypadanie włosów. Już od kilku lat upodobał sobie jagody mirtu, tradycyjne lekarstwo zalecane przez Pliniusza. Używał również maści z oliwy, popiołu i dżdżownic, żeby zapobiegać siwiźnie. Ale ta mikstura tak cuchnęła, że sięgał po nią rzadziej, niż powinien.

Gubernator spłukał włosy wodą różaną, wytarł głowę ręcznikiem i przejrzał się w lustrze.

Jako najwyższy rangą urzędnik w kolonii Jamajka cieszył się przywilejem posiadania najlepszego lustra na wyspie. Miało prawie stopę kwadratową powierzchni i doskonałą jakość, bez żadnych skaz czy nierówności. Przesłano je przed rokiem z Londynu dla jakiegoś kupca w mieście i Almont skonfiskował je pod jakimś pretekstem. Nie był ponad takie rzeczy i w istocie czuł, że swoim aroganckim postępowaniem wzbudził wręcz szacunek społeczności. Jak ostrzegał go w Londynie poprzedni gubernator, sir William Lytton, Jamajka była „rejonem nieobciążonym nadmiarem moralności”. Sir James często przywoływał ten zwrot w następnych latach – niedopowiedzenie sformułowane tak trafnie. Sam sir James nie miał daru wymowy: był szczery aż do przesady i obdarzony cholerycznym temperamentem, za który obwiniał podagrę.

Patrząc teraz na siebie w lustrze, zauważył, że musi udać się do balwierza i przystrzyc brodę.

Sir James nie był przystojnym mężczyzną, dlatego nosił długą brodę, żeby zamaskować swoją „szczurzo-ptasią” fizjonomię.

Chrząknął do swojego odbicia i przeniósł uwagę na zęby. Zanurzył zwilżony palec w paście ze sproszkowanej głowy królika, skórki granatu i kwiecica brzoskwini. Energicznie tarł zęby palcem, nucąc pod nosem.

Przy oknie Richards wyjrzał na nadpływający statek.

– Podobno ten statek handlowy to *Godspeed*, panie.

– Ach tak? – Sir James wypłukał usta wodą różaną, wypłuł ją i wytarł zęby ściereczką.

Była to elegancka ściereczka do zębów z Holandii, czerwony jedwab

obrębiony koronką.

Miał cztery takie ściereczki, kolejna drobna korzyść z jego pozycji w kolonii. Ale jedną już zmarnowała bezmyślna służąca, która wyprała ją na tubylczy sposób, tłukąc kamieniami i niszcząc delikatną tkaninę. Służba była tu fatalna. Sir William o tym również wspominał.

Richards stanowił wyjątek. Richards to był skarb, nie służący, Szkot, ale czysty, lojalny i stosunkowo godny zaufania. Ponadto skrupulatnie przekazywał miejskie plotki i relacje o wydarzeniach, które w przeciwnym razie mogłyby nigdy nie trafić do ucha gubernatora.

– *Godspeed*, powiadasz?

– Tak jest, wasza ekscelencjo – potwierdził Richards, wykładając na łóżku garderobę sir Jamesa na ten dzień.

– Czy mój nowy sekretarz jest na pokładzie?

Według depechy z zeszłego miesiąca *Godspeed* miał przywieźć nowego sekretarza gubernatora, niejakiego Roberta Hackletta. Sir James nigdy nie słyszał o tym człowieku i nie mógł się doczekać, żeby go poznać. Musiał sobie radzić bez sekretarza przez osiem miesięcy, odkąd Lewis zmarł na dyzenterię.

– Przypuszczam, że tak – odpowiedział Richards.

Sir James nałożył makijaż. Najpierw rozproszził podkład – biel ołowianą z octem – żeby uzyskać modną bladość twarzy i szyi. Potem pomalował usta i policzki czerwonym barwnikiem z morszczyku i ochry.

– Czy zażadasz odłożenia egzekucji, panie? – zapytał Richards, podając gubernatorowi leczniczy olej.

– Nie, raczej nie.

Almont skrzywił się, przełykając pełną łyżkę. To był olej z rudego psa, sporządzony przez Milanera w Londynie i znany jako skuteczny lek na podagrę. Sir James zażywał go sumiennie co rano.

Potem się ubrał. Richards słusznie wyłożył najlepszy oficjalny strój gubernatora. Najpierw sir James przywdział cienką białą tunikę, potem bladobłękitne pończochy. Następnie zielony aksamitny dublet, sztywno pikowany i niemilosiernie grzejący, ale konieczny przy wypełnianiu oficjalnych obowiązków. Najlepszy kapelusz z piórami dopełnił stroju.

Wszystko to zajęło niemal godzinę. Przez otwarte okna gubernator słyszał wczesną poranną krzątanicę i krzyki budzącego się miasta.

Cofnął się o krok, żeby Richards mógł go ocenić. Służący poprawił krezę przy szyi i kiwnął głową z satysfakcją.

– Komandor porucznik Scott czeka z powozem, wasza ekscelencjo – oznajmił.

– Bardzo dobrze – pochwalił sir James.

Następnie powoli, czując przy każdym kroku ukłucia bólu w lewym dużym palcu u nogi i zaczynając już się pocić w grubym, ozdobnym dublecie, z kosmetykami spływającymi po bokach twarzy i uszach, gubernator Jamajki zszedł po schodach swojej rezydencji do powozu.

## Rozdział 2

Dla chorego na podagrę nawet krótka jazda powozem po ulicach brukowanych kocimi łbami stanowiła męczarnię. Choćby z tego powodu sir James nie cierpiał rytuału asystowania przy każdej egzekucji. Nie lubił tych wypraw również dlatego, że wymagały zapuszczania się do serca jego dominium, a on znacznie bardziej wolał widok z góry, ze swojego okna.

W 1665 roku Port Royal przeżywał okres rozkwitu. Przez dziesięć lat, odkąd ekspedycja Cromwella odebrała Hiszpanii Jamajkę, Port Royal zmienił się z ponurej, bezludnej, nawiedzanej przez choroby piaszczystej łachy w ponure, przeludnione, terroryzowane przez nożowników ośmiotysięczne miasto.

Port Royal był niezaprzeczalnie bogatym miastem – niektórzy mówili, że najbogatszym na świecie – ale to nie dodawało mu uroku. Tylko nieliczne ulice wybrukowano kocimi łbami, sprowadzonymi z Anglii jako balast na statkach. Pozostałe przypominały raczej błotniste wiejskie drogi, wąskie i zryte koleinami, cuchnące odpadkami i końskim łajnem, rojące się od much i moskitów. Ciasno stłoczone budynki wzniesiono z drewna lub cegły, prymitywne konstrukcje o ordynarnym przeznaczeniu: niekończące się szeregi szynków, karczm, domów gry i rozpusty. Te instytucje obsługiwały setki marynarzy i innych przybyszy, którzy w każdej chwili mogli zejść na brzeg. Znajdowało się tam również kilka legalnych domów handlowych oraz kościoł na północnym krańcu miasta, „nie cieszący się frekwencją”, jak to zgrabnie ujął sir William Lytton.

Oczywiście sir James i jego domownicy uczęszczali na mszę co niedziela razem z kilkoma innymi pobożnymi członkami społeczności. Lecz nierzadko jakiś pijany marynarz przerywał kazanie wywrzaskiwanymi bluźnierstwami i przekleństwami, a raz nawet padły strzały. Sir James kazał zamknąć tego człowieka w więzieniu na dwa tygodnie, musiał jednak zachować ostrożność przy



wymierzaniu kar. Autorytet gubernatora Jamajki był – znowu słowami sir Williama – „cienki jak kartka pergaminu i równie kruchy”.

Sir James spędził wieczór z sir Williamem, kiedy otrzymał od króla to stanowisko. Sir William wyjaśnił nowemu gubernatorowi zasady funkcjonowania kolonii. Sir James słuchał i zdawało mu się, że zrozumiał, ale nikt nie zrozumie naprawdę życia w Nowym Świecie, dopóki nie doświadczy go na własnej skórze.

Teraz, jadąc powozem przez śmierdzące ulice Port Royal, wyglądając przez okno i skinieniem głowy odpowiadając na ukłony pospólstwa, gubernator dziwił się, ile rzeczy zaczął akceptować jako całkowicie naturalne i zwyczajne. Zaakceptował upał, muchy i ohydny smród; zaakceptował złodziejstwo i korupcję; zaakceptował grubiańskie maniery pijanych korsarzy. Przystosował się na tysiąc sposobów, między innymi nauczył się spać wśród wrzasków i huku wystrzałów, które rozlegały się w porcie każdej nocy.

Lecz nadal pozostawały powody do irytacji, a jeden z najbardziej drażniących siedział naprzeciwko gubernatora w powozie. Komandor porucznik Scott, dowódca garnizonu w Fort Charles i samozwańczy strażnik dworskich dobrych manier, strzepnął niewidzialny pyłek kurzu z munduru i powiedział:

– Ufam, iż wasza ekscelencja przyjemnie spędził wieczór i jest teraz w doskonałym nastroju na poranne ćwiczenia.

– Spałem całkiem dobrze – rzucił opryskliwie sir James. Po raz setny pomyślał sobie, o ile bardziej niebezpiecznie żyje się na Jamajce, kiedy komendant garnizonu jest dandysem i głupcem, a nie poważnym wojskowym.

– Zostałem poinformowany – kontynuował Scott, przykładając do nosa perfumowaną chusteczkę i lekko wciągając powietrze – że więzień LeClerc jest całkowicie gotowy i wszystko zostało przygotowane do egzekucji.

– Doskonale – burknął sir James, spoglądając na Scotta pochmurnie.

– Doszło również do mojej wiadomości, że statek handlowy *Godspeed* właśnie teraz przybija do przystani i że wśród pasażerów jest pan Hacklett, który ma zostać nowym sekretarzem waszej ekscelencji.

– Miejmy nadzieję, że nie okaże się takim głupcem jak jego poprzednik – odparł sir James.

– Istotnie. W rzeczy samej – bąknął komandor Scott, a potem na szczęście zamilkł.

Powóz wjechał na High Street Square, gdzie zgromadził się wielki tłum, żeby oglądać egzekucję. Kiedy sir James i komandor porucznik Scott wysiedli z powozu, rozległy się skąpe wiwaty.

Sir James krótko skinął głową; Scott uklonił się nisko.

– Dostrzegam pokaźne zgromadzenie – zauważył dowódca garnizonu. – Zawsze podnosi mnie na duchu obecność tylu dzieci, szczególnie małych chłopców. Wyniosą z tego należyłą lekcję, nie sądzisz, panie?

– Uhm – mruknął sir James.

Wysunął się na czoło tłumowi i stanął w cieniu szubienicy, która była potrzebna tak często, że zbudowano ją na stałe na High Street: poprzeczna belka z podporą i mocną pętlą wiszącą siedem stóp nad ziemią.

– Gdzie jest więzień? – zapytał sir James z irytacją.

Więźnia nigdzie nie było widać. Gubernator czekał z wyraźnym zniecierpliwieniem, splatając i rozplatając dłonie za plecami. Potem usłyszał niski warkot bębnow, który zapowiadał przybycie wozu skazańca. Po chwili rozległy się krzyki i śmiechy, tłum się rozstał i ukazał się wóz.

LeClerc stał wyprostowany, z rękami związanymi za plecami. Miał na sobie szarą zgrzebną tunikę, obsypaną odpadkami, które ciskał szydzący tłum. Trzymał jednak głowę wysoko.

Komandor Scott pochylił się do gubernatora.

– On sprawia całkiem dobre wrażenie, ekscelencjo.

Sir James chrząknął.

– Mam zaiste wysokie mniemanie o mężczyźnie, który umiera z finezją.

Sir James nie odpowiedział. Wózek podtoczył się do szubienicy i zawrócił tak, że więzień znalazł się przodem do tłumowi. Kat, Henry Edmonds, podszedł do gubernatora i pokłonił się nisko.

– Dzień dobry, wasza ekscelencjo, witam, komandorze Scott. Mam zaszczyt przedstawić więźnia, Francuza LeClerca, ostatnio skazanego przez Audencia...

– Bierz się do roboty, Henry – przerwał mu sir James.

– Ależ oczywiście, wasza ekscelencjo.

Wyraźnie dotknięty, kat skłonił się ponownie i wrócił do wozu. Przystąpił do więźnia i nałożył mu pętlę na szyję. Potem przeszedł na przód wozu i stanął obok muła. Nastąpiła chwila ciszy, która trwała trochę za długo.

Wreszcie kat okręcił się na pięcie i warknął:

– Teddy, do diabła, rusz się!

Natychmiast młody chłopiec – syn kata – zaczął wybijać szybki werbel na bębnie. Kat znowu obrócił się przodem do tłumu. Uniósł bicz wysoko, po czym raz uderzył muła; wóz odtoczył się z terkotem, a więzień zawisł w powietrzu, kołysząc się i kopiąc nogami.

Sir James patrzył na szamotaninę skazańca. Słuchał syczącego charkotu, kiedy LeClerc się dusił, obserwował, jak jego twarz sinieje. Francuz kopał teraz bardzo gwałtownie, kołysząc się w przód i w tył ledwie stopę czy dwie nad błotnistą ziemią. Oczy wyłaziły mu z orbit.

Język sterczał z ust. Ciało zaczęło drgać, skręcając się w konwulsjach na końcu sznura.

– No dobrze – powiedział wreszcie sir James i skinął głową do tłumu.

Natychmiast wystąpiło kilku krzepkich jegomości, przyjaciół skazańca. Chwycili go za wierzgające nogi i uwiesili się na nim, próbując miłosiernie szybko złamać mu kark. Ale okazali się niezdarni, a pirat był silny i przewracał ich w błoto energicznymi kopniakami.

Przedśmiertne drgawki trwały jeszcze przez parę sekund, aż w końcu ciało nagle zwiotczało.

Mężczyźni odstąpili. Strużka moczu pociekła po spodniach LeClerca. Ciało obracało się bezwładnie na końcu sznura.

– Zaiste, dobrze powieszony – orzekł Scott z szerokim uśmiechem. Rzucił katu złotą monetę.

Sir James odwrócił się i wsiadł do powozu. Był wyjątkowo głodny. Żeby jeszcze bardziej zaostrzyć sobie apetyt, a także odpędzić niemiłe wonie miasta, zażył tabaki.

To komandor porucznik Scott zaproponował, żeby zatrzymali się w porcie i sprawdzili, czy nowy sekretarz już zszedł ze statku. Powóz podjechał do doków, jak najbliżej nabrzeża; woźnica wiedział, że gubernator woli nie chodzić dalej niż to konieczne. Stangret otworzył drzwi i sir James, krzywiąc się, wyszedł na cuchnące poranne powietrze.

Znalazł się twarzą w twarz z człowiekiem po trzydziestce, który, podobnie jak gubernator, również pocił się w grubym dublecie. Mężczyzna uklonił się i powiedział:

– Wasza ekscelencjo.

– Z kim mam przyjemność mówić? – zapytał Almont z lekkim ukłonem. Nie mógł już kłaniać się nisko z powodu bólu w nodze, a zresztą i tak nie lubił tych ceremonii i formalności.

– Charles Morton, panie gubernatorze, kapitan statku handlowego *Godspeed*, ostatnio z Bristolu. – Podał swoje dokumenty.

Almont nawet nie spojrzał na papiery.

– Jaki ładunek pan przewozisz?

– Sukno z zachodniej Anglii, wasza ekscelencjo, szkło ze Stourbridge i towary żelazne. Wasza ekscelencja trzyma manifest pokładowy w ręku.

– Masz pan pasażerów? – Gubernator otworzył manifest i zorientował się, że zapomniał okularów; linijki spisu tworzyły rozmazaną plamę. Szybko, niecierpliwie przejrzał manifest i zamknął z powrotem.

– Przywiozłem pana Roberta Hackletta, nowego sekretarza waszej ekscelencji, i jego żonę – odparł Morton. – Mam ośmiu wolno urodzonych ludzi z gminu jako kupców dla kolonii. I wiozę trzydzieści siedem przestępczyń, wysłanych przez lorda Ambrittona z Londynu na żony dla kolonistów.

– Jak to łaskawie ze strony lorda Ambrittona – rzucił oschle Almont. Od czasu do czasu jakiś urzędnik w którymś z większych miast Anglii załatwiał wysłanie skazanych kobiet na Jamajkę – zwykły wybieg, żeby oszczędzić na kosztach ich utrzymania w więzieniu. Sir James nie miał złudzeń co do proveniencji tej ostatniej partii kobiet. – A gdzie jest pan Hacklett?

– Na pokładzie, zbiera bagaże razem z panią Hacklett, wasza ekscelencjo.

– Kapitan Morton przestąpił z nogi na nogę. – Pani Hacklett bardzo źle zniosła podróż.

– Nie wątpię – mruknął Almont. Zirykowało go, że nowy sekretarz nie czekał na niego w doku. – Czy pan Hacklett przywiózł dla mnie jakieś wiadomości?

– Tak przypuszczam, panie gubernatorze – odpowiedział Morton.

– Bądź pan tak dobry i przekaż mu, żeby zgłosił się do mojej rezydencji w pierwszej dogodnej chwili.

– Przekażę, ekscelencjo.

– Zapewne czekasz pan na przybycie intendenta i pana Gowera, inspektora celnego, który sprawdzi manifest i będzie nadzorował wyładunek. Czy zgłaszasz pan dużo zgonów?

– Tylko dwa, wasza ekscelencjo, obaj zwykli marynarze. Jeden wypadł za burtę, a jeden zmarł na puchlinę wodną. Inaczej nigdy bym nie wpłynął do portu.

Almont się zawahał.

– Jak to nie wpłynąłbyś pan do portu?

– To znaczy, gdyby ktoś zmarł na zarazę, wasza ekscelencjo.

Almont zmarszczył brwi w porannym upale.

– Zarazę?

– Wasza ekscelencja wie o zarazie, która ostatnio nawiedziła Londyn i niektóre dalsze miasta?

– Nic nie wiem – oświadczył Almont. – W Londynie wybuchła zaraza?

– Istotnie, ekscelencjo, już od kilku miesięcy zaraza szerzy chaos i śmierć. Podobno przywleczono ją z Amsterdamu.

Almont westchnął. To wyjaśniało, dlaczego przez ostatnie tygodnie nie przybyły żadne statki z Anglii i żadne wiadomości z dworu. Przypomniał sobie zarazę w Londynie sprzed dziesięciu laty. Miał nadzieję, że jego siostrze wystarczyło przytomności umysłu, by zabrać siostrzenicę i wyjechać do domu na wsi. Ale nie przejął się zbytnio. Gubernator Almont przyjmował wyroki losu ze stoickim spokojem. Sam żył z dnia na dzień w cieniu dyzenterii i febry, które co tydzień zabierały kilku obywateli Port Royal.

– Chętnie usłyszę więcej tych nowin – powiedział. – Proszę przyjść do

mnie na obiad dzisiaj wieczorem.

– Z wielką przyjemnością – zapewnił Morton i ponownie się uklonił. – Wasza ekscelencja wyrządza mi zaszczyt.

– Wstrzymaj się z tą opinią, panie, dopóki nie zobaczysz, jak jadamy w tej biednej kolonii. Jeszcze jedno, kapitanie – dodał Almont. – Potrzebuję kobiet do służby w rezydencji. Ostatnia grupa czarnych była chora i wszyscy umarli. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli załatwi pan wysłanie skazanych kobiet do rezydencji możliwie najszybciej. Osobiście zajmę się ich przydziałem.

– Wasza ekscelencjo.

Almont krótko kiwnął głową na pożegnanie i pokonując ból, wgramolił się z powrotem do powozu. Z westchnieniem ulgi opadł na siedzenie i kazał jechać do rezydencji.

– Fatalnie dziś cuchnie – powiedział komandor porucznik Scott.

Rzeczywiście jeszcze przez długi czas ohydny fetor miasta utrzymywał się w nozdrzach gubernatora i nie ustąpił, dopóki Almont nie wziął następnego niucha tabaki.

# Rozdział 3

Przebrany w lżejszy strój gubernator Almont śniadał samotnie w jadalni. Zgodnie ze swoim zwyczajem spożył lekki posiłek – ryba z wody i kieliszek wina – zakończony kolejną z drobnych przyjemności związanych z jego stanowiskiem, filiżanką mocnej czarnej kawy.

Podczas swojej kadencji gubernatorskiej ogromnie polubił kawę i cieszył się, że dysponuje praktycznie nieograniczonymi ilościami tego delikatesu, tak trudno dostępnego w ojczyźnie.

Dopijał kawę, gdy wszedł jego pomocnik, John Cruikshank. John był purytaninem i musiał opuścić Cambridge z pewnym pośpiechem, kiedy Karol II ponownie zasiadł na tronie. Miał ziemistą cerę, był poważny i dość nudny, ale obowiązkowy.

– Przyszły skazane kobiety, wasza ekscelencjo.

Almont skrzywił się na tę wiadomość. Otarł usta.

– Przyślij je tu. Czy są czyste, John?

– Dość czyste.

– Więc je przyślij.

Kobiety hałaśliwie weszły do pokoju. Gapiły się i trajkotały, pokazując na różne przedmioty. Niechlujna gromadka, wszystkie odziane w identyczny szary barchan i bosc. Pomocnik ustawił je pod ścianą, a gubernator wstał od stołu.

Kobiety umilkły, kiedy do nich podszedł. Ciszę mąciło tylko szuranie obolałej lewej nogi gubernatora, który przesuwiał się wzdłuż szeregu i spoglądał na każdą po kolei.

Dawno nie widział takiej kolekcji brzydkich, rozczochranych, ordynarnych bab. Przystanął przed jedną, wyższą od niego, paskudną wiedźmą z dziobatą twarzą i brakami w uzębieniu.

- Jak się nazywasz?
- Charlotte Bixby, panie. – Próbowwała niezgrabnie dygnąć.
- A twoja zbrodnia?
- Wierę, panie, ja żem nic nie zrobiła, to wszystko fałsz, co mnie zadali i...
- Zamordowała męża, Johna Bixby’ego – wyrecytował pomocnik, czytając z listy.

Kobieta zamilkła. Almont ruszył dalej. Każda nowa twarz była brzydsza od poprzedniej.

Zatrzymał się przed kobietą o potarganych czarnych włosach, z żółtą blizną z boku szyi i nadąsaną miną.

- Jak się nazywasz?
- Laura Peale.
- Jaką zbrodnię popełniłaś?
- Mówią, żem ukradła sakiewkę dżentelmena.
- Udusiła swoje dzieci, wiek cztery i siedem lat – zaintonował John monotonnym głosem, nie odrywając wzroku od listy.

Almont zmarszczył brwi. Te kobiety poczują się w Port Royal jak w domu; były równie twarde i zahartowane jak najtwardsi korsarze. Ale żony? Nie nadawały się na żony. Szedł dalej wzdłuż szeregu twarzy, aż zatrzymał się przed jedną, niezwykle młodą.

Dziewczyna miała najwyżej czternaście czy piętnaście lat, jasne włosy i bladą cerę. Jej oczy, błękitne i czyste, promieniowały dziwną, niewinną życzliwością. Wydawała się całkowicie nie na miejscu wśród tych pospolitych kobiet. Zapytał ją łagodnym tonem:

- A twoje nazwisko, dziecko?
- Anne Sharpe, panie – odpowiedziała cicho, niemal szeptem. Skromnie spuściła oczy.
- Jakie przestępstwo popełniłaś?
- Kradzież, panie.

Almont zerknął na Johna; pomocnik kiwnął głową.

– Anne Sharpe okradła mieszkanie dżentelmena w Londynie, na Gardiner’s Lane.



– Rozumiem – powiedział Almont, odwracając się z powrotem do dziewczyny. Ale nie mógł się zdobyć na surowość wobec tego dziecka. Wciąż miała spuszczone oczy. – Potrzebuję służącej w moim domu, panno Sharpe. Zatrudnię cię tutaj.

– Wasza ekscelencjo – wtrącił John, nachylając się do Almonta. – Na słowo, jeśli można.

Odeszli kilka kroków od kobiet. Pomocnik wydawał się wzburzony. Wskazał na listę.

– Wasza ekscelencjo – szepnął – tutaj napisano, że na procesie oskarżono ją o czary.

Almont zachichotał dobrodusznie.

– Bez wątpienia, bez wątpienia.

Ładne młode kobiety często oskarżano o czary.

– Wasza ekscelencjo – upierał się John, przepełniony trwożliwym purytańskim duchem – tutaj napisano, że ona ma stygmaty diabła!

Almont popatrzył na skromną, młodą, jasnowłosą kobietę. Nie bardzo mu się chciało wierzyć, że ona jest czarownicą. Sir James wiedział to i owo o czarownicach. Czarownice miały oczy w dziwnym kolorze. Czarownice wywoływały wokół siebie przeciągi. Skórę miały zimną jak u jaszczurki i dodatkowy sutek.

Ta kobieta z pewnością nie była czarownicą.

– Dopilnuj, żeby się wykąpała i przebrała – polecił.

– Wasza ekscelencjo, czy mogę przypomnieć, że stygmaty...

– Sam ich później poszukam.

John się skłonił.

– Jak wasza ekscelencja sobie życzy.

Po raz pierwszy Anne Sharpe podniosła wzrok na twarz gubernatora Almonta i uśmiechnęła się nieznacznie.

# Rozdział 4

– Z całym należnym szacunkiem, sir Jamesie, muszę wyznać, że nie byłem przygotowany na wstrząs, jakiego doznałem po wylądowaniu w tym porcie – mówił Robert Hacklett, chudy, młody i nerwowy, spacerując tam i z powrotem po pokoju. Jego żona, smukła, ciemna kobieta o cudzoziemskim wyglądzie, siedziała sztywno na krześle i patrzyła na Almonta.

Sir James siedział za biurkiem, z chorą nogą wspartą na poduszce i pulsującą bólem. Sir James silił się na cierpliwość.

– W stolicy kolonii Jego Wysokości na Jamajce w Nowym Świecie – ciągnął Hacklett – spodziewałem się chociaż pozorów chrześcijańskiego porządku i przestrzegania prawa. W ostateczności jakichś ograniczeń narzucanych włóczęgom i niewychowanym chamom, którzy otwarcie robią, co im się podoba. Przecież kiedy jechaliśmy otwartym powozem przez ulice Port Royal... jeśli można to nazwać ulicami... jeden pijany prostak obrzucił moją żonę wulgarnymi przekleństwami, co ją ogromnie zdenerwowało.

– Doprawdy – mruknął Almont.

Emily Hacklett przytaknęła bez słowa. Na swój sposób była ładna, obdarzona urodą tego rodzaju, który podobał się królowi Karolowi. Sir James domyślał się, w jaki sposób pan Hacklett stał się takim faworytem na dworze, że otrzymał potencjalnie lukratywne stanowisko sekretarza gubernatora Jamajki. Z pewnością Emily Hacklett nieraz poczuła na sobie ucisk królewskiego brzucha.

Sir James westchnął.

– A co więcej – podjął Hacklett – wszędzie raczono nas widokami półnagich, sprośnych kobiet paradyjących po chodnikach i wychylających się z okien, pijanych mężczyzn wymiotujących na ulicach, rabusiów i piratów wszczynających burdy na każdym kroku i...

– Piratów? – przerwał mu ostro Almont.

– Istotnie, tylko piratami mogę nazwać tych morskich rzezimieszków.

– W Port Royal nie ma piratów – oświadczył Almont stanowczym tonem. Spiorunował wzrokiem nowego sekretarza i przeklął chucie Wesołego Monarchy, które sprowadziły mu do pomocy tego nadętego głupca. Wiedział, że Hacklett niewiele mu pomoże. – W tej kolonii nie ma piratów – powtórzył z naciskiem. – A jeśli znajdzie pan dowód, że ktoś tutaj jest piratem, ten człowiek zostanie osądzony i powieszony. Takie jest prawo Korony, którego surowo przestrzegamy.

Hacklett spojrział z niedowierzaniem.

– Sir Jamesie – powiedział – spiera się pan o drobne przejęzyczenie, podczas gdy prawda bije w oczy na każdej ulicy i w każdym domu w tym mieście.

– Prawda bije w oczy na szubienicy na High Street – odparł Almont – gdzie nawet teraz pewien pirat kołysze się na wietrze. Gdybyś pan zszedł na brzeg wcześniej, mógłbyś to sam zobaczyć. – Znowu westchnął. – Siadaj pan i milcz, zanim zasłużysz sobie na opinię jeszcze większego idioty, niż zdążyłeś z siebie zrobić.

Pan Hacklett zbladł. Najwyraźniej nie przywykł do takiego obcesowego traktowania. Usiadł szybko na krześle obok żony. Dotknęła pocieszająco jego dłoni: serdeczny gest jednej z licznych kochanek króla.

Sir James Almont wstał, krzywiąc się, kiedy ból przeszył mu nogę. Przechylił się przez biurko.

– Panie Hacklett – zaczął. – Korona powierzyła mi pieczę nad rozwojem i dobrobytem tej kolonii. Pozwolisz pan, że mu wyjaśnię pewne istotne fakty związane z wypełnianiem tych obowiązków. Po pierwsze, jesteśmy małym i słabym przyczółkiem Anglii wśród hiszpańskich terytoriów. Zdaję sobie sprawę – dodał ciężko – że na dworze modnie jest udawać, iż Jego Wysokość ma mocną pozycję w Nowym Świecie. Prawda jednak wygląda całkiem inaczej.

Trzy małe kolonie: St. Kitts, Barbados i Jamajka, składają się na dominium Korony. Cała reszta należy do Filipa. To nadal jest hiszpańskie dominium. Na tych wodach nie ma angielskich okrętów wojennych. Na lądzie nie ma angielskich garnizonów. Jest tuzin pierwszorzędnych hiszpańskich okrętów liniowych i kilka tysięcy hiszpańskich oddziałów stacjonujących w ponad

piętnastu głównych osadach. Król Karol w swojej mądrości pragnie zatrzymać kolonie, ale nie ma ochoty ponosić kosztów ich obrony przed inwazją.

Hacklett, wciąż blady, szeroko otworzył oczy.

– Moim obowiązkiem jest obrona tej kolonii. Jak mam tego dokonać? Oczywiście muszę zwerbować ludzi zdolnych do walki. Mam do dyspozycji jedynie awanturników i korsarzy, więc próbuję stworzyć im tutaj dom. Może budzą w panu odrazę, lecz bez nich Jamajka byłaby naga i bezbronna.

– Sir Jamesie...

– Milcz pan – uciął Almont. – Teraz mam drugie zadanie, czyli rozwój kolonii Jamajki. Na dworze modnie jest proponować, żebyśmy zachęcali do uprawy roli i hodowli.

Jednak od dwóch lat nie przysyłają nam rolników. Ziemia jest zasolona i nieurodzajna.

Tubylcy są wrogo nastawieni. Jakże więc mam rozwijać kolonię, zwiększać jej liczebność i bogactwo? Poprzez handel. Złota i towarów, dzięki którym kwitnie handel, dostarczają nam korsarskie rajdy na hiszpańskie statki i osady. W ostatecznym rachunku wzbogacamy szkatułę króla, co bynajmniej nie martwi Jego Wysokości, wedle moich najlepszych informacji.

– Sir Jamesie...

– I wreszcie – ciągnął Almont – wreszcie mam niepisany obowiązek pozbawić dwór Filipa Drugiego tylu bogactw, ilu tylko zdołam. To również Jego Wysokość uważa...

prywatnie, prywatnie... za szlachetny cel. Zwłaszcza skoro tyle samo złota, ile nie dociera do Kadyksu, pojawia się w Londynie. Zatem otwarcie zachęcamy do korsarstwa. Ale nie do piractwa, panie Hacklett. I to nie jest zwykłe przejęzyczenie.

– Ale, sir Jamesie...

– Twarde fakty kolonii nie pozwalają na dyskusje – podsumował Almont. Ponownie zajął miejsce za biurkiem i oparł nogę na poduszce. – W wolnej chwili możesz pan rozważyć, com panu rzekł, a zrozumiesz... z pewnością zrozumiesz... iż przemawiam z mądrością opartą na doświadczeniu. Niech pan łaskawie zje obiad ze mną i kapitanem Mortonem dzisiaj wieczorem. A tymczasem na pewno

macie państwo dużo roboty z urządzeniem się w nowej kwaterze.

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca. Hacklett i jego żona wstali. Hacklett uklonił się lekko, sztywno.

– Sir Jamesie.

– Panie Hacklett. Pani Hacklett.

\* \* \*

Małżeństwo wyszło. Pomocnik zamknął za nimi drzwi. Almont potarł oczy.

– Boże w niebiesiech – westchnął i pokręcił głową.

– Czy życzy pan sobie teraz odpocząć, wasza ekscelencjo? – zapytał John.

– Tak – mruknął Almont. – Życzę sobie odpocząć.

Wstał zza biurka i poszedł korytarzem do swoich apartamentów. Mijając któryś pokój, usłyszał plusk wody w metalowej wannie i kobiecy chichot. Obejrzał się na Johna.

– Kąpią tę służącą – wyjaśnił John.

Almont chrząknął.

– Życzy pan sobie później ją obejrzeć?

– Tak, później – potwierdził Almont.

Popatrzył na Johna z lekkim rozbawieniem. Najwyraźniej John wciąż niepokoił się tym oskarżeniem o czary. Strach prostych ludzi, pomyślał, jest taki silny i taki niemądry.

# Rozdział 5

Anne Sharpe odprężyła się w wannie pełnej ciepłej wody i słuchała paplania ogromnej czarnej kobiety krzątającej się po łazience. Rozumiała ledwie co dziesiąte słowo, chociaż kobieta mówiła chyba po angielsku; śpiewny rytm i dziwaczna wymowa brzmiały całkowicie obco. Czarna kobieta mówiła coś o dobroci gubernatora Almonta. Anne Sharpe nie obchodziło, czy gubernator jest dobrym człowiekiem. Wcześniej nauczyła się postępować z mężczyznami.

Zamknęła oczy i śpiewny głos Murzynki odpłynął, zastąpiony przez bicie kościelnych dzwonów. W Londynie nauczyła się nienawidzić tych monotonnych, nieprzerwanych dźwięków.

Anne była najmłodsza z trójki dzieci emerytowanego marynarza, który zajął się szyciem żagli w Wapping. Kiedy przed Bożym Narodzeniem wybuchła zaraza, dwaj starsi bracia Anne zatrudnili się jako strażnicy. Ich obowiązki polegały na tym, że stali przed drzwiami zarażonych domów i pilnowali, żeby mieszkańcy nie wychodzili pod żadnym pozorem. Sama Anne pracowała jako pielęgniarka w kilku zamożnych rodzinach.

Z upływem tygodni okropności, które widziała, zlały się w jedno we wspomnieniach.

Dzwony kościelne biły dzień i noc. Cmentarze były przepelnione; wkrótce nie kopano już pojedynczych grobów, tylko wrzucano po dwadzieścia ciał do głębokich rowów i pospiesznie zasypywano wapnem gaszonym oraz ziemią. Po ulicach wlokły się wozy wyładowane spiętrzonymi zwłokami; kościelni przystawali przed każdym domem i wołali: „Wynieście swoich zmarłych!”. Smród rozkładu przesycił wszystko.

Podobnie jak strach. Pamiętała mężczyznę, który upadł martwy na ulicy, z wypchaną sakiewką u boku, brzęczącą od monet. Tłumy mijały trupa, ale nikt się

nie odważył podnieść sakiewki. Później ciało wywieziono na wózku, ale sakiewka pozostała nietknięta.

Na wszystkich rynkach sklepikarze i rzeźnicy trzymali przy towarach słoje z octem. Kupujący wrzucali monety do octu; nigdy nie podawano pieniędzy z ręki do ręki. Każdy starał się płacić dokładnie odliczoną sumą, bez reszty.

Gwałtownie wzrósł popyt na amulety, maskotki, eliksiry i uroki. Anne też kupiła sobie medalion zawierający jakieś brzydko pachnące zioła, które podobno miały odpędzać zarazę.

Nosiła go przez cały czas.

Lecz śmierć wciąż zbierała żniwo. Najstarszy brat Anne zmarł na zarazę. Pewnego dnia zobaczyła go na ulicy: szyję miał obrzmiałą od wielkich guzów i dziąsła mu krwawiły. Nigdy więcej go nie widziała.

Drugiego brata spotkał powszechny los strażników. Pewnej nocy pilnował domu, którego mieszkańcy zamknięci w środku oszaleli na skutek choroby. Wyłamali drzwi i uciekając, zastrzelili jej brata z pistoletu. Wiedziała o tym tylko ze słyszenia; nigdy go nie zobaczyła.

Wreszcie Anne też została zamknięta w domu należącym do rodziny pana Sewella.

Pielegnowała starą panią Sewell – matkę właściciela domu – kiedy pan Sewell zszedł na dół z wyraźnymi objawami choroby. Dom poddano kwarantannie. Anne opiekowała się wszystkimi najlepiej, jak umiała. Jeden po drugim członkowie rodziny umierali. Ich ciała zabierał wóz śmierci. Na koniec Anne została sama w domu, jakimś cudem nadal zdrowa.

To wtedy ukradła parę złotych przedmiotów i kilka monet, które znalazła, i uciekła w nocy przez okno na pierwszym piętrze, po londyńskich dachach. Następnego ranka złapał ją konstabl i chciał wiedzieć, gdzie młoda dziewczyna znalazła tyle złota. Zabrał złoto i wtrącił ją do więzienia Bridewell.

Tam gniła przez parę tygodni, dopóki lord Ambritton, dżentelmen ożywiony obywatelskim duchem, nie zwrócił na nią uwagi podczas inspekcji więzienia. Anne już dawno się przekonała, że dżentelmeni uważają jej wygląd za pociągający. Lord Ambritton nie był wyjątkiem. Zaprosił ją do swojego powozu i po porcji umizgów w swoim stylu obiecał, że wyśle ją do Nowego Świata.

Wkrótce znalazła się w Plymouth, a potem na pokładzie *Godspeed*. Podczas podróży zainteresował się nią kapitan Morton, mężczyzna młody i pełen wigoru, a ponieważ w zaciszu swojej kabiny częstował ją świeżym mięsem i innymi smakołykami, chętnie zawarła z nim bliższą znajomość, którą zacieśniała prawie co noc.

Teraz znalazła się tutaj, w nowym miejscu, gdzie wszystko było dziwne i nieznane. Ale nie bała się, ponieważ wiedziała, że spodobała się gubernatorowi tak samo, jak innym dżentelmenom, którzy się nią opiekowali.

Po kąpieli ubrano ją w farbowaną wełnianą suknię i bawełnianą bluzkę. Od ponad trzech miesięcy nie nosiła tak pięknego stroju i dotyk materiału na skórze sprawił jej chwilową przyjemność. Czarna kobieta otworzyła drzwi i kiwnęła na nią.

– Dokąd idziemy?

– Do gubernatora.

Poprowadzono ją przez szeroki, przestronny korytarz. Podłogi były drewniane, ale nierówne.

Trochę ją zdziwiło, że taki ważny człowiek jak gubernator mieszka w tak prymitywnym domu. Wielu zwykłych dżentelmenów w Londynie miało domy lepiej zbudowane.

Murzynka zastukała do drzwi. Otworzył jakiś Szkot, łypiący na nią groźnie. Anne zobaczyła sypialnię; gubernator w koszuli nocnej stał obok łóżka, ziewając. Szkot kiwnął na nią, żeby weszła do pokoju.

– Ach – powiedział gubernator. – Panna Sharpe. Muszę przyznać, że ablucje znacznie poprawiły twą prezencję.

Anne nie zrozumiała dokładnie, o co mu chodzi, ale jeśli on był zadowolony, ona także.

Dygnęła, jak uczyła ją matka.

– Richards, możesz nas zostawić.

Szkot kiwnął głową i zamknął drzwi. Anne została sam na sam z gubernatorem. Obserwowała jego oczy.

– Nie bój się, moja droga – powiedział łagodnie. – Nie ma się czego bać. Podejdź tu do okna, gdzie światło jest lepsze.



Zrobiła, co jej kazał.

Patrzył na nią w milczeniu przez długą chwilę. Wreszcie powiedział:

– Wiesz, że na procesie oskarżono cię o czary.

– Tak, panie. Ale to nieprawda, panie.

– Z pewnością nieprawda, Anne. Ale mówiono, że nosisz na ciele stygmaty paktu z diabłem.

– Przysięgam, panie! – zawołała, po raz pierwszy zaniepokojona. – Nie mam nic wspólnego z diabłem, panie.

– Wierzę ci, Anne – powiedział gubernator, uśmiechając się do niej. – Ale moim obowiązkiem jest sprawdzenie, czy masz stygmaty.

– Przysięgam.

– Wierzę ci – powtórzył. – Ale musisz zdjąć ubranie.

– Teraz, panie?

– Tak, teraz.

Trochę niepewnie rozejrzała się po pokoju.

– Możesz położyć je na łóżku, Anne.

– Tak, panie.

Patrzył, jak się rozbierała. Zauważyła wyraz jego oczu. Już się nie bała. W pokoju było ciepło; brak ubrania jej nie przeszkadzał.

– Piękne z ciebie dziecko, Anne.

– Dziękuję, panie.

Stała naga, a on podszedł bliżej. Przystanął, żeby założyć okulary, potem obejrzał jej ramiona.

– Obróć się powoli.

Obróciła się zgodnie z jego życzeniem. On wpatrywał się w jej ciało.

– Unieś ramiona nad głowę.

Podniosła ramiona. On obejrzał pachy.

– Stygmaty znajdują się zwykle pod pachami albo na piersiach – wyjaśnił.

– Albo na narządach. – Uśmiechnął się do niej. – Wiesz, o czym mówię, prawda?

Pokręciła głową.

– Połóż się na łóżku, Anne.

Położyła się na łóżku.

– Teraz dokończymy badanie – oznajmił poważnym tonem, a potem wsunął jej palce we włosy i oglądał jej skórę z nosem zaledwie kilka cali nad cipką, i chociaż bała się go obrazić, to ją rozbawiło – łaskotało – i zaczęła się śmiać.

Przez chwilę wpatrywał się w nią gniewnie, a potem też się roześmiał i zaczął ściągać koszulę nocną. Posiadł ją wciąż w okularach na nosie; czuła drucziane oprawki gniotące ją w ucho.

Pozwoliła mu na wszystko. To nie trwało długo, a później wydawał się zadowolony, więc ona też była zadowolona.

\* \* \*

Kiedy leżeli razem w łóżku, wypytywał ją o jej życie, przejścia w Londynie i podróż na Jamajkę. Opowiedziała mu, jak większość kobiet pocieszała się z sobą nawzajem albo z członkami załogi, ale nie ona, zapewniła – nie powiedziała całej prawdy, ale była tylko z kapitanem Mortonem, więc prawie nie skłamała. A potem opowiedziała o sztormie, który dopadł ich akurat wtedy, kiedy ujrzeli brzegi Indii Zachodnich. I jak sztorm miotał nimi przez dwa dni.

Widziała, że gubernator Almont nie zwraca większej uwagi na jej słowa. Znowu miał w oczach ten dziwny wyraz. Ona jednak mówiła dalej. Opowiedziała, jak po sztormie nadszedł pogodny dzień i zobaczyli ląd z zatoką i fortecą, i duży hiszpański okręt wojenny w zatoce. I jak kapitan Morton bardzo się niepokoił, że hiszpański okręt ich zaatakuje, bo oczywiście zobaczył ich statek. Ale Hiszpan wcale nie wypłynął z zatoki.

– Co?! – niemal wrzasnął gubernator Almont i wyskoczył z łóżka.

– Co się stało?

– Hiszpański okręt wojenny zobaczył was i nie zaatakował?

– Nie, panie – odpowiedziała. – Odetchnęliśmy z ulgą.

– Z ulgą?! – wykrzyknął Almont. Nie wierzył własnym uszom. – Odetchnęliście z ulgą? Boże w niebiesiech! Jak dawno temu to się stało?

Anne wzruszyła ramionami.

– Przed trzema czy czterema dniami.

– I mówisz, że to była zatoka z fortem?

– Tak.

– Po której stronie stała forteca?

Zmieszana Anne pokręciła głową.

– Nie wiem.

– No więc – rzucił Almont, pospiesznie naciągając ubranie – kiedy patrzyłaś na wyspę i na zatokę, czy forteca stała po prawej stronie zatoki, czy po lewej?

– Po tej stronie – odpowiedziała, pokazując prawą ręką.

– I wyspa miała wysoki szczyt? Bardzo mała wyspa, bardzo zielona?

– Tak, właśnie taka.

– Na krew Pana – jęknął Almont. – Richards! Richards! Sprowadź Huntera!

I gubernator wypadł z pokoju, zostawiając ją nagą na łóżku. Pewna, że w czymś mu uchybiła, Anne zaczęła płakać.

# Rozdział 6

Rozległo się pukanie do drzwi. Hunter przekręcił się na łóżku; zobaczył otwarte okno, przez które wlewał się blask słońca.

– Odejdź – wymamrotał.

Dziewczyna obok niego poruszyła się niespokojnie, ale się nie obudziła.

Znowu pukanie.

– Odejdź, bodajżeś oślepl.

Drzwi się otwarły i pani Denby wsadziła głowę do środka.

– Błagam o wybaczenie, kapitanie Hunter, ale przyszedł posłaniec z rezydencji gubernatorskiej. Gubernator żąda twojej obecności na obiedzie, kapitanie. Co mam odpowiedzieć?

Hunter przetarł oczy. Zamrugał sennie w dziennym świetle.

– Która godzina?

– Piąta, kapitanie.

– Niech powie gubernatorowi, że przyjdę.

– Tak, kapitanie. I jeszcze jedno.

– Co?

– Ten Francuz z blizną jest na dole, szuka pana.

Hunter stęknął.

– W porządku, pani Denby.

Drzwi się zamknęły. Hunter wstał z łóżka. Dziewczyna dalej spała, głośno chrapiąc. Kapitan rozejrzał się po ciasnym, zagraconym pokoju – łóżko, w kącie kufer okrętowy z jego dobytkiem, pod łóżkiem nocnik, obok umywalka. Zakaszlał, zaczął się ubierać i przerwał, żeby wysikać się przez okno na ulicę. Z dołu doleciało wykrzyczane przekleństwo. Hunter uśmiechnął się i dalej się ubierał: wyciągnął z kufra swój jedyny porządny dublet i ostatnią parę spodni,

które miały tylko kilka dziur. Na koniec założył złoty pas z krótkim sztyletem, a potem, jakby po namyśle, wziął jeden pistolet, nabił go, dopchnął kulę przybitką, żeby nie wypadła z lufy, i wsunął broń za pas.

Tak wyglądała zwykła toaleta kapitana Charlesa Huntera, której dokonywał co wieczór, kiedy wstawał o zachodzie słońca. Zabierała tylko parę minut, bo Hunter nie był pedantem. Nie był też zbytnim purytaninem; spojrzawszy jeszcze raz na dziewczynę w łóżku, później zamknął drzwi za sobą i zszedł po wąskich, skrzypiących drewnianych schodach do głównej izby gospody pani Denby.

Główna izba była przestronna, z niskim sufitem, podłogą z ubitej ziemi i ciężkimi drewnianymi stołami ustawionymi w długich rzędach. Hunter przystanął. Zgodnie ze słowami pani Denby Levasseur był tutaj, siedział w kącie, zgarbiony nad kuflem grogu.

Hunter ruszył do drzwi.

– Hunter! – wychrypiął Levasseur bełkotliwym pijackim głosem.

Hunter odwrócił się, udając zdziwienie.

– O, Levasseur, nie widziałem cię.

– Hunter, ty synu skundlonej angielskiej suki.

– Levasseur – zripostował kapitan, przesuając się do s cienia – ty synu francuskiego chłopca i jego ulubionej owcy, co cię tu sprowadza?

Levasseur wstał. Wybrał ciemny kąt; Hunter nie widział go wyraźnie. Ale dwóch mężczyzn dzielił dystans około trzydziestu stóp – za daleko na strzał z pistoletu.

– Hunter, chcę swoje pieniądze.

– Nic ci nie jestem winien – odparł Hunter.

I mówił prawdę. Wśród korsarzy z Port Royal długi spłacano szybko i w całości. Ten, kto nie oddawał długów albo nie dzielił łupów po równo, zdobywał sobie najgorszą reputację. Na korsarskiej wyprawie zawsze skazywano na śmierć każdego, kto próbował ukryć część wspólnej zdobyczy. Sam Hunter uśmiercił strzałem w serce niejednego złodziejzaka i wykopał ciało za burtę bez najmniejszych skrupułów.

– Oszukałeś mnie, jak graliśmy w karty – oświadczył Levasseur.

– Byłeś za bardzo pijany, żeby się poznać.

– Oszukałeś mnie. Zabrałeś pięćdziesiąt funtów. Chcę je z powrotem.

Hunter rozejrzał się po pokoju. Żadnych świadków. Niedobrze. Nie chciał zabijać Levasseura bez świadków. Miał zbyt wielu wrogów.

– Niby jak cię oszukałem? – zapytał i przysunął się trochę bliżej do Levasseura.

– Jak? A kogo to obchodzi? Na krew Pana, oszukałeś mnie. – Levasseur podniósł kufel do ust.

Hunter wybrał tę chwilę, żeby zaatakować. Pchnął otwartą dłońią dno uniesionego kufła i wbił go Francuzowi w twarz. Levasseur huknął głową o ścianę, zagulgotał i upadł, krwawiąc z ust. Hunter chwycił kufel i trzasnął nim pijaka w głowę. Francuz legł nieprzytomny.

Hunter strząsnął z palców resztki wina, odwrócił się i wyszedł z gospody pani Denby.

Wdepnął po kostki w błoto na ulicy, ale nie zwrócił na to uwagi. Myślał o pijaństwie Levasseura. Głupio z jego strony, że się upił, czekając na kogoś.

Pora na następną wyprawę, pomyślał Hunter. Wszyscy zaczęli mięknąć. On też spędzał zbyt wiele wieczorów przy kieliszku albo z portowymi kobietami. Powinni znowu wyruszyć na morze.

Hunter brnął przez błoto, uśmiechając się i machając do krzykliwych ladacznic, które wychylały się z wysokich okien. Kierował się do rezydencji gubernatora.

\* \* \*

– Wszyscy mówią o komecie widzianej nad Londynem w przededniu zarazy – oświadczył kapitan Morton, popijając wino. – Przed zarazą w pięćdziesiątym szóstym też przyleciała kometa.

– No tak, przyleciała – przyznał Almont. – I co z tego? W pięćdziesiątym dziewiątym też przyleciała kometa, ale nie pamiętam żadnej zarazy.

– Epidemia ospy w Irlandii – odezwał się pan Hacklett – w tym samym roku.

– W Irlandii zawsze jest epidemia ospy – odparł Almont. – Co roku.

Hunter milczał. Niewiele mówił podczas całego obiadu, który znudził go śmiertelnie, jak wszystkie przyjęcia w rezydencji gubernatora. Na krótko zaintrygowały go nowe twarze – Morton, kapitan *Godspeed*, i Hacklett, nowy sekretarz, nadęty głupiec z miną świętoszka. I pani Hacklett, ciemna i smukła, wyglądająca trochę na Francuzkę, emanująca jakąś zwierzęcą zmysłowością.

Dla Huntera najbardziej interesującym momentem wieczoru było pojawienie się nowej służącej, uroczej jasnej blondyneczki, która wchodziła i wychodziła kilka razy. Ciągłe próbował przechwycić jej spojrzenie. Hacklett to zauważył i zmierzył go karcącym wzrokiem.

Nie po raz pierwszy tego wieczoru spoglądał karcąco na Huntera.

Kiedy dziewczyna podeszła, żeby ponownie napełnić im kieliszki, Hacklett zagadnął:

– Czy pan gustujesz w służących, panie Hunter?

– Jeśli są ładne – odparł Hunter niedbale. – A w czym pan gustujesz?

– Baranina jest doskonała – wymamrotał Hacklett mocno zaczerwieniony, wpatrując się w swój talerz.

Almont odchrząknął i skierował rozmowę na podróż przez Atlantyk, którą właśnie odbyli jego goście. Nastąpił opis tropikalnego sztormu, wygłoszony przez Mortona, który nie szczędził malowniczych i przerysowanych szczegółów i zachowywał się tak, jakby był pierwszym człowiekiem w historii ludzkości narażonym na trochę kołysania. Hacklett dorzucił garść przerażających akcentów, a pani Hacklett wyznała, że była całkiem chora.

Hunter coraz bardziej się nudził. Opróżnił swój kieliszek.

– Tak więc – ciągnął Morton – po dwóch dniach najokropniejszego sztormu na trzeci dzień wstał pogodny, piękny poranek. Wzrok sięgał na całe mile, a wiatr wiał prosto z północy. Ale nie znaleźliśmy naszej pozycji, ponieważ znosiło nas przez czterdzieści osiem godzin. Ujrzeliśmy ląd na bakburcie i popłynęliśmy tam.

Błąd, pomyślał Hunter. Widocznie Morton był zupełnie zielony. Na hiszpańskich wodach angielski statek nigdy nie płynął do lądu, jeśli nie wiedział, do kogo należy ten ląd. Mógł przecież należeć do Hiszpana.

– Opłynęliśmy wyspę i ku naszemu zdumieniu ujrzeliśmy okręt wojenny zakotwiczony w zatoce. Mała wysepka, ale okręt był hiszpański, z całą pewnością. Myśleliśmy, że ruszy za nami w pościg.

– I co się stało? – zapytał Hunter bez większego zainteresowania.

– Pozostał w zatoce – odparł Morton i wybuchnął śmiechem. – Wolałbym przedstawić bardziej ekscytujące zakończenie tej historii, ale prawdą jest, że okręt nas nie ścigał. Pozostał w zatoce.

– Oczywiście Hiszpan was zobaczył? – upewnił się Hunter, coraz bardziej zaciekawiony.

– No, na pewno. Płynęliśmy pod pełnymi żaglami.

– Jak blisko byliście?

– Nie więcej niż dwie albo trzy mile od brzegu. Wiecie, tej wyspy nie ma na naszych mapach, pewnie jest za mała. Ma tylko jedną zatokę z fortem po jednej stronie. Muszę przyznać, że wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Hunter powoli odwrócił się do Almonta. Gubernator spoglądał na niego z lekkim uśmiechem.

– Czy ten epizod pana rozbawił, kapitanie Hunter?

Hunter odwrócił się z powrotem do Mortona.

– Mówiłeś pan, że nad zatoką stała forteca?

– Istotnie, nawet dość imponująca.

– Na północnym czy południowym brzegu zatoki?

– Niech sobie przypomnę... na północnym. Dlaczego pan pytasz?

– Jak dawno temu widzieliście ten okręt? – zapytał Hunter.

– Trzy albo cztery dni temu. Powiedzmy, trzy dni. Jak tylko ustaliliśmy nasze położenie, ruszyliśmy prosto do Port Royal.

Hunter zabębnił palcami po stole. Zmarszczył brwi, spojrzał na pusty kieliszek. Zapadło krótkie milczenie.

Almont odchrząknął.

– Kapitanie Hunter, chyba cię wciągnęła ta historia.

– Zaintrygowała – sprostował Hunter. – Z pewnością zaintrygowała również gubernatora.

– Nie zamierzam ukrywać – odparł Almont – że zainteresowanie Korony



zostało rozbudzone.

Hacklett zeszywniał na krześle.

– Sir Jamesie – odezwał się – zechce pan oświecić resztę z nas co do znaczenia tego wszystkiego?

– Za chwilę – rzucił Almont, niecierpliwie machnąwszy ręką. Wpatrywał się uparcie w Huntera. – Jakie pan stawiasz warunki?

– Równy podział, po pierwsze.

– Drogi Hunterze, równy podział jest mało zachęcający dla Korony.

– Drogi gubernatorze, przy innym podziale ekspedycja będzie mało zachęcająca dla marynarzy.

Almont się uśmiechnął.

– Oczywiście zdajesz sobie pan sprawę, że nagroda jest olbrzymia.

– Owszem. Zdaję sobie również sprawę, że wyspa jest niezdobyta. W zeszłym roku wysłałeś tam, ekscelencjo, Edmunda z trzema setkami ludzi. Tylko jeden powrócił.

– Sam pan wyraziłeś opinię, że Edmunds jest niezbyt przedsiębiorczym człowiekiem.

– Ale Cazalla jest bardzo przedsiębiorczy.

– Istotnie. A jednak mam wrażenie, że chciałbyś pan spotkać tego Cazallę.

– Tylko jeśli podział będzie równy.

– Ale – podjął sir James, uśmiechając się swobodnie – jeśli spodziewasz się, że Korona wyposaży ekspedycję, musicie zwrócić te koszty przed dokonaniem podziału.

Uczciwie?

– Zaraz – wtrącił się ponownie Hacklett. – Sir Jamesie, czy pan się targujesz z tym człowiekiem?

– Ależ skąd. Zawieram z nim dżentelmeńską umowę.

– W jakim celu?

– W celu zorganizowania korsarskiej wyprawy na hiszpański przyczółek na Matanceros.

– Matanceros? – powtórzył Morton.

– Tak się nazywa wysepka, którą pan minąłeś, kapitanie Morton.

Matanceros. Hiszpan zbudował tam fortecę dwa lata temu, pod dowództwem owego niemiłego Cazalli. Może słyszałeś o nim? Nie? No, w Indiach Zachodnich ten człowiek zdobył znaczną reputację.

Podobno najlepiej wypoczywa, słuchając krzyków swoich konających ofiar.  
– Almont rozejrzał się po twarzach swoich gości. Pani Hacklett wyraźnie zbladła.  
– Cazalla dowodzi fortecą Matanceros, która jest najbardziej wysuniętą na wschód placówką hiszpańskiego dominium na trasie powrotnej floty skarbów.

Zapadło długie milczenie. Goście wyglądali nieswojo.

– Widzę, że nie pojmujecie w pełni gospodarki tego regionu – powiedział Almont. – Co roku Filip wysyła tu z Kadyksu flotę galeonów. Płyną do hiszpańskich posiadłości i najpierw zmierzają do lądu na południe, przy brzegu Nowej Hiszpanii. Potem flota się rozdziela i płynie do różnych portów: Cartagena, Veracruz, Portobello... żeby zabrać skarby. Statki ponownie spotykają się w Hawanie, skąd płyną z powrotem na wschód do Hiszpanii. Podróżują razem dla ochrony przed napadami korsarzy. Czy wyrażam się jasno?

Wszyscy przytaknęli.

– Tak więc – podjął gubernator – armada wypływa późnym latem, kiedy rozpoczyna się sezon huraganów. Od czasu do czasu zdarza się, że statki oddzielają się od konwoju na początku podróży. Hiszpan chciał mieć silną ufortyfikowaną zatokę, żeby chronić te statki.

Wyłącznie z tego powodu zbudowali twierdzę Matanceros.

– To na pewno nie jest wystarczający powód – zaprotestował Hacklett. – Nie wyobrażam sobie...

– To dostateczny powód – uciął Almont. – Zatem przypadek chciał, że dwa naos ze skarbami zaginęły w sztormie parę tygodni temu. Wiemy o tym, ponieważ dostrzegł je okręt korsarski, który zaatakował je bez powodzenia. Ostatnio widziano, jak kierowały się na południe, w stronę Matanceros. Jeden był poważnie uszkodzony. To, co pan nazwał hiszpańskim okrętem wojennym, kapitanie Morton, to był jeden z tych galeonów ze skarbami.

Gdyby to był prawdziwy okręt wojenny, z pewnością ścigałby was na dystansie dwóch mil i pojmał, i teraz wypluwalibyście płuca we wrzasku ku uciesze Cazalli. Ten statek was nie ścigał, ponieważ nie ośmielił się opuścić

bezpiecznego schronienia w zatoce.

– Jak długo tam zostanie? – zapytał Morton.

– Może odpłynąć w każdej chwili. Albo zaczekać, aż następna flota wypłynie w przyszłym roku. Bądź też zaczekać na hiszpański okręt wojenny, który będzie go eskortował do domu.

– Czy można go zdobyć? – zapytał Morton.

– Każdy by chciał. Ten statek prawdopodobnie przewozi fortunę o łącznej wartości pół miliona funtów.

Przy stole zapadło zdumione milczenie.

– Miałem przeczucie – dodał Almont z rozbawieniem – że ta informacja zainteresuje kapitana Huntera.

– To znaczy, że ten człowiek jest pospolitym korsarzem? – obruszył się Hacklett.

– Bynajmniej nie pospolitym – zachichotał Almont. – Kapitanie Hunter?

– Nie powiedziałbym, że pospolitym.

– Ależ to jest skandaliczna nieobyczajność!

– Zapomina pan o manierach – zwrócił mu uwagę Almont. – Kapitan Hunter jest drugim synem majora Edwarda Huntera z kolonii Massachusetts Bay. Urodził się w Nowym Świecie i kształcił w tej instytucji, jak to się nazywa...

– Harvard – podpowiedział Hunter.

– Hm, tak, Harvard. Kapitan Hunter jest wśród nas od czterech lat i jako korsarz ma pewną pozycję w naszej społeczności. Czy to trafne podsumowanie, kapitanie Hunter?

– Całkiem trafne – przyświadczył Hunter, szczerząc zęby.

– Ten człowiek to łajdak – oświadczył Hacklett, ale jego żona spoglądała na Huntera z nowym zainteresowaniem. – Pospolity łajdak.

– Powinieneś uważać na słowa – ostrzegł go spokojnie Almont. – Pojedynki są zakazane na tej wyspie, jednak zdarzają się z monotonną regularnością. Niestety niewiele mogą zrobić, żeby ukrócić ten zwyczaj.

– Słyszałem o tym człowieku – ciągnął Hacklett, coraz bardziej przejęły. – Wcale nie jest synem majora Edwarda Huntera, przynajmniej nie ślubnym.

Hunter podrapał się po brodzie.

– Czyżby?

Przy stole zapadło zdumione milczenie.

– Miałem przecucie – dodał Almont z rozbawieniem – że ta informacja zainteresuje kapitana Huntera.

– To znaczy, że ten człowiek jest pospolitym korsarzem? – obruszył się Hacklett.

– Bynajmniej nie pospolitym – zachichotał Almont. – Kapitanie Hunter?

– Nie powiedziałbym, że pospolitym.

– Ależ to jest skandaliczna nieobyczajność!

– Zapomina pan o manierach – zwrócił mu uwagę Almont. – Kapitan Hunter jest drugim synem majora Edwarda Huntera z kolonii Massachusetts Bay. Urodził się w Nowym Świecie i kształcił w tej instytucji, jak to się nazywa...

– Harvard – odpowiedział Hunter.

– Hm, tak, Harvard. Kapitan Hunter jest wśród nas od czterech lat i jako korsarz ma pewną pozycję w naszej społeczności. Czy to trafne podsumowanie, kapitanie Hunter?

– Całkiem trafne – przyświadczył Hunter, szczerząc zęby.

– Ten człowiek to łajdak – oświadczył Hacklett, ale jego żona spoglądała na Huntera z nowym zainteresowaniem. – Pospolity łajdak.

– Powinieneś uważać na słowa – ostrzegł go spokojnie Almont. – Pojedyńki są zakazane na tej wyspie, jednak zdarzają się z monotonną regularnością. Niestety niewiele mogą zrobić, żeby ukrócić ten zwyczaj.

– Słyszałem o tym człowieku – ciągnął Hacklett, coraz bardziej przejęty. – Wcale nie jest synem majora Edwarda Huntera, przynajmniej nie ślubnym.

Hunter podrapał się po brodzie.

– Czyżby?

– Tak słyszałem – upierał się Hacklett. – Co więcej, słyszałem, że to morderca, łotr, dziwkarz i pirat.

Na słowo „pirat” ręka Huntera śmignęła nad stołem z niezwykłą szybkością. Wczepiła się we włosy Hackletta i wepchnęła mu twarz w niedojedzoną baraninę. Hunter przytrzymał go tak przez długą chwilę.

– Ojej – powiedział Almont. – Ostrzegałem go wcześniej. Widzisz, panie

Hacklett, korsarstwo to honorowe zajęcie. Natomiast piraci to przestępcy. Czy naprawdę uważasz, że kapitan Hunter jest przestępcą?

Hacklett wydał stłumiony dźwięk, z twarzą w talerzu.

– Nie dosłyszałem, panie Hacklett.

– Powiedziałem „nie” – wykrztusił Hacklett.

– W takim razie nie sądzisz, że jako dżentelmen powinieneś przeprosić kapitana Huntera?

– Przepraszam, kapitanie Hunter. Nie chciałem pana obrazić.

Hunter puścił sekretarza. Hacklett wyprostował się i serwetką wytarł sos z twarzy.

– No, już w porządku – stwierdził Almont. – Nieprzyjemna chwila minęła. Zjemy deser?

Hunter rozejrzał się wokół stołu. Hacklett wciąż wycierał twarz. Morton wpatrywał się w niego z nieukrywanym zdumieniem. Pani Hacklett też na niego patrzyła i kiedy napotkała jego wzrok, oblizwała usta.

\* \* \*

Po obiedzie Hunter i Almont siedzieli sami w bibliotece, popijając brandy. Hunter wyraził współczucie dla gubernatora z powodu nowego sekretarza.

– On mi nie ułatwi życia – zgodził się Almont – i obawiam się, że tobie też nie.

– Myślisz pan, że wyśle nieprzychylne raporty do Londynu?

– Z pewnością spróbuje.

– Król na pewno wie, co się dzieje w jego kolonii.

– To kwestia punktu widzenia – odparł Almont, wykonując nonszalancki gest. – Jedno jest pewne: nie przestaniemy zaopatrywać korsarzy, jeśli to się królowi hojnie opłaci.

– Zgodzę się tylko na równy podział – powiedział szybko Hunter. – Powtarzam, nie może być inaczej.

– Ale jeśli Korona wyposaży twoje statki, uzbroi marynarzy...

– Nie – przerwał Hunter. – To nie będzie konieczne.

– Nie będzie konieczne? Mój drogi Hunterze, znasz pan Matanceros. Stacjonuje tam pełny hiszpański garnizon.

Hunter pokręcił głową.

– Frontalny atak nigdy się nie uda. Dowiodła tego ekspedycja Edmunda.

– Ale jaką mamy alternatywę? Forteca na Matanceros broni wejścia do zatoki. Nie możemy uciec ze statkiem skarbów, jeśli najpierw nie zdobędziemy fortecy.

– Zaiste.

– No więc?

– Proponuję mały wypad od strony lądu.

– Przeciwno całemu garnizonowi? Co najmniej trzystu żołnierzy? Nie dacie rady.

– Przeciwnie – zaprzeczył Hunter. – Jeśli nie damy rady, Cazalla skieruje działa na galeon ze skarbami i zatopi go na kotwicy w zatoce.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Almont. Łyknął brandy. – Powiedz mi pan więcej o swoim planie.

– Myślisz pan, że wyśle nieprzychylne raporty do Londynu?

– Z pewnością spróbuje.

– Król na pewno wie, co się dzieje w jego kolonii.

– To kwestia punktu widzenia – odparł Almont, wykonując nonszalancki gest. – Jedno jest pewne: nie przestaniemy zaopatrywać korsarzy, jeśli to się królowi hojnie opłaci.

– Zgodzę się tylko na równy podział – powiedział szybko Hunter. – Powtarzam, nie może być inaczej.

– Ale jeśli Korona wyposaży twoje statki, uzbroi marynarzy...

– Nie – przerwał Hunter. – To nie będzie konieczne.

– Nie będzie konieczne? Mój drogi Hunterze, znasz pan Matanceros. Stacjonuje tam pełny hiszpański garnizon.

Hunter pokręcił głową.

– Frontalny atak nigdy się nie uda. Dowiodła tego ekspedycja Edmunda.

– Ale jaką mamy alternatywę? Forteca na Matanceros broni wejścia do zatoki. Nie możemy uciec ze statkiem skarbów, jeśli najpierw nie zdobędziemy

fortecy.

– Zaiste.

– No więc?

– Proponuję mały wypad od strony lądu.

– Przeciwno całemu garnizonowi? Co najmniej trzystu żołnierzy? Nie dacie rady.

– Przeciwnie – zaprzeczył Hunter. – Jeśli nie damy rady, Cazalla skieruje działa na galeon ze skarbami i zatopi go na kotwicy w zatoce.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Almont. Łyknął brandy. – Powiedz mi pan więcej o swoim planie.

# Rozdział 7

Później, kiedy Hunter wychodził z rezydencji gubernatora, w holu pojawiła się pani Hacklett i podeszła do niego.

– Kapitanie Hunter.

– Tak, pani Hacklett?

– Pragnę przeprosić za niewybaczalne zachowanie mojego męża.

– Nie trzeba żadnych przeprosin.

– Przeciwnie, kapitanie. Uważam, że przeprosiny są potrzebne. Zachował się jak prostak i cham.

– Pani, twój mąż przeprosił jak dżentelmen z własnej nieprzymuszonej woli, zatem sprawa jest zamknięta. – Skłonił jej się. – Miłego wieczoru.

– Kapitanie Hunter.

Przystanął przy drzwiach i odwrócił się.

– Tak, pani?

– Jesteś pan bardzo atrakcyjnym mężczyzną, kapitanie.

– Pani, jesteś zbyt łaskawa. Będę niecierpliwie czekał na nasze następne spotkanie.

– Ja też, kapitanie.

Hunter wyszedł, myśląc, że Hacklett powinien lepiej pilnować żony. Widywał to już przedtem – dobrze urodzona kobieta, wychowana na spokojnej angielskiej prowincji, która oddawała się rozrywkom na królewskim dworze – jak niewątpliwie czyniła pani Hacklett – jeśli mąż przymykał oko – jak niewątpliwie czynił pan Hacklett. Niemniej kiedy znalazła się w Indiach Zachodnich, daleko od domu, daleko od konwenansów... Hunter już to widywał.

Ruszył ulicą wybrukowaną kocimi łbami. Minął kuchnię, wciąż rześkie oświetloną, gdzie pracowała służba. Wszystkie domy w Port Royal miały



oddzielne kuchnie ze względu na gorący klimat. Przez otwarte okna zobaczył sylwetkę jasnowłosej dziewczyny, która usługiwała do obiadu. Pomachał jej.

Pomachała w odpowiedzi i wróciła do pracy.

\* \* \*

Przed gospodą pani Denby tłumek drażnił niedźwiedzia. Hunter patrzył, jak dzieci obrzucały kamieniami bezbronne zwierzę; śmiały się, chichotały i pokrzykiwały, kiedy niedźwiedź ryczał i szarpał się na mocnym łańcuchu. Kilka ladacznic okładało bestię kijami. Hunter wyminął je i wszedł do gospody.

Trencher siedział w kącie, trzymając kufel w zdrowej ręce. Hunter zawołał go i odciągnął na bok.

– Co jest, kapitanie? – zapytał gorliwie Trencher.

– Znajdź mi kilku oficerów.

– Kto to ma być, kapitanie?

– Lazue, pan Enders, Sanson. I Maur.

Trencher się uśmiechnął.

– Mam ich tu przyprowadzić?

– Nie. Dowiedz się, gdzie są, a ja sam ich znajdę. Gdzie jest Szept?

– Pod Niebieskim Kozłem – odparł Trencher. – W pokoju na zapleczu.

– A Czarnooki jest na Farrow Street?

– Chyba tak. Żyda też chcesz?

– Mam zaufanie do twojego języka – odparł Hunter. – Więc trzymaj go za zębami.

– Zabierzesz mnie ze sobą, kapitanie?

– Jeśli zrobisz, co ci każę.

– Przysięgam na rany Chrystusa, kapitanie.

– Więc dobrze się rozglądaj.

Hunter wyszedł z gospody na błotnistą ulicę. Nocne powietrze było równie ciepłe i nieruchome jak w ciągu dnia. Gdzieś rozległo się brzdąkanie na gitarze, pijacki śmiech i pojedynczy strzał. Hunter ruszył po Ridge Street w stronę gospody Pod Niebieskim Kozłem.

Miasto Port Royal dzieliło się z grubsza na dzielnice otaczające port. Najbliżej doków skupiały się tawerny, burdele i domy gry. W głębi lądu, dalej od hałaśliwej portowej krzątanimy, ulice były spokojniejsze. Tutaj znajdowały się sklepy spożywcze i piekarnie, warsztaty stolarskie i składy dostawców okrętowych, kowale i złotnicy. Jeszcze dalej, po południowej stronie zatoki, stały nieliczne porządne gospody i domy prywatne. Gospoda Pod Niebieskim Kozłem była porządna.

Hunter wszedł i kiwnął głową mężczyznom pijącym przy stołach. Rozpoznał najlepszego lądowego lekarza, pana Perkinsa, jednego z radnych, pana Pickeringa, zarządcę więzienia w Bridewell i kilku innych szacownych dżentelmenów.

Z reguły zwykłych korsarzy niechętnie widziano Pod Niebieskim Kozłem, jednak Hunter cieszył się specjalnymi względami. Wynikało to z prostego faktu, że handel w porcie zależał od regularnych i udanych wypraw korsarskich. Hunter był śmiałym i doświadczonym kapitanem, zatem ważnym członkiem społeczności. W poprzednim roku jego trzy wyprawy przyniosły miastu ponad dwieście tysięcy pistoli i dublonów. Sporo tych pieniędzy trafiło do kieszeni obecnych tu dżentelmenów, toteż powitali go uprzejmie.

Pani Wickham, która zarządzała Niebieskim Kozłem, okazała większy chłód. Jako wdowa kilka lat wcześniej związała się z Szeptem, kiedy więc zjawił się Hunter, wiedziała, że przyszedł po niego. Wskazała kciukiem pokój na zapleczu.

– Tam, kapitanie.

– Dziękuję, pani Wickham.

Poszedł prosto na zaplecze, zapukał i otworzył drzwi, nie czekając na zaproszenie; wiedział, że go nie usłyszy. W pokoju panował mrok, paliła się tylko jedna świeca. Hunter zamrugał, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności. Usłyszał rytmiczne skrzypienie. W końcu zobaczył Szepta, który siedział w kącie na bujanym fotelu. Szept trzymał nabity pistolet, wycelowany w brzuch Huntera.

– Dobry wieczór, Szept.

W odpowiedzi rozległ się cichy, chrapliwy syk:

– Dobry wieczór, kapitanie Hunter. Jesteś sam?

– Tak.

– Więc wejdź – padło syczące zaproszenie. – Łyczek kill–devil [(zabić diabła) – w XVII wieku w koloniach angielskich nazywano tak nieoczyszczony rum ze względu na piekielną moc i palący smak]?

Szept wskazał beczkę, która służyła mu za stół. Na beczce stały kieliszki i mała gliniana flaszka rumu.

– Z podziękowaniem, Szept.

Hunter patrzył, jak Szept napełnia dwa kieliszki ciemnobrązowym trunkiem. Oczy już mu się przyzwyczyły i widział lepiej swojego towarzysza.

Szept – nikt nie znał jego prawdziwego imienia – był wielkim, masywnie zbudowanym mężczyzną z ogromnymi bladymi rękami. Niegdyś sam był zwycięskim kapitanem korsarzy.

Potem popłynął na Matanceros z wyprawą Edmunda. Szept jako jedyny powrócił z tej wyprawy, chociaż Cazalla pojmał go, poderznął mu gardło i porzucił na śmierć. Jakimś cudem Szept przeżył, ale stracił głos. Po tym wypadku pozostała mu duża, biała, łukowata blizna pod brodą.

Od powrotu do Port Royal Szept ukrywał się w tym pokoju na zapleczu, silny, zdrowy mężczyzna, ale pozbawiony bojowego ducha. Bał się; nigdy nie wypuszczał z ręki broni, a drugą trzymał przy sobie. Teraz, kiedy zakołysał się w fotelu, Hunter dostrzegł błysk kordelasa na podłodze, w zasięgu ręki.

– Co cię sprowadza, kapitanie? Matanceros?

Widocznie Hunter wyglądał na zaskoczonego, bo Szept wybuchnął śmiechem. Odrzucił głowę do tyłu, odsłaniając białą bliznę. Śmiech Szepa brzmiał przerażająco, piskliwe rzeźące syczenie jak z kotła parowego.

– Zaskoczyłem cię, kapitanie? Dziwisz się, że wiem?

– Szept – powiedział Hunter – czy inni wiedzą?

– Niektórzy – zasyczał Szept. – Albo podejrzewają. Ale oni nie rozumieją. Słyszałem opowieść o podróży Mortona.

– Ach.

– Popłyniesz, kapitanie?

– Opowiedz mi o Matanceros, Szept.

– Chcesz mapę?

- Tak.
- Piętnaście szylingów?
- Zgoda.

Hunter wiedział, że zapłaciłby Szeptowi i dwadzieścia, żeby kupić jego przyjaźń i dyskrecję wobec późniejszych gości. A ze swojej strony Szept wiedział, że piętnaście szylingów nakłada na niego określone zobowiązanie. I zdawał sobie sprawę, że zginąłby z ręki Huntera, gdyby powiedział komuś jeszcze o Matanceros.

Szept wyciągnął strzęp ceraty i kawałek węgla drzewnego. Rozpostarł ceratę na kolanie i zaczął szybko szkicować.

– Matanceros to po hiszpańsku rzeźnia – szeptał. – Wyspa ma kształt litery U, mniej więcej. Ujście zatoki jest skierowane na wschód, na ocean. Ten punkt – stuknął w lewe ramię U – to Punta Matanceros. Tam Cazalla zbudował fortecę. Teren jest tam niski. Forteca stoi najwyżej pięćdziesiąt kroków nad poziomem morza.

Hunter kiwnął głową i czekał, kiedy Szept przełykał porcję kill–devil.

– Forteca ma osiem boków. Ściany są z kamienia, wysokie na trzydzieści stóp. W środku stacjonuje hiszpański garnizon.

– W jakiej sile?

– Jedni mówią, że dwustu ludzi. Inni mówią, że trzystu. Słyszałem nawet, że czterystu, ale w to nie wierzę.

Hunter przytaknął. Powinien liczyć na trzystu żołnierzy.

– A działa?

– Tylko po dwóch stronach fortecy – wyrzucił Szept. – Jedna bateria skierowana na wschód, na ocean. Druga na południe, ponad ujściem zatoki.

– Co to za działa?

Szept zaśmiał się swoim okropnym śmiechem.

– Bardzo interesujące, kapitanie. To *culebrinas*, dwudziestoczterofuntowe, z kutego brązu.

– Ile?

– Dziesięć, może dwanaście.

Rzeczywiście interesujące, pomyślał Hunter. *Culebrinas* – po angielsku

kolubryny – nie należały do najsilniejszej klasy uzbrojenia i nie stosowano ich już na statkach. Zamiast nich standardowym wyposażeniem na okrętach wojennych wszelkich narodowości stały się krótkie armaty.

Kolubryna była starszą bronią. Ważyła ponad dwie tony i miała lufę długości do piętnastu stóp. Taka lufa zapewniała zabójczą celność na długich dystansach. Kolubryna strzelała ciężkimi kulami i szybko się ją ładowało. W rękach doświadczonych artylerzystów mogła oddawać strzał nawet co minutę.

– Więc dobrze się zabezpieczyli – stwierdził Hunter. – Kto jest ogniomistrzem?

– Bosquet.

– Słyszałem o nim – przyznał Hunter. – Czy to nie on zatopił Renown?

– On – syknął Szept.

Więc załogi artylerzystów są dobrze wyszkolone. Hunter zmarszczył brwi.

– Szept – zagadnął – nie wiesz, czy kolubryny są zamocowane na stałe?

Szept przez długą chwilę kołysał się w przód i w tył.

– Zwariowałeś, kapitanie.

– Jak to?

– Planujesz atak od strony lądu.

Hunter przytaknął.

– Nigdy wam się nie uda – oświadczył Szept. Postukał w mapę na kolanach. – Edmunds o tym myślał, ale kiedy zobaczył wyspę, zrezygnował. Popatrz, jeśli wylądujesz na zachodzie – wskazał wygięcie litery U – możesz wykorzystać tę małą zatoczkę. Ale żeby dotrzeć lądem do głównej zatoki Matanceros, musisz się wspiąć na grań Leres i zejść po drugiej stronie.

Hunter uczynił gest zniecierpliwienia.

– Czy tak trudno wspiąć się na grań?

– To niemożliwe – zasyczał Szept. – Zwyczajny człowiek tego nie dokona. Od tego miejsca, od zatoczki na zachodzie, teren łagodnie się wznosi na pięćset stóp i więcej. Ale to gęsta, nieprzebyta dżungla z licznymi bagnami. Nie ma słodkiej wody. Są patrole. Jeśli patrole was nie złapią i nie umrzą na febrę, wyjdziecie u podnóża grani. Zachodni stok grani Leres to pionowa skała wysokości trzystu stóp. Nawet ptak nie uwije tam gniazda.

Wiatr dmie nieustannie z siłą huraganu.

– Jeśli tam wejść – zapytał Hunter – co dalej?

– Wschodnie zbocze jest łagodne i nie sprawia trudności – odparł Szept. – Ale nigdy nie przejdziesz na wschodnią stronę, zapewniam cię.

– Ale jeśli przejdę – upierał się Hunter – co z bateriami Matanceros?

Szept lekko wzruszył ramionami.

– Są skierowane na wodę, kapitanie. Cazalla nie jest głupcem. Wie, że nie można go zaatakować od strony lądu.

– Zawsze jest sposób.

Szept długo, w milczeniu kołysał się na fotelu.

– Nie zawsze – powiedział w końcu. – Nie zawsze.

\* \* \*

Don Diego de Ramano, znany jako Czarnooki albo po prostu Żyd, siedział zgarbiony nad warsztatem w sklepie na Farrow Street. Zamrugał krótkowzrocznie do perły, którą trzymał pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym lewej dłoni – tylko tyle palców mu zostało u tej ręki.

– Doskonała jakość – ocenił. Zwrócił perłę Hunterowi. – Radzę ci ją zatrzymać.

Czarnooki szybko zamrugał. Oczy miał słabe i różowe jak u królika. Niemal bez przerwy łzawiły; od czasu do czasu je ocierał. W prawym oku blisko źrenicy widniała duża czarna plama – stąd przydomek.

– Nie musiałem ci tego mówić, Hunter.

– Nie, Diego.

Żyd kiwnął głową i podniósł się zza warsztatu. Przeszedł przez wąski sklep, zamknął drzwi na ulicę. Potem zatrzaskał okiennice na oknie i odwrócił się do Huntera.

– No więc?

– Jak twoje zdrowie, Diego?

– Moje zdrowie, moje zdrowie – wymamrotał don Diego, wpychając ręce głęboko w kieszenie luźnego chałatu. Był przewrażliwiony na punkcie

okaleczonej lewej ręki. – Moje zdrowie jest przeciętne, jak zawsze. Tego też nie musiałem ci mówić.

– Czy interes kwitnie? – zagadnął Hunter, rozglądając się po pomieszczeniu.

Na prymitywnych stołach rozłożono złotą biżuterię. Żyd sprzedawał w tym sklepie prawie od dwóch lat.

Don Diego usiadł. Popatrzył na Huntera, pogładził się po brodzie i otarł łzy z oczu.

– Hunter – powiedział – irytujesz mnie. Mów, o co ci chodzi.

– Zastanawiałem się – zaczął Hunter – czy ciągle pracujesz z prochem.

– Proch? Proch? – Żyd spojrział w drugą stronę i zmarszczył brwi, jakby nie znał znaczenia tego słowa. – Nie, nie pracuję z prochem. Nie po tym – wskazał poczerwiałe oko – i po tym. – Podniósł lewą dłoń bez palców. – Już nie pracuję z prochem.

– Czy możesz zmienić zdanie?

– Nigdy.

– Nigdy to dużo czasu.

– Nigdy znaczy nigdy, Hunter.

– Nawet żeby zaatakować Cazallę?

Żyd chrząknął.

– Cazalla – powiedział ciężko. – Cazalla jest na Matanceros i nie można go tknąć.

– Zamierzam go zaatakować – powiedział cicho Hunter.

– Kapitan Edmunds też tak zrobił w zeszłym roku. – Don Diego skrzywił się na to wspomnienie. Finansował częściowo tę ekspedycję. Stracił zainwestowane pieniądze: pięćdziesiąt funtów. – Matanceros jest niezdojta, Hunter. Nie pozwól, żeby próżność zagłuszyła twój rozsądek. Fortecy nie można opanować. – Wytarł łzy z policzków. – Poza tym tam nic nie ma.

– Nie w fortocy – zgodził się Hunter. – Ale w zatoce?

– Zatoka? Zatoka? – Czarnooki znowu zapatrzył się w przestrzeń. – Co jest w zatoce? Ach. Pewnie naos ze skarbami, które się zgubiły w sierpniowym sztormie, tak?

– Jeden z nich.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

– Jeden nao – Żyd zamrugnął jeszcze szybciej. Podrapał się w nos palcem wskazującym okaleczonej lewej ręki, wyraźnie zaabsorbowany. – Pewnie jest wyładowany tytoniem i cynamonem – stwierdził ponuro.

– Pewnie jest wyładowany złotem i perłami – odparł Hunter. – Inaczej popłynąłby prosto do Hiszpanii i zaryzykował schwytanie. Popłynął na Matanceros tylko dlatego, że przewozi wielkie skarby i nie odważył się ryzykować.

– Może, może...

Hunter uważnie obserwował Żyda. Don Diego był wielkim aktorem.

– Założmy, że masz rację – powiedział wreszcie. – To mnie nie interesuje. Nao w zatoce Matanceros jest równie bezpieczny, jakby kotwiczył w samym Kadyksie. Chroni go forteca, a fortecy nie można zdobyć.

– To prawda – przyznał Hunter. – Ale baterie dział, które strzegą zatoki, można zniszczyć... jeśli zdrowie ci dopisze i znowu popracujesz z prochem.

– Pochlebiasz mi.

– Wcale nie.

– Co ma do tego moje zdrowie?

– Plan, który sporządziłem, wymaga sporo trudu.

Don Diego zmarszczył brwi.

– To znaczy, że mam popłynąć z tobą?

– Oczywiście. A co myślałeś?

– Myślałem, że chcesz pieniędzy. Chcesz, żebym popłynął?

– To konieczne, Diego.

Żyd nagle wstał.

– Żeby zaatakować Cazallę – rzucił, nagle podniecony. Zaczął chodzić tam i z powrotem. – Marzyłem o jego śmierci codziennie od dziesięciu lat, Hunter. Marzyłem... – Zatrzymał się i spojrzał na Huntera. – Ty też masz swoje powody.

– Mam – przytaknął Hunter.

– Ale czy to się da zrobić? Naprawdę?



– Naprawdę, Diego.

– Więc chcę usłyszeć plan – oznajmił Żyd z wielkim przejęciem. – I chcę wiedzieć, jakiego prochu potrzebujesz.

– Potrzebuję wynalazku – wyjaśnił Hunter. – Musisz sfabrykować coś, co nie istnieje.

Żyd otarł łzy z oczu.

– Powiedz mi – poprosił. – Powiedz mi.

\* \* \*

Pan Enders, cyrulik i wilk morski, delikatnie przyłożył pijawkę do szyi pacjenta. Mężczyzna, odchyłony na oparcie fotela, z twarzą zakrytą ręcznikiem, stęknął, kiedy ślimakokształtne stworzenie dotknęło jego skóry. Pijawka natychmiast napęczniała od krwi.

Enders zanucił cicho pod nosem.

– No już, już – powiedział. – Za parę chwil poczujesz się pan dużo lepiej. Zobaczysz, łatwiej ci będzie oddychać, no i damom też pokażesz to i owo. – Poklepał policzek okryty ręcznikiem. – Wyjdę na chwilkę zaczerpnąć powietrza i zaraz wracam.

Po tych słowach Enders wyszedł z zakładu, ponieważ zobaczył, że Hunter kiwa na niego z ulicy. Enders był niskim mężczyzną o szybkich, precyzyjnych ruchach; zdawało się, że nie chodził, tylko tańczył. Prowadził skromny interes w porcie, ponieważ wielu pacjentów przeżyło jego zabiegi, czego nie można powiedzieć o kuracjach innych chirurgów. Lecz jego największym talentem i prawdziwą namiętnością było pilotowanie statku pod żaglami.

Enders, prawdziwy artysta morza, jakich rzadko się spotyka, był sternikiem idealnym, człowiekiem, który zdawał się tworzyć jedność z prowadzonym przez niego statkiem.

– Potrzebujesz golenia, kapitanie? – zapytał Huntera.

– Załogi.

– Więc znalazłeś lekarza okrętowego – odparł Enders. – A co to za rejs?

– Wyrąb kamieszynów – oznajmił Hunter, szczerząc zęby.

– Zawsze chętnie zrąbię parę kampszynów – zapewnił Enders. – A czyje to drzewa?

– Cazalli.

Żartobliwy nastrój natychmiast opuścił Endersa.

– Cazalla? Płyniesz na Matanceros?

– Ciszej – syknął Hunter, rozglądając się po ulicy.

– Kapitanie, kapitanie, samobójstwo to grzech w oczach Boga.

– Wiesz, że cię potrzebuję – nalegał Hunter.

– Ale życie jest słodkie, kapitanie.

– Złoto też – rzucił Hunter.

Enders zamilkł, marszcząc brwi. Wiedział, podobnie jak wiedział Żyd, jak wiedzieli wszyscy w Port Royal, że w fortecy Matanceros nie ma złota.

– Może wyjaśnisz?

– Lepiej nie.

– Kiedy odpływasz?

– Za dwa dni.

– I poznamy powody w Buli Bay?

– Masz moje słowo.

Enders w milczeniu wyciągnął rękę, którą Hunter uścisnął. Pacjent w zakładzie zajęczał i poruszył się niespokojnie.

– Ojej, ten biedak! – zawołał Enders i pospieszył z powrotem do sklepu.

Pijawka, rozdęta od krwi, ronila czerwone krople na drewnianą podłogę. Enders oderwał ją, a pacjent wrzasnął.

– No, no, spokojnie, wasza ekscelencjo.

– Jesteś zwykłym przeklętym piratem i łotrem – oświadczył sir James Almont, zerwał ręcznik z twarzy i przycisnął do pogryzionej szyi.

\* \* \*

Lazue przebywał w domu uciech na Lime Road, otoczony przez rozchichotane kobiety. Był Francuzem; nazwisko pochodziło od zniekształconego Les Yeux, gdyż oczy tego marynarza były duże, bystre i opowiadano o nich

legendy. Lazue widział najlepiej ze wszystkich w ciemnościach nocy; niejedną raz Hunter przeprowadził swoje statki przez rafy i mielizny dzięki temu, że Lazue zajął miejsce na forkaasztelu. Ten smukły, zwinny jak kot człowiek był również znakomitym strzelcem.

– Hunter – zamruczał Lazue, obejmując ramieniem piersiastą dziewczynę. – Hunter, przyłącz się do nas.

Dziewczyny zachichotały i poprawiły włosy.

– Słowo na osobności, Lazue.

– Ale nudziarz z ciebie. – Lazue westchnął i pocałował każdą ze swoich towarzyszek.

– Wróć do was, ślicznotki.

Poszedł za Hunterem do ciemnego kąta. Dziewczyna przyniosła im dzbanek kill–devil i dwa kieliszki.

Hunter popatrzył na splątane, długie do ramion włosy Lazue i gładką twarz.

– Znowu się upijasz, Lazue?

– Nie tak bardzo, kapitanie – zarechotał Lazue. – Gadaj, o co chodzi.

– Za dwa dni wypływam w rejs.

– Tak? – Lazue nagle wytrzeźwiał. Spojrzenie dużych, czujnych oczu skupiło się na Hunterze. – Dokąd?

– Matanceros.

Lazue wybuchnął głębokim, grzmącym śmiechem. Dziwnie brzmiał ten dźwięk wydobywający się z tak smukłego ciała.

– Matanceros znaczy „rzeźnia” i podobno pasuje do swojej nazwy.

– Ale tam płynę – powiedział Hunter.

– Musisz mieć dobry powód.

– Mam.

Lazue kiwnął głową, nie spodziewając się usłyszeć więcej. Mądry kapitan nie zdradzał zbyt wiele ze swoich planów, dopóki załoga nie wyruszyła w rejs.

– Czy powód jest równie dobry jak niebezpieczeństwo poważne?

– Tak.

Lazue wpił się wzrokiem w twarz Huntera.

– Chcesz kobiety w tej wyprawie?

– Dlatego przyszedłem.

Lazue znowu się roześmiał. W roztargnieniu podrapał się po małych piersiach. Chociaż ubierał się, zachowywał i walczył jak mężczyzna, był kobietą. Niewielu znało jej historię, ale Hunter do nich należał.

Lazue była córką bretońskiej żony marynarza. Mąż był na morzu, kiedy żona odkryła, że jest w ciąży, po czym powiła chłopca. Jednak mąż nigdy nie wrócił – zaginął bez wieści – i po kilku miesiącach kobieta znowu zaszła w ciążę. Obawiając się skandalu, wyjechała do innej wioski w tej prowincji, gdzie wydała na świat dziewczynkę, Lazue.

Minął rok i synek umarł. Tymczasem matka wydała wszystkie pieniądze i musiała wrócić do rodzinnej wioski, żeby zamieszkać z rodzicami. Dla uniknięcia hańby przebrała córkę za syna. Oszustwo udało się tak dobrze, że nikt w wiosce, włącznie z dziadkami dziecka, nie podejrzewał prawdy. Lazue dorastała jako chłopiec i w wieku trzynastu lat została stangretem miejscowego szlachcica; później wstąpiła do francuskiej armii i przez kilka lat żyła wśród żołnierzy, i nigdy jej nie zdemaskowano. W końcu – przynajmniej tak opowiadała – zakochała się w przystojnym młodym oficerze kawalerii i wyznała mu swój sekret. Mieli namiętny romans, ale oficer się z nią nie ożenił, więc kiedy romans się skończył, postanowiła wyjechać do Indii Zachodnich, gdzie ponownie przyjęła rolę mężczyzny.

W mieście takim jak Port Royal podobnego sekretu nie dało się długo utrzymać i wkrótce wszyscy wiedzieli, że Lazue jest kobietą. W każdym razie podczas korsarskich napadów miała zwyczaj odsłaniać piersi, żeby zdezorientować i przerazić wroga. W porcie jednak zwyczajowo traktowano ją jak mężczyznę i nikt nie robił z tego wielkiej historii.

Teraz Lazue się roześmiała.

– Jesteś szalony, Hunter, żeby atakować Matanceros.

– Popłyniesz?

Znowu się roześmiała.

– Tylko dlatego, że nie mam nic lepszego do roboty.

I wróciła do rozchichotanych nierządnic przy stole w głębi sali.

\* \* \*

Hunter znalazł Maura nad ranem przy partyjce gleecka z dwoma holenderskimi korsarzami w domu gry Pod Żółtym Nicponiem.

Maur, zwany również Bassa, był ogromnym mężczyzną z wielką głową, wężłami mięśni na barkach i klatce piersiowej, masywnymi ramionami i potężnymi dłońmi, w których karty wydawały się maleńkie. Nazywano go Maurem z powodów dawno zapomnianych i nawet gdyby chciał opowiedzieć o swoim pochodzeniu, nie mógłby tego zrobić, ponieważ hiszpański plantator na Hispanioli obciął mu język. Ogólnie się zgadzano, że Maur wcale nie pochodził z Mauretanii, tylko z regionu Afryki zwanego Nubią, pustynnej krainy nad Nilem, zamieszkaney przez rasę czarnych olbrzymów.

Swój przydomek Bassa otrzymał od portu na wybrzeżu Gwinei, gdzie czasami zatrzymywali się handlarze niewolników, wszyscy jednak się zgadzali, że Maur nie mógł stamtąd pochodzić, ponieważ tubylcy byli chorowici i mieli znacznie jaśniejszą skórę.

Fakt, że Maur był niemy i musiał się porozumiewać za pomocą gestów, jeszcze bardziej wzmacniał wywoływane przez niego wrażenie. Niekiedy nowi przybysze zakładali, że Bassa był nie tylko niemy, ale również głupi, i Hunter, obserwując grę, zaczął podejrzewać, że znowu tak się dzieje. Zaniósł kufel wina do stołu z boku i usiadł, żeby rozkoszować się przedstawieniem.

Holendrzy byli dandysami, wystrojonymi w eleganckie spodnie i haftowane jedwabne tuniki.

Pili ostro. Maur wcale nie pił; prawdę mówiąc, on nigdy nie pił. Mówiono, że nie tolerował alkoholu i że kiedyś się upił i zabił pięciu ludzi gołymi rękami, zanim się opamiętał. Nie wiadomo, czy ta pogłoska była prawdziwa, natomiast prawdą było, że Maur zamordował właściciela plantacji, który obciął mu język, potem zabił jego żonę i połowę domowników, zanim uciekł do pirackich portów po zachodniej stronie Hispanioli, a stamtąd do Port Royal.

Hunter patrzył, jak Holendrzy obstawiają. Grali lekkomyślnie, śmiejąc się i żartując, humory im dopisywały. Maur siedział spokojnie, ze stosem złotych

monet przed sobą. Gleek był szybką grą, niepozwalającą na roztargnienie, i rzeczywiście na oczach Huntera Maur wyciągnął trzy jednakowe karty, pokazał je i zgarnął pieniądze Holendrów.

Przez chwilę gapili się w milczeniu, a potem obaj wykrzyknęli: „Oszustwo!” w różnych językach. Maur powoli pokręcił ogromną głową i schował pieniądze do kieszeni.

Holendrzy nalegali na jeszcze jedną partię, ale Maur pokazał im gestem, że nie mają więcej pieniędzy.

Na to Holendrzy wpadli w złość, krzyczeli i wygrażali. Bassa zachował niewzruszony spokój, ale przywołał gestem posługacza i podał mu złotego dublona.

Mężczyźni widocznie nie zrozumieli, że Maur płacił z góry za wszelkie zniszczenia, jakie mógł spowodować w domu gry. Posługacz chwycił monetę i umknął na bezpieczną odległość.

Pechowi gracze teraz stali i obrzucali wyzwiskami Maura, który nadal siedział przy stole.

Twarz miał nieruchomą, ale oczy przeskakiwały z jednego przeciwnika na drugiego.

Holendrzy awanturowali się coraz głośniej, wyciągali ręce i żądali zwrotu pieniędzy.

Maur pokręcił głową.

Wtedy jeden z mężczyzn wyciągnął sztylet zza pasa i zaczął nim wywijać przed twarzą Maura, parę cali od jego nosa. Maur wciąż nie reagował. Siedział bez ruchu, z rękami splecionymi przed sobą na stole.

Drugi Holender sięgnął po pistolet i wtedy Maur nagle przeszedł do akcji. Wielka czarna dłoń wystrzeliła do przodu, chwyciła dłoń Holendra i wbiła ostrze sztyletu w blat stołu na głębokość trzech cali. Potem Maur uderzył drugiego mężczyznę w żołądek; ten upuścił pistolet i zgiął się wpół, kaszląc. Maur kopniakiem w twarz posłał go na drugi koniec sali.

Następnie odwrócił się do pierwszego Holendra, który wytrzeszczał na niego oczy rozszerzone zgrozą.

Bassa dźwignął go wysoko nad głowę, zaniósł do drzwi i z rozmachem

wyrzucił na ulicę, gdzie przeciwnik wylądował twarzą w błocie i rozciągnął się jak długi.

Następnie wrócił na salę, wyrwał sztylet ze stołu, wsunął za pas i przysiadł się do Huntera.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na uśmiech.

– Nowi ludzie – zauważył Hunter.

Maur przytaknął, szczerząc zęby. Potem zmarszczył brwi i spojrzał na Huntera. Jego twarz wyrażała pytanie.

– Przyszedłem do ciebie.

, Maur wzruszył ramionami.

– Wypływamy za dwa dni.

Maur ściągnął usta i wymówił wargami jedno słowo: Ou?

– Matanceros – odparł Hunter.

Maur zrobił niezadowoloną minę.

– Nie jesteś zainteresowany?

Maur uśmiechnął się znacząco i przesunął palcem po gardle.

– Mówię ci, że to się da zrobić – zapewnił Hunter. – Masz lęk wysokości?

Maur wykonał gest przekładania rąk jak przy wspinaczce i pokręcił głową.

– Nie chodzi mi o olinowanie statku – wyjaśnił Hunter. – Chodzi o skałę.

Wysoką skałę... trzysta albo czterysta stóp.

Maur podrapał się po głowie. Popatrzył na sufit, jakby wyobrażał sobie wysokość skały. W końcu kiwnął głową.

– Dasz radę?

Ponowne kiwnięcie głową.

– Nawet przy silnym wietrze? Dobrze. Więc płyniesz z nami.

Hunter zaczął się podnosić, ale Maur pchnął go z powrotem na krzesło. Zabrzęczał monetami w kieszeni i wymierzył pytający palec w Huntera.

– Nie martw się – uspokoił go Hunter. – To się opłaci.

Maur się uśmiechnął. Hunter wyszedł.

Znalazł Sansona w pokoju na pierwszym piętrze Pod Herbem Królowej. Zapukał do drzwi i czekał. Usłyszał chichot i westchnienie, zapukał ponownie.

Zaskakująco piskliwy głos zawołał:

– Wynoś się do wszystkich diabłów!

Hunter zawahał się i zapukał jeszcze raz.

– Na krew Pana naszego, kto tam znowu? – zapytał głos w środku.

– Hunter.

– A niech mnie. Wchodź, Hunter.

Hunter otworzył drzwi szeroko, ale nie wszedł; chwilę później z otwartych drzwi wyleciał nocnik z całą zawartością.

W pokoju rozległ się cichy śmiech.

– Ostrożny jak zawsze, Hunter. Przeżyjesz nas wszystkich. Wejdz.

Hunter wszedł do pokoju. Przy świetle jedynej świecy zobaczył Sansona siedzącego w łóżku obok jasnowłosej dziewczyny.

– Przeszkodziłeś nam, mój synu – oznajmił Sanson. – Módlmy się, żebyś miał dobry powód.

– Mam – zapewnił Hunter.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia. Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie. Sanson podrapał się po gęstej czarnej brodzie.

– Czy mam odgadnąć powód twojej wizyty?

– Nie – zaprzeczył Hunter, spoglądając na dziewczynę.

– Ach – mruknął Sanson. Odwrócił się do dziewczyny. – Moja słodka brzoskwinko...

Ucałował końce jej palców i wskazał jej drzwi. Dziewczyna natychmiast wygramoliła się nago z łóżka, z pośpiechem chwyciła swoje ubranie i wybiegła z pokoju.

– Cóż za rozkoszne stworzenie – zauważył Sanson.

Hunter zamknął drzwi.

– To Francuzka, wiesz? – dodał Sanson. – Nie uważasz, że Francuzki są najlepszymi kochankami?

– Z pewnością są najlepszymi kurwami.

Sanson się zaśmiał. Był dużym, ciężkim mężczyzną o ponurym wyglądzie



– ciemne włosy, ciemne brwi zrosnięte nad oczami, ciemna broda, ciemna skóra. Ale głos miał zadziwiająco wysoki, zwłaszcza kiedy się śmiał.

– Czy nie przyznasz mi racji, że Francuzki górują nad Angielkami?

– Tylko pod względem liczby roznoszonych chorób.

Sanson roześmiał się serdecznie.

– Hunter, masz niecodzienne poczucie humoru. Wypijesz ze mną kieliszek wina?

– Z przyjemnością.

Sanson nalał z butelki stojącej na nocnym stoliku. Hunter wziął kieliszek i wzniósł w toaście.

– Twoje zdrowie.

– I twoje – zrewanżował się Sanson.

Wypili, nie odrywając wzroku od siebie nawzajem.

Hunter najzwyczajniej w świecie nie ufał Sansonowi. I wcale nie chciał go zabierać na wyprawę, ale Francuz stanowił niezbędny warunek sukcesu. Ponieważ mimo swojej pychy, próżności i przechwałek był najbardziej bezlitosnym zabójcą na całych Karaibach. Pochodził zresztą z rodziny francuskich katów.

W istocie samo nazwisko – Sanson, co znaczy „bez dźwięku” – stanowiło ironiczny komentarz do jego ukradkowego sposobu działania. Wszędzie go znano i wszędzie budził strach. Powiadano, że jego ojciec, Charles Sanson, był królem katów w Dieppe. Plotka głosiła, że sam Sanson był przez krótki czas księdzem w Liege, dopóki nierozważna zażyłość z zakonnicami z pobliskiego klasztoru nie zmusiła go do opuszczenia kraju.

Lecz w Port Royal nie przywiązywano wagi do historii z przeszłości. Tutaj Sanson zasłynął z mistrzowskiego władania szablą, pistoletem oraz swoją ulubioną bronią – kuszą.

Sanson znowu się zaśmiał.

– No, mój synu, powiedz, co ci leży na sercu.

– Wypływam za dwa dni. Na Matanceros.

Tym razem Sanson się nie roześmiał.

– Chcesz, żebym popłynął z tobą na Matanceros?

– Tak.

Sanson dolał wina.

– Nie chcę tam płynąć – oświadczył. – Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie chce płynąć na Matanceros. Po co tam płyniesz?

Hunter nie odpowiedział.

Sanson zmarszczył brwi i spojrzał na swoje stopy, wystające z pościeli. Poruszył palcami u nóg.

– To na pewno galeony – powiedział wreszcie. – Galeony zagubione podczas sztormu dotarły do Matanceros. Zgadza się?

Hunter wzruszył ramionami.

– Ostrożny, ostrożny – stwierdził Sanson. – No więc jakie proponujesz warunki tej szaleńczej wyprawy?

– Dam ci cztery udziały.

– Cztery udziały? Skąpiradło z ciebie, kapitanie Hunter. Uraziłeś moją dumę, skoro jestem dla ciebie warty tylko cztery udziały...

– Pięć udziałów – podwyższył Hunter ze zrezygnowaną miną.

– Pięć? Powiedzmy osiem i sprawa załatwiona.

– Powiedzmy pięć i sprawa załatwiona.

– Hunter. Późno już i tracę cierpliwość. Powiedzmy siedem.

– Sześć.

– Na krew Pana, ale z ciebie skąpiec.

– Sześć – powtórzył Hunter.

– Siedem. Napij się jeszcze wina.

Hunter popatrzył na niego i doszedł do wniosku, że ta kłótnia nie ma znaczenia. Jeśli Sanson uwierzy, że wytargował korzystne warunki, łatwiej da się kontrolować; jeśli zacznie podejrzewać, że potraktowano go niesprawiedliwie, będzie się dąsał i sprawiał trudności.

– No dobrze, siedem – ustąpił Hunter.

– Mój przyjacielu, jesteś rozumnym człowiekiem. – Sanson wyciągnął rękę. – Teraz powiedz mi o sposobie ataku.

Sanson wysłuchał planu Huntera bez słowa, po czym klepnął się w udo.

– To prawda, co mówią – oświadczył – o hiszpańskim lenistwie,

francuskiej elegancji... i angielskiej przebiegłości.

– Myślę, że się uda – powiedział Hunter.

– Nie wątpię w to ani przez chwilę – zapewnił Sanson.

Kiedy Hunter wyszedł z małego pokoiku, świt wstawał nad ulicami Port Royal.

# Rozdział 8

Oczywiście nie dało się utrzymać wyprawy w sekrecie. Zbyt wielu marynarzy paliło się do udziału w każdym korsarskim rajdzie, zbyt wielu kupców i hodowców było potrzebnych, żeby wyposażyć sloop Huntera, *Kasandrę*. Wczesnym rankiem cały Port Royal gadał o zamierzonej ekspedycji Huntera.

Mówiono, że Hunter splądruje Campeche. Mówiono, że napadnie na Maricaibo. Twierdzono nawet, że odważy się zaatakować Panamę, jak to zrobił Drake przed siedemdziesięcioma laty.

Lecz taka długa podróż morską wymagała poważnego zaopatrzenia, a Hunter załadował tak niewielkie zapasy, że najczęściej plotkowano o wyprawie na Hawanę. Korsarze nigdy nie atakowali Hawany; sam pomysł wydawał się ludziom szalony.

Wyszły na jaw inne zagadkowe fakty. Czarnooki Żyd skupował szczury od dzieci i włóczęgów w dokach. Do czego Żyd potrzebował szczurów, to przerastało wyobraźnię każdego marynarza. Dowiedziano się też, że Czarnooki nabył świńskie wnętrzności – przydatne do wrózenia, ale z pewnością nie dla Żyda.

Tymczasem sklep złotniczy Żyda został zamknięty i zabity deskami.

Żyd przebywał gdzieś na wzgórzach w głębi lądu. Wyjechał przed świtem, zabierając sporą ilość siarki, saletry i węgla drzewnego.

Zaopatrzenie *Kasandry* również wyglądało dziwnie. Zamówiono tylko niewielki zapas solonej wieprzowiny, ale mnóstwo wody – włącznie z kilkoma małymi beczułkami, o których sporządzenie poproszono specjalnie bednarza Longleya. Warsztat powroźniczy pana Whitstalla otrzymał zamówienie na ponad tysiąc stóp mocnej liny – liny za grubej do olinowania sloopu. Żaglomistrz, pan Nedley, miał uszyć kilka dużych brezentowych worków o wylotach wzmocnionych pierścieniami. A Carver, kowal, wykuwał haki abordażowe

osobliwego kształtu – z zębami na zawiasach, żeby dawały się składać na płasko.

Ponadto zdarzył się omen: o poranku rybacy złapali olbrzymiego rekina młota i wyciągnęli go na nabrzeże w pobliżu Czekoladowej Dziury, gdzie żółwie składały jaja. Rekin miał ponad dwanaście stóp długości; ze swoją szeroką paszczą i oczami umieszczonymi na spłaszczonych wypustkach był wyjątkowo odrażający. Rybacy i przechodnie strzelali do stwora z pistoletów, ale bez widocznego skutku. Rekin miotał się i szarpał na deskach nabrzeża aż do południa.

Potem rozkrojono brzuch rekina i wylały się oślizłe zwoje jelit. Zauważono błysk metalu i kiedy rozcięto wnętrzności, metal okazał się pełną zbroją hiszpańskiego żołnierza – napierśnik, hełm z grzebieniem, nakolanniki. Z tego wywnioskowano, że rekin młot pożarł nieszczęsnego żołnierza w całości i strawił ciało, ale została zbroja, której nie mógł wydalić.

Potraktowano ten omen dwojako: albo jako zapowiedź hiszpańskiego ataku na Port Royal, albo dowód, że Hunter zamierza zaatakować Hiszpanów.

\* \* \*

Sir James Almont nie miał czasu na omeny i wróżby. Tego ranka przesłuchiwał francuskiego bandytę L'Olonnaisa, który przybił do portu o świcie ze zdobyczym hiszpańskim brygiem.

L'Olonnais nie miał listu kaperskiego, a zresztą między Anglią i Hiszpanią formalnie panował pokój. Co gorsza jednak, bryg nie zawierał nic cennego, kiedy wpłynął do portu. Trochę skór i tytoniu – tylko tyle znaleziono w ładowni.

Znany jako korsarz L'Olonnais był brutalem i głupcem. Oczywiście korsarstwo nie wymagało wybitnej inteligencji. Wystarczyło czekać na odpowiednich szerokościach, aż pojawił się obiecujący statek, a potem go zaatakować. Stojąc z kapeluszem w rękach w gabinecie gubernatora, L'Olonnais recytował teraz swoją nieprawdopodobną historyjkę z dziecięcą niewinnością. Przypadkiem trafił na zdobyczny statek, mówił, który okazał się opuszczony.

Na pokładzie nie było pasażerów i statek dryfował bez celu.

– Wierę, jakowaś plaga czy nieszczęście na nich spadły – mówił

L'Olonnais. – Ale to dobry statek, panie, więc go przyprowadził do portu, żeby się przysłużyć Koronie.

– Nie znalazłeś żadnych pasażerów?

– Ani żywej duszy.

– Żadnych trupów na pokładzie?

– Nie, panie.

– I żadnej wskazówki co do losu załogi?

– Nic a nic, panie.

– A ładunek...

– Taki, jaki znaleźli twoi inspektorzy, wasza ekscelencjo. Nie tknęliśmy go.

Wiesz o tym.

Sir James zastanawiał się, ilu niewinnych ludzi zamordował L'Olonnais, żeby oczyścić pokłady tego kupieckiego statku. I gdzie pirat dobił do brzegu, żeby ukryć najcenniejszy ładunek. Na Morzu Karaibskim znajdowały się tysiące wysepek i małych atoli koralowych, które mogły posłużyć jego celom.

Sir James zabębnił palcami w biurko. Ten człowiek wyraźnie kłamał, ale gubernator potrzebował dowodu. Nawet w surowym środowisku Port Royal obowiązywało angielskie prawo.

– No dobrze – powiedział w końcu gubernator. – Zawiadamiam cię formalnie, że Korona jest bardzo niezadowolona z tej zdobyczy. Zatem król weźmie piątą część...

– Piątą! – Zwykle król brał jedną dziesiątą albo nawet jedną piętnastą.

– Owszem – potwierdził spokojnie sir James. – Jego Wysokość weźmie jedną piątą, a ja formalnie cię zawiadamiam, że jeśli do moich uszu dojdzie jakaś informacja o twoich podłych postępках, zostaniesz skazany i powieszony jako pirat i morderca.

– Wasza ekscelencjo, przysięgam, że...

– Wystarczy – uciął sir James, podnosząc rękę. – Na razie jesteś wolny i możesz odejść, ale zapamiętaj moje słowa.

L'Olonnais skłonił się unizenie i tyłem wycofał się z pokoju. Almont zadzwonił po pomocnika.

– John – powiedział – znajdź jakichś marynarzy L'Olonnaisa i dopilnuj,

żeby wino dobrze naoliwiło im języki. Chcę wiedzieć, jak on wszedł w posiadanie tego statku, i chcę mieć przeciwko niemu mocne dowody.

– Oczywiście, wasza ekscelencjo.

– Aha, John: odłóż jedną dziesiątą dla króla i jedną dziesiątą dla gubernatora.

– Tak, wasza ekscelencjo.

– To wszystko.

John się skłonił.

– Wasza ekscelencjo, kapitan Hunter przyszedł po dokumenty.

– Więc go wprowadź.

Po chwili wszedł Hunter. Almont wstał i uścisnął mu rękę.

– Wydajesz się dobrej myśli, kapitanie.

– Istotnie, sir Jamesie.

– Przygotowania idą dobrze?

– Tak, sir Jamesie.

– Jakim kosztem?

– Pięćset dublonów.

Almont spodziewał się takiej sumy. Wyjął z szuflady sakiewkę pełną monet.

– To powinno wystarczyć.

Hunter z ukłonem przyjął pieniądze.

– A zatem – podjął sir James – kazałem sporządzić list kaperski na wyrąb drzew kampeszowych w każdym miejscu, które uznasz za stosowne. – Podał list Hunterowi.

W roku 1665 Anglia traktowała wyrąb kampeszynów jako legalny interes, chociaż Hiszpania usiłowała zmonopolizować ten przemysł. Drewno kampeszynu służyło do wyrobu czerwonego barwnika, a także pewnych leków. Była to roślina równie cenna jak tytoń.

– Muszę cię uprzedzić – rzekł powoli sir James – że nie możemy zezwolić na zaatakowanie żadnej hiszpańskiej osady bez wyraźnej prowokacji.

– Rozumiem – powiedział Hunter.

– Zakładasz, że dojdzie do prowokacji?

– Wątpię, sir Jamesie.

– Więc oczywiście atak na Matanceros będzie piracki.

– Sir Jamesie, nasz biedny słup *Kassandra*, lekko uzbrojony i zgodnie z dokumentami prowadzący działalność handlową, może zostać ostrzelany przez armaty z Matanceros. Czy w takiej sytuacji nie będziemy zmuszeni do podjęcia kroków odwetowych? Przecież nie możemy zezwolić na nieuzasadniony ostrzał niewinnego statku.

– W istocie – przyświadczył sir James. – Z pewnością mogę na tobie polegać, że postąpisz jak żołnierz i jak dżentelmen.

– Nie zawiodę twojego zaufania, panie.

Hunter odwrócił się do wyjścia.

– Jeszcze jedno – odezwał się sir James. – Cazalla jest faworytem Filipa. Córka Cazalli wyszła za wicekanclerza Filipa. Każda wiadomość od Cazalli, opisująca wydarzenia na Matanceros inaczej niż w twoich raportach, będzie nader kłopotliwa dla Jego Wysokości króla Karola.

– Wątpię – odparł Hunter – czy nadejdą jakieś meldunki od Cazalli.

– Ważne, żeby nie nadeszły.

– Meldunki nie dochodzą z dna morza.

– W istocie – zgodził się sir James.

Mężczyźni wymienili uścisk ręki.

Kiedy Hunter wychodził z rezydencji gubernatora, czarna służąca wręczyła mu list, po czym znikła bez słowa. Hunter zszedł po stopniach ganku, czytając list skreślony kobiecą ręką.

*Mój drogi kapitanie!*

*Dowiedziałam się ostatnio, że w środkowej części wyspy Jamajki, w miejscu zwanym Dolina Crawforda, znajduje się cudowne źródło świeżej wody.*

*Pragnąc lepiej poznać uroki mojego nowego domu, wybieram się na wycieczkę do tego miejsca w późniejszych godzinach dnia i mam nadzieję, że okaże się równie rozkoszne, jak sobie obiecywałam.*

*Z wyrazami sympatii*

*Emily Hacklett*



Hunter wsunął list do kieszeni. W zwykłych okolicznościach nie brałby pod uwagę zaproszenia ukrytego w słowach pani Hacklett. Miał dużo roboty w ostatnim dniu przed wypłynięciem *Kasandry*. Ale i tak musiał pojechać w głąb wyspy, żeby się zobaczyć z Czarnookim. Jeśli wystarczy mu czasu... Wzruszył ramionami i poszedł do stajni po konia.

# Rozdział 9

Żyd zaszył się w Sutter Bay, na wschód od portu. Jego kryjówkę już z daleka zdradzał gryzący dym unoszący się ponad zielonymi drzewami i nieregularne odgłosy wybuchów.

Hunter wjechał na małą polankę i ujrzał Żyda pośród dziwacznej sceny: wszędzie leżały rozmaite martwe zwierzęta, cuchnące w gorącym południowym słońcu. Z boku stały trzy drewniane beczki, zawierające saletrę, siarkę i węgiel drzewny. Odłamki potrzaskanego szkła błyszcząły w wysokiej trawie. Żyd pracował gorączkowo, twarz i ubranie miał usmarowane krwią i pokryte smugami wypalonego prochu.

Hunter zsiadł z konia i rozejrzał się dookoła.

– Co ty robisz, na miłość boską?

– To, o co prosiłeś – odparł Czarnooki z uśmiechem. – Nie będziesz rozczarowany.

Chodź, pokażę ci. Po pierwsze, kazałeś mi sporządzić długi i wolno palący się lont. Tak?

Hunter kiwnął głową.

– Zwyczajne lonty się nie nadają – oświadczył Żyd rozsądnie. – Można usypać ścieżkę prochu, ale spali się bardzo szybko. Albo na odwrót, można zastosować powolny lont.

– Powolny lont to był kawałek sznurka albo szpagatu nasączony saletrą. – Ale on jest naprawdę bardzo powolny i płomyk często jest za słaby, żeby zapalić docelowy materiał.

Rozumiesz, o czym mówię?

– Rozumiem.

– Dobrze. Średni płomień i szybkość spalania uzyskujemy, zwiększając

ilość siarki w prochu. Ale taka mieszanka bywa bardzo zawodna. Nie chcemy, żeby płomień strzelił i zgasł.

– Nie chcemy.

– Wypróbowałem różne nasączone sznury, knoty i szmaty, bez powodzenia. Na żadnym nie można polegać. Zatem zacząłem szukać pojemnika, żeby osłaniał ładunek. Znalazłem to.

– Podniósł zwoje jakiejś cienkiej, białej substancji. – Jelita szczura – oznajmił z radosnym uśmiechem. – Lekko podsuszone nad ciepłymi węglami, żeby usunąć soki i humory, ale zachować elastyczność. Więc teraz, kiedy do jelita wprowadzimy pewną ilość prochu, otrzymujemy przydamy lont. Pokażę ci.

Wziął kawałek jelita długi na jakieś dziesięć stóp, białawy, z ciemnym prochem prześwitującym ze środka. Rozłożył go na ziemi i podpalił jeden koniec.

Lont spalał się spokojnie, prawie bez trzaskania, i powoli – w tempie nie więcej niż cal czy dwa na minutę.

Żyd uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz?

– Masz powód do dumy – pochwalił go Hunter. – Możesz przewozić ten lont?

– Całkiem bezpiecznie – zapewnił Żyd. – Jedyne szkopuł to czas. Jeśli jelita zanadto wyschną, robią się kruche i mogą popękać. Wystarczy dzień czy dwa.

– Więc musimy zabrać ze sobą sporo szczurów.

– Tak myślę – przyświadczył Żyd. – Teraz mam następną niespodziankę, coś, czego nie zamawiałeś. Może ci się nie przyda, chociaż moim zdaniem to godne podziwu urządzenie. – Zrobił przerwę. – Słyszałeś o francuskiej broni, zwanej *grenadoe*?

– Nie. – Hunter pokręcił głową. – Zatruty owoc?

*Grenadoe* po francusku znaczyło „granat”, a trucizny cieszyły się ostatnio wielką popularnością na dworze Ludwika.

– W pewnym sensie – odparł Żyd z lekkim uśmiechem. – Nazwano go tak ze względu na nasiona w owocu granatu. Słyszałem, że takie urządzenie istnieje, ale trudno je wyprodukować. Jednak ja tego dokonałem. Kluczem jest proporcja

saletry. Pokażę ci.

Żyd wziął pustą szklaną butelkę z wąską szyjką. Wsypał do niej garść drobnego śrutu i kilka kawałków metalu. Pracując, rozmawiał z Hunterem.

– Nie chcę, żebyś źle o mnie myślał. Słyszałeś o *Complicidad Grande*?

– Tylko trochę.

– Zaczęło się od mojego syna – mówił Żyd, krzywiąc się przy pracy. – W sierpniu tysiąc sześćset trzydziestego dziewiątego roku mój syn dawno już wyrzekł się żydowskiej wiary. Mieszkał w Limie, w Peru, w Nowej Hiszpanii. Jego rodzina prosperowała. Miał wrogów. Aresztowano go jedenastego sierpnia... – Żyd wsypał więcej śrutu do butelki – i oskarżono o oddawanie się w sekrecie żydowskim praktykom. Podobno nie handlował w sobotę, a także nie jadał bekonu śniadanie. Napiętnowano go zbrodnią judaizmu. Był torturowany. Jego boscie stopy zakuto w żelazne buty rozpalone do czerwoności, aż ciało skwierczało. Przyznał się.

Żyd dopełnił butelkę prochem i zapieczętował roztopionym woskiem.

– Trzymano go w więzieniu przez sześć miesięcy – ciągnął. – W tysiąc sześćset czterdziestym roku, w styczniu, jedenastu ludzi spalono na stosie. Siedmiu żyło. Wśród nich był mój syn. Cazalla jako komendant garnizonu nadzorował autodafe. Majątek mojego syna skonfiskowano. Jego żona i dzieci... znikły.

Żyd zerknął przelotnie na Huntera i otarł łzy z oczu.

– Nie oplakuję go – powiedział. – Ale może to zrozumiesz.

Podniósł *grenadoe* i wsadził do środka krótki lont.

– Lepiej schowaj się za tamtymi krzakami – poradził.

Hunter ukrył się i patrzył, jak Żyd stawia butelkę na kamieniu, podpala lont i umyka co sił w nogach. Obaj mężczyźni obserwowali butelkę.

– Co się stanie? – zapytał Hunter.

– Zaczekaj – powiedział Żyd i po raz pierwszy się uśmiechnął.

Chwilę później butelka eksplodowała. Odłamki szkła i metalu poleciały na wszystkie strony.

Hunter i Żyd przypadli do ziemi. Słyszeli, jak w górze pociski przedzierają się przez liście.

Kiedy Hunter ponownie podniósł głowę, był blady.

– Dobry Boże – wykrztusił.

– Niezbyt dżentelmeński aparat – zgodził się Żyd. – Nie wyrządza wielkich szkód przedmiotom twardszym niż ciało.

Hunter pytająco popatrzył na towarzysza.

– Hiszpan zasłużył sobie na takie względy – wyjaśnił Żyd. – Jaka jest twoja opinia o *grenadoe*?

Hunter milczał przez chwilę. Wszelkie jego instynkty buntowały się przeciwko tak nieludzkiej broni. A jednak wyruszał z sześćdziesięcioma ludźmi, żeby zdobyć galeon skarbów w twierdzy wroga: sześćdziesięciu ludzi przeciw fortecy z trzema setkami żołnierzy, nie licząc załogi na brzegu, czyli dodatkowych dwóch czy trzech setek.

– Zrób mi tuzin – zdecydował. – Zamknij je w skrzyni na podróż i nie mów nikomu. To będzie nasz sekret.

Żyd się uśmiechnął.

– Będziesz miał swoją zemstę, Diego – obiecał Hunter.

Potem dosiadł konia i odjechał.

# Rozdział 10

Dolina Crawforda leżała na północy, pół godziny przyjemnej jazdy przez bujną zieleń u podnóża Gór Błękitnych. Hunter wjechał na szeroką grań górującą nad doliną i zobaczył konie pani Hacklett oraz jej dwóch niewolnic, uwiązane przy bulgoczącym strumieniu, który wypływał ze skalnego basenu na wschodnim krańcu doliny. Zobaczył również rozłożony piknikowy obrus, zastawiony jedzeniem.

Zjechał do koni i przywiązał obok własnego wierzchowca. Wystarczyła chwila, żeby przekupić dwie czarne kobiety, przykładając palec do ust i rzucając im szylinga. Służące umknęły z chichotem. Nie po raz pierwszy przekupywano je, żeby nie opowiadały o potajemnej schadzce, i Hunter nie wątpił, że dochowają sekretu. Nie wątpił również, że wkrótce będą podglądać zza krzaków dwoje białych i pękać ze śmiechu.

Cicho przeszedł po kamieniach na brzegu basenu aż do niewielkiego wodospadu. Pani Hacklett pluskała się w źródlanej wodzie. Jeszcze nie zauważyła Huntera.

– Sarah – powiedziała, zwracając się do niewolnicy – znasz tego kapitana Huntera z portu?

– Uhm – odpowiedział Hunter piskliwym głosem. Usiadł obok jej ubrania.

– Robert mówi, że to zwykły łotr i pirat – ciągnęła pani Hacklett. – Ale Robert poświęca mi tak mało uwagi. Byłam faworytą króla... to dopiero wesoły człowiek, mówię ci.

Ale ten kapitan Hunter, on jest taki przystojny. Nie wiesz, czy wiele kobiet w mieście darzy go względami?

Hunter nie odpowiedział. Patrzył, jak pani Hacklett się pluska.

– Pewnie tak. On ma takie spojrzenie, które zmiękczy najtwardsze serce. I

na pewno jest silny i odważny; każda kobieta to zauważy. Palce i nos ma pokaźnej długości, co dobrze świadczy o jego wyposażeniu. Czy on ma ukochaną w mieście, Sarah?

Hunter milczał.

– Jego Wysokość ma długie palce i jest wspaniale wyposażony do sypialni.

– Zachichotała. – Nie powinnam tak mówić, Sarah.

Hunter wciąż milczał.

– Sarah? – zapytała pani Hacklett. Odwróciła się i zobaczyła Huntera, który szczyrzył do niej zęby.

– Nie wiesz, że niezdrowo się kąpać? – powiedział.

Gniewnie rozchlapała wodę.

– Wszystko, co o tobie mówili, to prawda! – zawołała. – Jesteś podłym, nieokrzesanym, do cna zepsutym człowiekiem i wcale nie dżentelmenem.

– Spodziewałaś się dzisiaj dżentelmena?

Znowu chlusnęła wodą.

– Z pewnością spodziewałam się kogoś więcej niż zwykłego złodzieja i podglądacza.

Odejdź z tego miejsca, żebym mogła się ubrać.

– To miejsce całkiem mi odpowiada – odparł Hunter.

– Więc nie chcesz odejść?

Coraz bardziej się złościła. W czystej wodzie Hunter widział, że była trochę za chuda jak na jego gust, koścista kobieta o małych piersiach, ze ściągniętą twarzą. Ale jej gniew go podniecał.

– W istocie muszę odmówić.

– Zatem źle cię oceniłam, panie. Myślałam, że stać cię na zwykłą uprzejmość i odrobinę dobrych manier wobec damy w opałach.

– Dlaczegoż to jesteś w opałach?

– Jestem całkiem naga, panie.

– Widzę.

– A to źródło jest zimne.

– Doprawdy?

– Owszem.

– Dopiero teraz to zauważyłaś?

– Panie, proszę cię jeszcze raz, żebyś zaprzestał tych impertynencji i pozwolił mi na chwilę prywatności, bym mogła się wysuszyć i odziać.

W odpowiedzi Hunter zszedł na sam brzeg, chwycił kobietę za rękę i wyciągnął ją na kamienie, gdzie stała, ociekając wodą i dygocząc w ciepłe słońca. Spiorunowała go wzrokiem.

– Zaziębisz się na śmierć – ostrzegł, śmiejąc się z jej zmieszania.

– Więc oboje nas czeka podobny los – oświadczyła i nagle wepchnęła go w ubraniu do wody.

Runął z pluskiem i doznał szoku, kiedy lodowata woda objęła jego ciało. Rozpaczliwie chwycił powietrze, młócił rękami, a ona stała na kamieniu i śmiała się z niego.

– Pani – wydyszał. – Pani, błagam cię.

Dalej się śmiała.

– Pani, nie umiem pływać. Proszę, pomóż mi... – Jego głowa na chwilę skryła się pod wodą.

– Żeglarz, który nie umie pływać? – zaśmiała się jeszcze głośniej.

– Pani... – zdołał wykrztusić, a potem znowu poszedł pod wodę. Po chwili wynurzył się jeszcze raz, kopiąc i machając rękami bez żadnej koordynacji. Zaniepokojona pani Hacklett wyciągnęła do niego rękę.

Hunter chwycił jej rękę i szarpnął mocno. Pani Hacklett z krzykiem przeleciała mu nad głową i boleśnie uderzyła plecami o powierzchnię; krzyknęła ponownie, kiedy poszła pod wodę.

Parsknął śmiechem, kiedy się wynurzyła. I pomógł jej się wdrapać na ciepły kamień.

– Jesteś podły drań, nikczemnik, łotr, kanalia i suczy syn bez sumienia – wyrzuciła z siebie.

– Do usług – powiedział Hunter i pocałował ją.

Wyrwała mu się.

– I zuchwalec.

– I zuchwalec – zgodził się i znowu ją pocałował.

– Pewnie zamierzasz mnie zgwałcić jak zwykłą dziewczkę uliczną.



– Nie sędę – odparł Hunter, ściągając mokre ubranie – żeby to było konieczne.

I nie było.

– W biały dzień? – zapytała przerażonym głosem i to były jej ostatnie zrozumiałe słowa.

# Rozdział 11

W środku dnia Robert Hacklett stawiał się przed obliczem sir Jamesa Almonta z niepokojącymi nowinami.

– Miasto huczy od plotek – oznajmił – że kapitan Hunter, ten sam człowiek, którego wczoraj gościliśmy na kolacji, organizuje teraz piracką wyprawę na hiszpańskie posiadłości, może nawet na Hawanę.

– Daje pan wiarę tym pogłoskom? – zapytał spokojnie Almont.

– Wasza ekscelencjo – powiedział Hacklett – faktem jest, że kapitan Hunter kazał załadować zapasy do morskiej podróży na pokład swojego słupu *Kasandry*.

– Możliwe – przyznał Almont. – Czy to dowód przestępstwa?

– Wasza ekscelencjo – nie ustępował Hacklett – z całym szacunkiem muszę poinformować, że zgodnie z plotką zezwoliłeś pan na tę ekskursję i nawet udzieliłeś jej pekuniarnego wsparcia.

– Czy to znaczy, że opłaciłem tę wyprawę? – upewnił się Almont, lekko zirytowany.

– Na to wychodzi, sir Jamesie.

Gubernator westchnął.

– Panie Hacklett – zaczął – kiedy pan tu pomieszkaż trochę dłużej... powiedzmy przez tydzień... przekonasz się pan, że zawsze krążą plotki, jakoby zezwolił na jakąś wyprawę i ją sfinansował.

– Więc te plotki są bezpodstawne?

– Do pewnego stopnia: dałem kapitanowi Hunterowi dokumenty zezwalające na wyrąb drzew kamieszowych w dowolnym wybranym miejscu. Na tym kończy się mój udział w tej sprawie.

– A gdzie on zamierza wycinać te drzewa?

– Nie mam pojęcia – odparł Almont. – Pewnie na Wybrzeżu Moskitów w Hondurasie.

To najczęściej wybierane miejsce.

– Wasza ekscelencjo – Hacklett nie dawał za wygraną – czy mogę z całym szacunkiem przypomnieć, że w tej epoce pokoju pomiędzy naszym narodem a Hiszpanią wycinanie kampeszynów powoduje zadrażnienia, których łatwo można uniknąć?

– Możesz pan przypomnieć – zgodził się Almont – ale w mojej ocenie nie masz racji.

Hiszpania rości sobie prawo do wielu ziem w tej części świata, które jednak pozostają niezamieszkane... bez miast, bez kolonistów, bez żadnych obywateli. Z braku takich dowodów posiadania uważam wycinanie kampeszynów za dopuszczalne.

– Wasza ekscelencjo – upierał się Hacklett – czy nie przyznasz, że to, co zaczęło się jako wyprawa na wyrąb drzew, nawet zakładając mądrość twoich słów, łatwo może się przerodzić w piracki napad?

– Łatwo? Nie tak łatwo, panie Hacklett.

\* \* \*

*DO JEGO NAJŚWIĘTSZEGO MAJESTATU KAROLA, Z ŁASKI BOŻEJ KRÓLA WIELKIEJ BRYTANII I IRLANDII, OBROŃCY WIARY ETC.*

*POKORNA PETYCJA ZASTĘPCY GUBERNATORA PLANTACJI I ZIEM JEGO WYSOKOŚCI NA JAMAJCE, W INDIACH ZACHODNICH.*

*Pokornie donoszę, iż ja, najbardziej lojalny poddany Waszej Wysokości, obarczony przez Waszą Wysokość zadaniem promulgacji opinii i życzeń Dworu w kwestii pirackiej działalności w Indiach Zachodnich, uczyniwszy wiadomym za pośrednictwem listu oraz ustnego przekazu owe życzenia i opinie sir Jamesowi Almontowi, gubernatorowi wyspy Jamajki, muszę zameldować, iż niewiele dokłada się starań, aby ukrócić piractwo w tych stronach.*

*Przeciwnie, wyznaję ze smutkiem, lecz uczciwie, że sam sir James zadaje się z wszelkiego rodzaju łotrami spod ciemnej gwiazdy; że popiera słowem,*

*czynem i brzęczącą monetą krwawe i okrutne wyprawy na ziemie hiszpańskie; że pozwala wykorzystywać Port Royal jako miejsce spotkań tych bandytów i nożowników oraz podziału ich zbrodniczo zdobytych łupów; że nie okazuje skruchy z powodu tej działalności i nic nie wskazuje, by miał jej zaniechać; że nie nadaje się na wysokie stanowisko ze względu na zły stan zdrowia i rozwiązłość moralną; że w imię Jego Wysokości popełnia wszelkiego rodzaju nadużycia i występki. Z tych wszystkich przyczyn ośmielam się najuniżeniej prosić Waszą Wysokość, by usunął tego człowieka ze stanowiska i mianował w swojej wielkiej mądrości bardziej odpowiedniego następcę, który swoimi postępkami nie będzie codziennie szydził z Korony.*

*Najuniżeniej błagam, by majestat Waszej Wysokości przychylił się do tej skromnej petycji. Tymczasem pozostaję Waszym najbardziej lojalnym, wiernym i posłusznym sługą.*

*Robert Hacklett  
BOŻE CHROŃ KRÓLA*

Hacklett przeczytał list jeszcze raz, uznał go za zadowalający i zadzwonił na służbę. Na wezwanie stawiała się Anne Sharpe.

– Dziecko – powiedział – zechciej dopilnować, żeby ten list został wysłany następnym statkiem do Anglii. – I wręczył jej monetę.

– Panie – odpowiedziała i lekko dygnęła.

– Obchodź się z nim ostrożnie – rozkazał Hacklett, marszcząc brwi.

Wsunęła monetę za bluzkę.

– Czy pan życzy sobie czegoś jeszcze?

– He? – bąknął, nieco zdziwiony. Apetyczna dziewczyna oblizywała wargi, uśmiechając się do niego. – Nie – odparł krótko. – Idź już.

Wyszła.

A on westchnął.

# Rozdział 12

Przy blasku pochodni Hunter nadzorował załadunek swojego statku późno w noc.

Opłaty brzegowe w Port Royal były wysokie; zwykły kupiecki statek mógł sobie pozwolić na dokowanie najwyżej przez kilka godzin, żeby dokonać załadunku lub wyładunku, ale mały sloop Huntera *Kasandra* spędził pełne dwanaście godzin przycumowany do nabrzeża i Hunterowi nie policzono ani pensa. Wręcz przeciwnie, Cyrus Pitkin, właściciel doku, wyraził radość, że może zaofiarować Hunterowi miejsce, a żeby jeszcze bardziej zachęcić kapitana do skorzystania z hojnej oferty, dostarczył mu za darmo pięć beczek wody.

Hunter uprzejmie przyjął przysługę. Wiedział, że Pitkin wcale nie jest wielkoduszny; po powrocie *Kasandry* spodziewał się jakiegoś prezentu, i słusznie.

W podobnym duchu Hunter przyjął beczkę solonej wieprzowiny od pana Oatesa, hodowcy z wyspy. Oraz barylkę prochu od pana Renfrew, rusznikarza. Wszystko to załatwiano z wyszukaną grzecnością, bacznie zważając na wartość otrzymaną i oczekiwaną.

Pomiędzy tymi dwornymi transakcjami Hunter przepytывał wszystkich członków załogi i kazał panu Endersowi ich zbadać, żeby się upewnić, czy są zdrowi na ciele, zanim ich wpuści na pokład. Sprawdzał również wszystkie zapasy, otworzył każdą beczkę wody i wieprzowiny, powąchał zawartość i wsadził rękę aż do dna, żeby zbadać, czy nie ma żadnych niespodzianek. Skosztował wody z każdej beczki i przekonał się ku swemu zadowoleniu, że suchary są świeże i bez wołków zbożowych.

Przed długą morską podróżą kapitan nie mógłby osobiście dokonywać takich oględzin. Rejs przez ocean wymagał dosłownie ton żywności i wody dla

pasażerów; i zabierano znacznie więcej żywego mięsa, które kwiczało i muczało.

Korsarze jednak podróżowali inaczej. Małe statki, wyladowane ludźmi, mieściły jedynie skromne zapasy. Korsarz nie spodziewał się dobrze jadać na morzu; czasami nawet wcale nie zabierano jedzenia i statek wypływał z zamiarem zdobycia zapasów w napadzie na inny statek lub miasto.

Korsarze nie dysponowali też ciężkim uzbrojeniem. *Kasandra*, słup długości siedemdziesięciu stóp, wiozła cztery falkony, działa na obrotowych podstawach, rozmieszczone na dziobie i na rufie. Taka broń niewiele mogła zdziałać przeciwko okrętom wojennym nawet piątej czy szóstej klasy. Zamiast tego korsarze wykorzystywali swoją szybkość i manewrowość – oraz płytkie zanurzenie – żeby zmylić groźniejszego przeciwnika. Mogli żeglować ostrzej do wiatru niż większy okręt wojenny, wpływać do przybrzeżnych zatoczek i kanałów, gdzie większa jednostka nie mogła ich ścigać.

Na Morzu Karaibskim, gdzie niemal zawsze w zasięgu wzroku znajdowała się jakaś wysepka z ochronnym pierścieniem raf koralowych, czuli się względnie bezpieczni.

Hunter pracował przy załadunku statku niemal do świtu. Od czasu do czasu, kiedy zbierali się ciekawscy gapie, przezornie ich odpędzał. W Port Royal roiło się od szpiegów; hiszpańskie osady dobrze płaciły za informacje o zamierzonych napadach. W każdym razie Hunter nie chciał, żeby ludzie zobaczyli niezwykle zaopatrzenie, które zabierał na pokład – mnóstwo liny, haki abordażowe oraz skrzynie z dziwnymi butelkami, dostarczone przez Żyda.

Skrzynie don Diega schowano w nieprzemakalnych workach i umieszczono pod pokładem, z dala od oczu marynarzy. Jak Hunter wyjaśnił Żydowi, to był „ich mały sekret”.

Z nadejściem świtu Enders, wciąż energiczny i poruszający się skocznym krokiem, podszedł do Huntera i powiedział:

– Przepraszam, kapitanie, ale jakiś jednonogi żebrak kręcił się przy magazynie przez całą noc.

Hunter zerknął na budynek, nadal słabo widoczny w nikłym świetle wstającego dnia. Doki nie były dobrym miejscem do żebrania.

– Znasz go?

– Nie, kapitanie.

Hunter zmarszczył brwi. W innych okolicznościach mógł wysłać kogoś do gubernatora i zażądać, żeby żebraka zamknięto w więzieniu Marshallsea na kilka tygodni. Ale było późno; gubernator jeszcze spał i nie będzie zadowolony, że mu przeszkadzają.

– Bassa.

Ogromna sylwetka Maura zmaterializowała się u jego boku.

– Widzisz tego żebraka z drewnianą nogą?

Bassa kiwnął głową.

– Zabij go.

Bassa odszedł. Hunter odwrócił się do Endersa, który westchnął.

– Chyba tak będzie najlepiej, kapitanie. „Lepsza krew na początku podróży niż na końcu” – zacytował stare przysłowie.

– Obawiam się, że jednej i drugiej nam nie zabraknie – mruknął Hunter i wrócił do pracy.

Pół godziny później, kiedy *Kassandra* postawiła żagiel i Lazue zajęła miejsce na dziobie, żeby wypatrywać mielizn Pelican Point w słabym porannym świetle, Hunter jeszcze raz obejrzał się na doki i port. Miasto spało spokojnie. Latarnicy gasili latarnie w dokach. Kilka osób wracało, pożegnawszy odpływających.

Potem zobaczył zwłoki jednonogiego żebraka unoszące się na wodzie twarzą w dół. Kołysały się lekko na fali odpływu, drewniana noga postukiwała cicho o nabrzeże.

Hunter pomyślał, że to albo dobry omen, albo zły. Nie wiedział jaki.

# Rozdział 13

– „Zadaje się z wszelkiego rodzaju łotrami spod ciemnej gwiazdy” – wypluł sir James. – „Popiera... krwawe i okrutne wyprawy na ziemię hiszpańskie”... dobry Boże, „krwawe i okrutne”, ten człowiek oszalał... „pozwała wykorzystywać Port Royal jako miejsce spotkań tych bandytów i nożowników... nie nadaje się na wysokie stanowisko... popełnia wszelkiego rodzaju nadużycia...”. Niech go szlag.

Sir James Almont, jeszcze w szlafroku, pomachał listem trzymanym w dłoni.

– Szlag by trafił tego podłego łajdaka – warknął. – Kiedy ci to dał?

– Wczoraj, wasza ekscelencjo – odparła Anne Sharpe. – Pomyślałam, że wasza ekscelencja zechce to zobaczyć.

– Istotnie – przyświadczył Almont i wręczył jej monetę za fatygę. – A jeśli pojawią się następne, znowu cię wynagrodzę, Anne. – Pomyślał, że ta mała okazała się wyjątkowo bystra. – Czy zalecał się do ciebie?

– Nie, wasza ekscelencjo.

– Tak myślałem – mruknął Almont. – No cóż, znajdziemy sposób, żeby raz na zawsze zakończyć intrygi pana Hackletta.

Podszedł do okna sypialni i wyjrzał. W blaskach świtu *Kasandra*, teraz okrążająca cypel Lime Cay, postawiła grotzagiel i ruszyła na wschód, nabierając szybkości.

\* \* \*

*Kasandra*, podobnie jak wszystkie korsarskie statki, skierowała się najpierw do Buli Bay, małej zatoczki kilka mil na wschód od Port Royal. Tam



Enders ustawił statek pod kątem martwym i kiedy żagle trzepotały i łopotały na lekkim wietrze, kapitan Hunter wygłosił mowę.

Wszyscy na pokładzie znali te formalności. Najpierw Hunter zapytał, czy wybierają go na kapitana statku; nagroził go chór „tak jest”. Potem ogłosił zasady rejsu – żadnego picia, żadnego cudzołożenia, żadnego rabowania bez jego rozkazu; kara śmierci za złamanie zasad.

Takie zasady obowiązywały zawsze, więc głosowanie było symboliczne.

Następnie Hunter wyjaśnił podział łupów. On sam jako kapitan weźmie trzynastą część udziałów.

Sanson dostanie siedem – ta liczba wywołała szemrania – a pan Enders otrzyma półtora udziału. Lazue weźmie jeden i ćwierć. Czarnooki weźmie jeden i ćwierć. Reszta zostanie równo podzielona pomiędzy załogę.

Jeden marynarz wstał.

– Kapitanie, zabierasz nas na Matanceros? To niebezpieczne.

– Istotnie – przyznał Hunter – ale czeka tam wspaniała zdobycz. Wystarczy z nawiązką dla każdego. Ktokolwiek jednak uzna, że niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie, zostanie wysadzony tutaj na brzeg i nic nie straci w moich oczach. Ale musi odejść, zanim wam powiem o skarbie.

Czekał. Nikt się nie odezwał ani nie poruszył.

– No dobrze – podjął Hunter. – W zatoce Matanceros stoi hiszpański nao ze skarbami.

Zdobędziemy go.

Po tych słowach wśród załogi wybuchła wrzawa. Upłynęło kilka minut, zanim Hunter zdołał ich ponownie uciszyć. A kiedy na niego patrzyli, widział błysk w ich oczach rozpalany wizją złota.

– Jesteście ze mną?! – zawołał Hunter.

Odpowiedzieli wrzaskiem.

– Zatem na Matanceros!

# Część II

## CZARNY OKRĘT

### Rozdział 14

Z daleka *Kasandra* stanowiła piękny widok. Z żaglami wydętymi poranną bryzą przechylona o kilka stopni, szybko wycinała syczący szlak w czystej błękitnej wodzie.

Jednak na pokładzie statku było ciasno i niewygodnie. Sześćdziesięciu wojowniczych mężczyzn, brudnych i cuchnących, przepychało się, walcząc o miejsce do siedzenia, gry w kości albo drzemki na słońcu. Bezceremonialnie wypróżniali się za burtę i kapitan często musiał oglądać pół tuzina gołych pośladków, wypiętych ponad relingiem po zawietrznej.

Nie wydzielano jedzenia ani wody. Pierwszego dnia marynarze nic nie dostawali i spodziewając się tego, najedli się i napili do syta ostatniej nocy w porcie.

Hunter nie rzucił też kotwicy wieczorem. Korsarze zwyczajowo zatrzymywali się na noc w jakiejś bezpiecznej zatoczce, żeby załoga mogła spać na lądzie. Ale Hunter płynął dalej przez całą noc. Miał dwa powody do pośpiechu. Po pierwsze, obawiał się szpiegów, którzy mogli wyruszyć na Matanceros, żeby ostrzec tamtejszy garnizon. A po drugie, nie chciał tracić więcej czasu, ponieważ nao ze skarbami mógł wypłynąć z zatoki Matanceros w każdej chwili.

Pod koniec drugiego dnia pędzili na północny wschód, przez niebezpieczny przesmyk pomiędzy Hispaniolą i Kubą. Załoga dobrze знаła ten rejon, ponieważ

znajdowali się o dzień drogi od Tortugi, dawnej twierdzy piratów.

Hunter płynął jeszcze przez trzeci dzień, a potem zatrzymał się na noc, żeby zmęczeni ludzie odpoczęli. Wiedział, że następnego dnia rozpoczną długi oceaniczny rejs obok Inaguy, a potem na samą Matanceros. Nie znajdą już bezpiecznego miejsca do lądowania. Kiedy przekroczą dwudziesty równoleżnik, wpłyną na wrogie hiszpańskie wody.

Załodze dopisywały humory, żartowano i śmiano się przy obozowych ogniskach. Przez ostatnie trzy dni tylko jednego człowieka dopadły wizje pełzających diabłów na skutek braku rumu; ten człowiek już się uspokoił, nie rzucał się i nie dygotał.

Zadowolony Hunter wpatrywał się w ogień. Podszedł Sanson i usiadł obok niego.

– O czym myślisz?

– O niczym specjalnym.

– Rozmyślasz o Cazalli?

– Nie. – Hunter pokręcił głową.

– Wiem, że zabił twojego brata – powiedział Sanson.

– Tak, kazał go zabić.

– I to nie budzi w tobie gniewu?

Hunter westchnął.

– Już nie.

Sanson przyglądał mu się w migotliwym świetle ognia.

– W jaki sposób on zginął?

– To nieważne – odparł spokojnie Hunter.

Sanson milczał przez chwilę.

– Słyszałem – zaczął – że twój brat został pojmany przez Cazallę na statku handlowym. Słyszałem, że Cazalla powiesił go za ramiona, obciął mu jądra i wepchnął do ust, aż biedak się zadławił na śmierć.

Hunter nie odpowiedział od razu.

– Znam tę historię – mruknął w końcu.

– I wierzysz w nią?

– Tak.

Sanson badał wzrokiem jego twarz.

– Przebiegły Anglik. Gdzie twój gniew, Hunter?

– Nie straciłem go – odparł Hunter.

Sanson kiwnął głową i wstał.

– Kiedy znajdziesz Cazallę, zabij go szybko. Nie pozwól, żeby nienawiść zaćmiła ci umysł.

– Nie zaćmiła.

– Nie, widzę, że nie.

Sanson odszedł, a Hunter jeszcze przez długi czas wpatrywał się w płomienie.

\* \* \*

Rankiem wpłynęli w niebezpieczną Cieśninę Zawietrzną pomiędzy Kubą a Hispaniolą. Wiały tu zmienne wiatry i morze było wzburzone, ale *Kasandra* utrzymywała dobrą szybkość. O którejś godzinie nocy minęli od sterburty ciemny cypel Le Mole – zachodni czubek Hispanioli. A przed świtem linia brzegowa rozpadła się i odsłoniła Tortugę przy północnym brzegu.

Płynęli dalej.

\* \* \*

Przebywali na otwartych wodach już piąty dzień, ale pogoda dopisywała i morze tylko lekko kołysało. Późnym popołudniem zobaczyli po lewej wyspę Inagua, a wkrótce potem Lazue dostrzegła na horyzoncie, prosto przed dziobem, kreskę oznaczającą Les Caiques. To było ważne, ponieważ na południe od Les Caiques rozciągała się na kilka mil zdradliwa płycizna.

Hunter wydał rozkaz, żeby skrócić na wschód, w stronę ciągle niewidocznych wysp Turks.

Nadal utrzymywała się dobra pogoda. Marynarze śpiewali i drzemali w słońcu.

Słońce stało niżej na niebie, kiedy Lazue zaalarmowała senną załogę

okrzykiem: i – Żagiel!

Hunter zerwał się na nogi. Wyteżając wzrok, spojrzął na horyzont, ale nic nie zobaczył.

Enders, morski artysta, trzymał lunetę przy oku i rozglądał się na wszystkie strony.

– Niech mnie – powiedział i podał lunetę Hunterowi. – Jest prosto na trawersie.

Hunter spojrzął w soczewkę. Przez zakrzywioną tęczę barw ujrzał biały prostokąt tuż nad horyzontem. Widział, jak prostokąt wysuwa następną krawędź i zmienia się w dwa nakładające się białe prostokąty.

– I co myślisz? – zapytał Enders.

Hunter pokręcił głową.

– Wiesz tyle samo co ja.

Z tej odległości nie dało się rozpoznać narodowości zbliżającego się statku, ale niewątpliwie znajdowali się na hiszpańskich wodach. Hunter omiół wzrokiem horyzont. Inagua została daleko z tyłu – pięć godzin drogi – i nie zapewniała dobrej kryjówki. Na północy zapraszały Les Caiques, ale wiatr wiał z północnego wschodu i płynąc ostro na wiatr, nie mogliby rozwinąć szybkości. Wyspy Turks były jeszcze niewidoczne – i leżały w tym samym kierunku, gdzie ujrzeli żagiel.

Kapitan musiał podjąć decyzję, chociaż żadna możliwość nie wyglądała zachęcająco.

– Zmiana kursu – zarządził wreszcie. – Skręcamy do Les Caiques.

Enders przygryzł wargę i kiwnął głową.

– Przygotować się! – krzyknął.

Załoga skoczyła do fałów. *Kassandra* wykonała skręt pod wiatr i obrała kurs na północ.

– Oderwijmy się od niego – powiedział Hunter, wpatrując się w żagle. – Szybciej.

– Tak jest, kapitanie – odparł Enders.

Wilk morski miał nieszczęśliwą minę, i nie bez powodu, ponieważ żagle na horyzoncie były już widoczne gołym okiem. Drugi statek ich doganiał; bramsle

wyłoniły się zza horyzontu i widać było fokzagle.

Przez lunetę Hunter zobaczył trzy rogi bramsli. Trójmasztowy statek, to z pewnością okręt wojenny.

– Diabli!

Na jego oczach trzy żagle zlały się w jeden prostokąt, a potem znowu się rozdzieliły.

– Zmienia kurs – oznajmił Hunter. – Rusza za nami.

Stopy Endersa wykonywały nerwowy taniec, podczas gdy ręce ścisnęły rumpel.

– Nie uciekniemy mu, płynąc tym halsem, kapitanie.

– Ani innym – odparł ponuro Hunter. – Módl się o ciszę.

Drugi statek zbliżył się już na pięć mil. Przy stałym wietrze nieubłaganie doganiał *Kasandrę*. Mogli tylko mieć nadzieję, że wiatr osłabnie; wówczas lżejsza *Kasandra* uzyskałaby przewagę. Czasami zdarzało się, że wiatr cichł o zachodzie słońca, lecz równie często się wzmacniał. Wkrótce Hunter poczuł mocniejszy powiew na policzkach.

– Nie mamy dzisiaj szczęścia – stwierdził Enders.

Widzieli już groty ścigającego ich okrętu, różowe w blaskach zachodu i wydęte silniejszą bryzą. *Les Caiques* wciąż znajdowały się daleko, bezpieczna przystań rozpaczliwie niedostępna, poza ich zasięgiem.

– Czy powinniśmy zawrócić i uciekać, kapitanie? – zapytał Enders.

Hunter pokręcił głową. *Kasandra* mogła szybciej uciekać z wiatrem, ale w ten sposób tylko opóźniliby nieuniknione. Nie mogąc nic zrobić, Hunter zacisnął pięści w bezsilnej furii i patrzył, jak rosą żagle ścigającego ich okrętu. Widzieli już zarys kadłuba.

– Zgadza się, to okręt liniowy – powiedział Enders. – Nie widzę dziobu.

Kształt dziobu najszybciej zdradzał przynależność państwową. Hiszpańskie okręty z reguły miały bardziej tępą linię dziobu niż angielskie czy holenderskie.

Sanson wrócił do rumpla.

– Zamierzasz walczyć? – spytał.

W odpowiedzi Hunter tylko wskazał na okręt. Kadłub rysował się teraz

wyraźnie na tle horyzontu. Okręt miał ponad sto trzydzieści stóp długości ponad linią wodną i dwa pokłady działowe. Ambrazury były otwarte, tępe pyski dział wysunięte na zewnątrz. Hunter nie fatygował się liczeniem; na sterburcie widział co najmniej dwadzieścia, może trzydzieści dział.

– Na moje oko to Holender – orzekł Sanson.

– Pewnie tak – zgodził się Hunter.

– Będziesz walczyć?

– Walczyć z tym? – prychnął Hunter.

Nie zdążył dokończyć tych słów, kiedy okręt wojenny oddał wstępną salwę w stronę *Kasandry*. Znajdował się jeszcze za daleko; pociski nieszkodliwie chlupnęły w wodę za bakburta, ale ostrzeżenie było wyraźne. Jeszcze tysiąc jardów i okręt znajdzie się w zasięgu strzału.

Hunter westchnął.

– Zwrot pod wiatr – powiedział cicho.

– Słucham, kapitanie? – zapytał Enders.

– Powiedziałem, zwrot pod wiatr i zluzować fały.

– Tak jest, kapitanie! – zawołał Enders.

Sanson spiorunował wzrokiem Huntera i odszedł, tupiąc głośno. Hunter nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył, jak jego mały słup ustawia się dziobem do wiatru i luzuje wszystkie liny.

Żagle łopotały hałaśliwie, statek znieruchomiał. Załoga zgromadziła się przy bakburcie i patrzyła na zbliżający się okręt wojenny. Kadłub miał pomalowany na jednolitą czerń, z połączanymi listwami, na kasztelu rufowym lśnił herb Filipa – lwy Heraldyczne. To był hiszpański okręt.

– Możemy im urządzić łaźnię – odezwał się Enders – kiedy podpłyną, żeby nas pojmać. Powiedz tylko słowo, kapitanie.

– Nie – rzucił Hunter.

Na okręcie tej wielkości będzie co najmniej dwustu marynarzy i równie wielu uzbrojonych żołnierzy na pokładzie. Sześćdziesięciu ludzi w otwartym słupie przeciwko czterystu na większym okręcie? Przy najmniejszych próbach oporu okręt po prostu odsunie się na większą odległość i strzałami z armat zatopi *Kasandrę*.

– Lepiej zginąć z bronią w ręku niż z papieską pętlą na szyi albo ze stopami przypiekanymi przeklętym hiszpańskim ogniem – oświadczył Enders.

– Zaczekamy – powiedział Hunter.

– Zaczekamy na co?

Hunter nie potrafił odpowiedzieć. Patrzył, jak okręt podpływa tak blisko, że cień grotu *Kasandry* pada na jego bok. Hiszpańskie głosy wykrzykiwały staccato rozkazy w zapadającym zmierzchu.

Spojrzał na własny statek. Sanson pospiesznie nabijał pistolety i wpychał za pas. Hunter podszedł do niego.

– Ja zamierzam walczyć – oświadczył Sanson. – Wy możecie się poddać jak potulne kobiety, ale ja będę walczył.

Hunter nagle wpadł na pomysł.

– Więc zrób to. – Szepnął coś Sansonowi do ucha. Po chwili Francuz oddalił się ukradkiem.

Hiszpanie dalej pokrzykiwali. Rzucono liny na *Kasandrę*. Nieprzerwany szereg żołnierzy z muszkietami stał wysoko na głównym pokładzie okrętu, celując w dół, w mały słup. Pierwsi hiszpańscy żołnierze zeszli na *Kasandrę*. Jeden po drugim Hunter i jego ludzie, szturchani muszkietami, wdrapali się po sznurowej drabince na okręt wroga.



# Rozdział 15

Po tylu dniach na ciasnym, zatłoczonym pokładzie *Kasandry* okręt wojenny wydawał się ogromny. Główny pokład był tak rozległy, że wyglądał jak równina rozpościerająca się przed oczami. Załoga Huntera, spędzona pod główny maszt przez żołnierzy – ta sama załoga, która ledwo się mieściła na slupie – tutaj wydawała się nieliczna i nieważna. Hunter popatrzył na swoich ludzi; odwracali oczy, umykali wzrokiem, na ich twarzach malował się gniew, zawód i rozczarowanie.

Wysoko nad ich głowami olbrzymie żagle łopotały na wietrze tak głośno, że ciemnoskóry hiszpański oficer, który do niego podszedł, musiał krzyżeć, żeby go usłyszano.

– Ty jesteś kapitan?! – wrzasnął.

Hunter kiwnął głową.

– Jak cię zwa?

– Hunter! – odkrzyknął.

– Anglik?

– Tak.

– Idziesz do kapitana – oznajmił Hiszpan.

Dwaj uzbrojeni żołnierze zapędzili Huntera pod pokład.

Widocznie prowadzili go do kapitana tego okrętu. Hunter obejrzał się przez ramię i po raz ostatni ujrzał swoją żalosną załogę skupioną wokół masztu. Właśnie krępowano im ręce za plecami. Załoga okrętu działała sprawnie i skutecznie.

Potyając się, Hunter zszedł po wąskich schodach na pokład działowy. Przełomie dostrzegł długi szereg dział, z załogą w pogotowiu, zanim brutalnie popchnięto go w stronę rufy.

Mijając otwarte ambrazury, widział w dole swój mały słup, przycumowany do okrętu.

Hiszpańscy żołnierze roili się na pokładzie, a hiszpańscy marynarze z załogi abordażowej oglądali wyposażenie i olinowanie, przygotowując się do prowadzenia statku.

Nie pozwolono mu na zwłokę; muszkiet dźgnął go w plecy i popchnął do przodu. Dotarli do drzwi, przed którymi pełniło straż dwóch uzbrojonych po zęby drabów o groźnym wyglądzie.

Hunter zauważył, że ci ludzie nie nosili mundurów i roztaczali atmosferę osobliwej wyższości; spojrzeli na niego z pogardliwym politowaniem. Jeden z nich zapukał do drzwi i szybko powiedział parę słów po hiszpańsku; w odpowiedzi rozległo się chrząknięcie.

Strażnicy otwarli drzwi i wepchnęli Huntera do środka. Jeden z nich też wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Kabina kapitańska okazała się wyjątkowo przestronna i zbytkownie urządzona. Wszędzie rzucały się w oczy oznaki luksusu. Na środku stał stół nakryty cienkim lnianym obrusem, zastawiony złotymi naczyniami do wieczornego posiłku przy świecach. Wygodne łóżko nakrywała brokatowa kapa haftowana złotem. W kącie wisiał barwny olejny obraz przedstawiający Chrystusa na krzyżu, nad działem wysuniętym przez otwarty iluminator.

Latarnia w drugim kącie rzucała ciepły złocisty blask na pokój.

W głębi kabiny stał drugi stół, zarzucony mapami. Za tym stołem, na krześle obitym miękkim czerwonym aksamitem, zasiadał sam kapitan.

Siedział obrócony plecami do Huntera i nalewał wino z kryształowej karafki. Hunter widział tylko szerokie plecy, potężne jak u byka.

– A więc – odezwał się kapitan bardzo dobrą angielszczyzną – czy mogę cię namówić, panie, na kieliszek tego znakomitego bordo?

Zanim Hunter zdążył odpowiedzieć, kapitan się odwrócił. Spojrzały na niego płomienne oczy, osadzone w grubo ciosanej twarzy z wydatnym nosem i smoliście czarną brodą. Mimo woli wyrwało mu się jedno słowo:

– Cazalla!

Hiszpan roześmiał się serdecznie.

– Czyżbyś się spodziewał króla Karola?

Hunter zaniemówił. Bezwiednie poruszał wargami, spomiędzy których nie wydobywał się żaden dźwięk. Tysiąc pytań jednocześnie przyszło mu na myśl. Dlaczego Cazalla był tutaj, nie na Matanceros? Czy to znaczy, że galeon odpłynął? Czy może Cazalla zostawił fortecę pod dowództwem jakiegoś zdolnego porucznika? Albo otrzymał rozkaz z góry... ten okręt mógł płynąć do Hawany.

Pytania kłębiły mu się w głowie i ogarniał go zimny strach. Ledwie zdołał się powstrzymać od dygotania, stojąc przez obliczem Cazalli.

– Angliku – powiedział Cazalla – pochlebia mi twoje zmieszanie. Wstyd mi, że nie znam twego miana. Siadaj, poczuj się swobodnie.

Hunter nie mógł się ruszyć. Żołnierz brutalnie popchnął go na krzesło naprzeciwko Cazalli.

– Znacznie lepiej – orzekł Cazalla. – Napij się teraz bordo?

Podał Hunterowi kieliszek.

Najwyższym wysiłkiem Hunter zapanował nad drżeniem ręki, kiedy wziął kieliszek. Ale nie pił; natychmiast postawił kieliszek na stole. Cazalla się uśmiechnął.

– Twoje zdrowie, Angliku – powiedział i łyknął wina. – Muszę wypić za twoje zdrowie, dopóki to jeszcze możliwe. Przyłączysz się do mnie? Nie? Śmiało, Angliku. Nawet jego ekscelencja komandor garnizonu w Hawanie nie pija takiego wspaniałego bordo. Jest francuski, nazywa się Haut-Brion. Pij. Pij – powtórzył.

Hunter podniósł kieliszek i wypił trochę. Czuł się oszołomiony, niemal jak w transie. Ale smak wina przełamał nastrój chwili; zwykły gest uniesienia kieliszka do ust sprawił, że Hunter doszedł do siebie. Otrząsnął się z szoku i zaczął dostrzegać tysiące maleńkich szczegółów. Słyszał za plecami oddech żołnierza; stoi dwa kroki za mną, pomyślał. Widział nierówną brodę Cazalli i domyślał się, że Hiszpan już od jakiegoś czasu jest na morzu. Czuł czosnek w oddechu Cazalli, który nachylił się i powiedział:

– No, Angliku, mów: jak się nazywasz?

– Charles Hunter – odparł głosem silniejszym i pewniejszym, niż się spodziewał.

– Tak? Zatem słyszałem o tobie. Tyś jest ten Hunter, który zdobył

Conception w zeszłym roku?

– To ja – przyznał Hunter.

– Ten sam Hunter, który poprowadził rajd na Monte Cristo na Hispanioli i więził właściciela plantacji Ramonę dla okupu?

– To ja.

– Ten Ramona to świnia, nie uważasz? – Cazalla się zaśmiał. – I jesteś również tym Hunterem, który zdobył statek niewolniczy de Ruytersa, stojący na kotwicy w Gwadelupie, i odpłynął z całym ładunkiem?

– To ja.

– Zatem bardzo mi przyjemnie cię poznać, Angliku. Czy znasz swoją wartość? Nie? No cóż, wzrasta z roku na rok i pewnie znowu ją podniesiono. Ostatnio słyszałem, że król Filip ofiarował za ciebie dwieście złotych dublonów i jeszcze osiemset za twoją załogę każdemu, kto was schwyta. Może teraz dają więcej. Dekrety się zmieniają, tak wiele szczegółów.

Poprzednio odsyłaliśmy piratów do Sewilli, gdzie inkwizycja potrafiła ich zachęcić, żeby jednym tchem wyznali swoje grzechy i wyrzekli się herezji. Ale to zbyt wiele zachodu. Teraz wysyłamy tylko głowy i rezerwujemy miejsce w ładowniach na zyskowniejsze towary.

Hunter milczał.

– Może sądzisz – ciągnął Cazalla – że dwieście dublonów to zbyt skromna suma. Jak się domyślasz, w tej chwili zgadzam się z tobą. Zapewne jednak ucieszy cię świadomość, że jesteś najwyżej cenionym piratem na tych wodach. Czy to ci sprawia przyjemność?

– Przyjmuję to – odparł Hunter – w duchu, w jakim zostało powiedziane.

Cazalla się uśmiechnął.

– Widzę, żeś jest urodzonym dżentelmenem – powiedział. – I pragnę cię zapewnić, że zostaniesz powieszony z godnością należną dżentelmenowi. Masz moje słowo.

Hunter skłonił się lekko, nie wstając z krzesła. Patrzył, jak Cazalla sięga po mały szklany pucharek z dopasowaną pokrywą. W pucharku znajdowały się szerokie zielone liście. Cazalla wyjął jeden liść i zaczął żuć z namysłem.

– Wydajesz się zdziwiony, Angliku. Nie znasz tego zwyczaju? Indianie z

Nowej Hiszpanii nazywają ten liść koka. Rośnie na wyżynach. Żucie go daje energię i siłę. U kobiet wywołuje wielki zapal – dodał ze śmiechem. – Masz ochotę sam skosztować? Nie? Nie chcesz mojej gościnności, Angliku.

Przez chwilę przeżuwał w milczeniu, patrząc na Huntera.

– Czy my się już nie spotkaliśmy? – rzekł w końcu.

– Nie.

– Twoja twarz jest dziwnie znajoma. Może w przeszłości, kiedy byłeś młodszy?

Hunter poczuł, że serce mu wali.

– Nie przypuszczam.

– Bez wątpienia masz rację – przyznał Cazalla. W zamyśleniu popatrzył na obraz na ścianie. – Dla mnie wszyscy Anglicy wyglądają tak samo. Nie odróżniam ich. – Znowu spojrział na Huntera. – A jednak ty mnie rozpoznałeś. Jak to możliwe?

– Twoje oblicze i postępowanie jest powszechnie znane w angielskich koloniach.

Cazalla przeżuł z liśćmi kawałek limetki. Uśmiechnął się, potem zachichotał.

– Nie wątpię – powiedział. – Nie wątpię.

Nagle okręcił się na krześle i trzasnął dłonią w stół.

– Wystarczy: musimy pogadać o interesach. Jak się nazywa twój statek?

– *Kassandra* – odparł Hunter.

– A kto jest właścicielem?

– Ja jestem właścicielem i kapitanem.

– Skąd wyruszyliście na morze?

– Z Port Royal.

– W jakim celu odbywasz ten rejs?

Hunter milczał przez chwilę. Gdyby potrafił wymyślić wiarygodny pretekst, użyłby go od razu. Niełatwo jednak było wyjaśnić obecność statku na tych wodach. W końcu powiedział:

– Doniesiono nam, że przepłynie tędy statek niewolniczy z Gwinei.

Cazalla zacmokał i pokręcił głową.

– Angliku, Angliku.

Hunter przybrał ostentacyjnie niechętną minę. Potem powiedział:

– Płynęliśmy do Augustine.

To było największe miasto w hiszpańskiej kolonii Florydzie. Nie wyróżniało się bogactwem, ale przynajmniej teoretycznie angielscy korsarze mogli je zaatakować.

– Dziwny wybrałeś kurs. I powolny. – Cazalla zabębnił palcami w blat stołu. – Dlaczego nie pożeglowałeś na zachód wokół Kuby, do Kanału Bahamskiego?

Hunter wzruszył ramionami.

– Mieliśmy powody podejrzewać, że w kanale są hiszpańskie okręty wojenne.

– A tu nie?

– Tu ryzyko było mniejsze.

Cazalla rozważał to przez długą chwilę. Przeżuwał hałaśliwie i popijał wino.

– W Augustine nic nie ma, tylko bagna i węże – powiedział. – I nie ma powodu ryzykować w Cieśninie Zawietrznej. A w tej okolicy... – Wzruszył ramionami. – Każda osada jest silnie broniona, za silnie jak na twój wąty stateczek i nieliczną załogę. – Zmarszczył brwi. – Angliku, czemu tu jesteście?

– Powiedziałem prawdę – zapewnił Hunter. – Płynęliśmy do Augustine.

– Ta prawda mnie nie zadowala – oświadczył Cazalla.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i jakiś marynarz wsadził głowę do kabiny.

Przemówił szybko po hiszpańsku. Hunter nie znał hiszpańskiego, ale liznął trochę francuskiego i dzięki temu zdołał wydedukować, że marynarz zawiadamia Cazallę, iż słup jest obsadzony załogą abordażową i gotów do odpłynięcia. Cazalla kiwnął głową i wstał.

– Zaraz odpływamy – oznajmił. – Pójdiesz ze mną na pokład. Może w twojej załodze znajdą się tacy, którzy nie podzielają twojej niechęci do mówienia.

# Rozdział 16

Korsarzy ustawiono w dwóch nierównych rzędach, ze związanymi rękami. Cazalla spacerował tam i z powrotem przed szeregami ludzi. W ręku trzymał nóż i uderzał płazem ostrza o drugą dłoń. Przez chwilę panowała całkowita cisza, którą mąciło tylko rytmiczne plaskanie stali o ciało.

Hunter odwrócił wzrok i spojrział na olinowanie statku. Płynęli na wschód – pewnie na bezpieczne kotwicowisko Hawk’s Nest, na południe od wyspy Turk. W zapadającym zmierzchu widział, że *Kasandra* płynie tym samym kursem w bliskiej odległości za większym okrętem.

Cazalla przerwał jego myśli.

– Wasz kapitan – powiedział głośno – nie chce mi zdradzić celu waszej podróży.

Mówi, że to Augustine – dodał z wyraźną ironią. – Augustine: dziecko umiałoby lepiej kłamać. Ale zapowiadam: poznam wasz cel. Który z was wystąpi i powie?

Cazalla popatrzył na dwa szeregi mężczyzn. Jeńcy odpowiedzieli mu pustymi spojrzeniami.

– Czy muszę was zachęcić? He? – Podszedł do jednego z marynarzy. – Ty. Będziesz mówił?

Marynarz nie odezwał się, nie poruszył, nawet nie mrugnął. Po chwili Cazalla podjął spacer.

– Wasze milczenie nic nie znaczy – oświadczył. – Wszyscy jesteście heretykami i rozbójnikami i w odpowiednim czasie zadyndacie na końcu liny. Zanim nadejdzie ten dzień, możecie albo żyć wygodnie, albo nie. Każdy, kto będzie mówił, dożyje spokojnie aż do wyznaczonego dnia, na co ma moje uroczyste słowo.

Nadal nikt się nie poruszył. Cazalla przystanął.

– Głupcy z was. Nie doceniacie mojej determinacji.

Stał teraz przed Trencherem, wyraźnie najmłodszym członkiem korsarskiej załogi. Trencher drżał, ale trzymał głowę wysoko.

– Ty, chłopcze – powiedział Cazalla łagodniejszym głosem. – Nie należysz do tej bandyckiej kompanii. Mów i podaj mi cel waszej wyprawy.

Trencher otworzył usta, potem zamknął. Warga mu drgnęła.

– Mów – ponaglił łagodnie Cazalla. – Mów, mów...

Ale chwila minęła. Trencher mocno zacisnął usta.

Cazalla spoglądał na niego przez chwilę, a potem jednym zręcznym ruchem poderżnął mu gardło nożem, którym trzymał w ręku. To stało się tak szybko, że Hunter prawie nic nie zobaczył. Krew chlusnęła szeroką czerwoną fontanną na koszulę chłopca. Oczy mu się rozszerzyły ze zgrozy. Powoli pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem. Potem osunął się na kolana i zastygł z pochyloną głową, patrząc, jak jego krew kapie na deski pokładu i na czubki butów Cazalli. Hiszpan odsunął się z przekleństwem.

Trencher klęczał niemal przez wieczność. Potem podniósł wzrok i przez bolesną chwilę wpatrywał się w oczy Huntera. Jego spojrzenie wyrażało prośbę, zaskoczenie i strach. A potem oczy obróciły mu się w głąb czaszki i upadł bezwładnie na podkład, wstrząsany drgawkami.

Wszyscy marynarze patrzyli, jak Trencher umiera, ale nikt się nie poruszył. Ciało chłopca miotano się w konwulsjach, obcasy butów skrobały po deskach. Wokół głowy rozlała się wielka kałuża krwi. A potem wreszcie się skończyło.

Cazalla chłonał wzrokiem ten spektakl śmierci. Teraz zrobił krok, postawił stopę na karku martwego chłopca i mocno nadepnął. Trzasnęły pękające kości.

Cazalla popatrzył na dwuszeręg marynarzy.

– Dowiem się prawdy – oświadczył. – Przysięgam wam, że się dowiem. – Odwrócił się do pierwszego oficera. – Zabrać ich na dół i zamknąć – rozkazał. Kiwnął na Huntera. – Jego razem z nimi.

I odszedł na rufę. Hunter został związany i sprowadzony na dół razem z resztą marynarzy.



Hiszpański okręt wojenny miał pięć pokładów. Dwa górne były pokładami działowymi; część załogi sypiała tu w hamakach rozpiętych pomiędzy armatami. Niżej znajdowały się kwatery dla żołnierzy. Czwarty pokład przeznaczono na magazyny żywności, amunicji, sprzętu i takielunku, zapasów i żywego inwentarza: Piąty i najniższy pokład właściwie nie przypominał pokładu: miał niecałe cztery stopy wysokości od podłogi do grubo belkowanego sufitu, a ponieważ znajdował się poniżej linii wodnej, nie miał wentylacji. Ciężkie powietrze cuchnęło stęchlizną i fekaliami.

Tam zabrano załogę *Kasandry*. Marynarzom kazano usiąść na gołej podłodze, w pewnej odległości jeden od drugiego. W rogach pomieszczenia pełniło straż dwudziestu żołnierzy. Od czasu do czasu jeden z nich przechodził z latarnią i sprawdzał, czy żaden z jeńców nie poluzował więzów.

Nie pozwalano na rozmowy ani na sen, a każdy, kto próbował jednego czy drugiego, obrywał brutalnego kopniaka. Ludzie nie mogli ruszać się z miejsca i musieli się wypróżniać tam, gdzie siedzieli. Przy sześćdziesięciu więźniach i dwudziestu strażnikami wąskie, duszne pomieszczenie wkrótce zmieniło się w istne piekło. Nawet strażnicy ociekali potem.

Nie dało się zmierzyć upływu czasu. Nie dochodziły tutaj żadne dźwięki oprócz ciężkiego tupotu zwierząt na górnym pokładzie i nieustannego, monotonnego syku wody rozcinanej kadłubem. Hunter siedział w kącie i próbował się skupić na odgłosach wody, czekał, aż przycichną. Usiłował zapomnieć o swoim rozpaczliwym położeniu – razem z załogą uwięzieni głęboko w brzuchu potężnego okrętu, otoczeni przez setki wrogich żołnierzy, zdani całkowicie na ich łaskę. Jeśli *Cazalla* nie rzuci kotwicy na noc, będą zgubieni. Jedyna szansa Huntera zależała od tego, czy okręt zatrzyma się na noc.

Czas mijał; Hunter czekał.

W końcu uświadomił sobie zmianę w bulgotaniu wody i poskrzypywaniu olinowania. Wyprostował się i wyteżył słuch. Nie było wątpliwości – okręt zwalniał.

Żołnierze, zbici w grupkę i rozmawiający po cichu, również to zauważyli i komentowali. Po chwili szum wody całkiem ucichł i Hunter usłyszał brzęk wypuszczanego kotwicznego łańcucha. Kotwica plusnęła głośno; Hunter

zanotował w pamięci, że znajdują się blisko dziobu okrętu. Dlatego te dźwięki dochodziły tak wyraźnie.

Upłynęło jeszcze trochę czasu. Okręt kołysał się lekko na kotwicy. Widocznie zatrzymali się w jakieś osłoniętej zatoczce, gdzie woda była spokojna. Jednak okręt miał głębokie zanurzenie i Cazalla nie wprowadziłby go nocą do żadnej zatoki, której dobrze nie znał.

Hunter zastanawiał się, gdzie kotwiczili. Miał nadzieję, że w jakiejś zatoczce opodal wyspy Turk. Znajdowało się tam kilka podwietrznych zatoczek dostatecznie głębokich na okręt tej wielkości.

Kołysanie okrętu na kotwicy usypiało. Hunter kilkakrotnie przyłapał się na drzemce.

Żołnierze sumiennie rozdawali marynarzom kopniaki, nie pozwalając im zasnąć. Ponury półmrok najniższego pokładu często przeszywały jęki i stękania kopanych marynarzy.

Hunter rozmyślał nad swoim planem. Co się działo?

Po jakimś czasie z góry zszedł hiszpański żołnierz i warknął:

– Wszyscy wstać! Rozkazy Cazalli! Wszyscy wstać!

Ponaglani kopniakami, marynarze podnieśli się jeden za drugim, pochyleni pod niskim sufitem. W tej niewygodnej pozycji cierpieli prawdziwe katusze.

Upłynęło jeszcze trochę czasu. Zmieniono strażę. Nowi żołnierze weszli, zatykając nosy i żartując na temat zapachu. Hunter popatrzył na nich ze zdziwieniem; już dawno przestał zwracać uwagę na smród.

Nowi strażnicy byli młodsi i mniej skrupułami w wypełnianiu obowiązków. Widocznie Hiszpanie uważali, że piraci nie sprawią im już kłopotów. Strażnicy szybko zajęli się grą w karty. Hunter odwrócił wzrok i patrzył, jak krople jego potu spadają na podłogę. Pomyślał o biednym Trencherze, ale nie potrafił wzbudzić w sobie gniewu ani oburzenia, ani nawet strachu. Był odrętwiały.

Wszedł nowy żołnierz. Wyglądał na oficera i wyraźnie nie podobała mu się niedbała postawa młodszych strażników. Wyszczekał ostre rozkazy i młodzi pospiesznie odłożyli karty.

Oficer obszedł pomieszczenie, zaglądając w twarze korsarzy. Wreszcie wyłuskał z grupy jednego i wyprowadził. Pod marynarzem ugięły się nogi, kiedy kazano mu iść; żołnierze dźwignęli go i wywlekli.

Drzwi się zamknęły. Strażnicy przez krótki czas okazywali demonstracyjną czujność, a potem znowu się odprężyli. Ale nie grali w karty. Po chwili dwóch postanowiło się założyć, który dalej siknie. Za cel wybrali sobie marynarza w kącie. Strażnicy uznali tę grę za wspaniały sport, śmiali się i udawali, że stawiają ogromne sumy na zwycięzcę.

Hunter tylko mętnie zdawał sobie sprawę z tych wydarzeń. Był wyczerpany; nogi go paliły ze zmęczenia i plecy bolały. Zaczął się zastanawiać, dlaczego nie zgodził się podać Cazalli celu podróży. Teraz to się wydawało pustym gestem.

Rozmyślenia Huntera przerwało nadejście następnego oficera, który szczechnął:

– Kapitan Hunter!

I Huntera wyprowadzono.

Poszturchiwany i popychany przez pokłady, gdzie marynarze spali w rozkołysanych hamakach, usłyszał wyraźnie dobiegający z głębi okrętu dziwny, żaloszny dźwięk.

Płacz kobiety.

# Rozdział 17

Hunter nie miał okazji zastanowić się nad znaczeniem tych osobliwych odgłosów, ponieważ został pospiesznie wypchnięty na główny pokład. Tam, pod gwiazdami i zrefowanymi żaglami, ujrzał księżyc nisko na niebie – co znaczyło, że do świtu zostało najwyżej parę godzin.

Poczuł ostre ukłucie rozpacz.

– Angliku, chodź tu!

Hunter obejrzał się i zobaczył Cazallę, stojącego w pobliżu głównego masztu, pośrodku kręgu pochodni. U jego stóp leżał marynarz zabrany wcześniej z dołu, rozciągnięty na plecach i mocno przywiązany do pokładu. Wokół stało kilku hiszpańskich żołnierzy i wszyscy szczyrzyli zęby.

Sam Cazalla wydawał się podniecony; oddychał szybko i płytko. Znowu żuł liście koki.

– Angliku, Angliku – wyrzucił z siebie pospiesznie. – Przyszedłeś w samą porę, żeby wziąć udział w naszej małej zabawie. Czy wiesz, że przeszukaliśmy twój statek? Nie? No więc tak zrobiliśmy i znaleźliśmy wiele interesujących rzeczy.

O Boże, pomyślał Hunter. Nie...

– Masz sporo lin, Angliku, i śmieszne żelazne haki, które się składają, i inne dziwne brezentowe rzeczy, których przeznaczenia nie rozumiemy. Ale przede wszystkim, Angliku, nie rozumiemy tego.

Serce Huntera waliło: jeśli znaleźli *grenadoes*, wszystko skończone.

Lecz Cazalla podniósł klatkę z czterema szczurami. Zwierzęta dreptały w kółko i piszczały nerwowo.

– Wyobrażasz sobie, Angliku, jak nas zdumiało, że przewozisz szczury na swoim statku? Zadaliśmy sobie pytanie po co. Po co Anglik wiezie szczury do

Augustine? Augustine ma własne szczury, szczury z Florydy, bardzo dobre. Tak? Więc ciekawi mnie, jak to wyjaśnisz.

Hunter patrzył, jak żołnierz robi coś z twarzą marynarza przywiązanego do pokładu.

Początkowo nic nie widział: marynarza chyba nacierano albo głaskano po twarzy. Potem zrozumiał, że smarują mu twarz serem.

– No więc – odezwał się Cazalla, kołysząc klatką w powietrzu – widzę, że nie traktujesz dobrze swoich przyjaciół szczurów. One są głodne, Angliku. Chcą jeść. Widzisz, jak się ożywiły? Czują zapach jedzenia. Dlatego tak biegają. Chyba powinniśmy je nakarmić, prawda?

Hunter patrzył na szczury i na przerażone oczy unieruchomionego marynarza.

– Ciekawe, czy twój przyjaciel zacznie mówić – podjął Cazalla.

Marynarz nie mógł oderwać oczu od szczurów.

– A może, Angliku, będziesz mówił za niego?

– Nie – odparł Hunter ze znużeniem.

Cazalla nachylił się nad marynarzem i poklepał go po klatce piersiowej.

– A ty będziesz mówił?

Drugą ręką dotknął zasuwki na drzwiach klatki.

Marynarz skupił wzrok na zasuwce i patrzył, jak Cazalla powoli unosi ją o kolejne ułamki cala. Wreszcie klatka została otwarta; Cazalla przytrzymał drzwiczki jednym palcem.

– Twoja ostatnia szansa, przyjacielu...

– *Non!* – wrzasnął marynarz. – *Je parle! Je parle!*

– Dobrze – Cazalla gładko przeszedł na francuski.

– Matanceros – wykrztusił marynarz.

Cazalla posiniał z furii.

– Matanceros! Ty idioto, spodziewasz się, że ci uwierzę? Zaatakować Matanceros! – I nagle otwarł drzwiczki klatki.

Marynarz wrzasnął piskliwie, kiedy szczury skoczyły mu do twarzy. Pokręcił głową, ale cztery futrzaste ciała wczepiły się w jego policzki, czoło i brodę. Szczury piszczały i skrzeczały; jeden został odrzucony, ale natychmiast

przebiegł po falującej klatce piersiowej jeńca i wgryzł się w szyję. Marynarz krzyczał i jęczał bez przerwy. W końcu stracił przytomność i leżał bez ruchu, podczas gdy szczury, skrzecząc, ucztowały na jego twarzy.

Cazalla wstał.

– Dlaczego wszyscy macie mnie za durnia? – zapytał. – Angliku, przysięgam, dowiem się prawdy o waszej wyprawie.

Odwrócił się do strażników.

– Zabrać go na dół.

Huntera pospiesznie sprowadzono z pokładu. Popychany w dół po wąskich schodach, dostrzegł przelotnie za relingiem *Kasandrę* stojącą na kotwicy około stu jardów od okrętu.

# Rozdział 18

*Kasandra* była praktycznie otwartą łodzią, z jednym głównym odkrytym pokładem i małymi schowkami rozmieszczonymi na dziobie i na rufie. Żołnierze i załoga abordażowa przeszukali te schowki, kiedy zajęli statek. Znaleźli wszystkie zapasy i specjalne wyposażenie, które tak zaintrygowało *Cazallę*.

Żołnierze rojący się na pokładzie przetrząsnęli statek bardzo starannie. Zajrzeli nawet przez luki otwierające się na nadstępkę; przy świetle lamp zobaczyli wodę w zęzie sięgającą prawie do poszycia pokładu, co ich skłoniło do wygłaszania sarkastycznych komentarzy na temat lenistwa piratów, którym nie chciało się czyścić zęzy.

Kiedy *Kasandra* zawinęła do osłoniętej zatoczki i zakotwiczyła w cieniu okrętu wojennego, jej dziesięcioosobowa załoga abordażowa przez kilka godzin popijała wesoło przy świetle pochodni. Wreszcie nad ranem zasnęli na pokładzie snem ciężkim od rumu, rozłożeni na kocach w ciepłym nocnym powietrzu. Nie fatygowali się wystawianiem wachty, chociaż otrzymali takie rozkazy; bliskość okrętu wojennego zapewniała wystarczającą ochronę.

Zatem żaden członek załogi leżący na pokładzie nie słyszał cichego bulgotania z przedziału zęzy ani nie widział człowieka z trzcina w ustach wynurzającego się z cuchnącej, oleistej wody.

Sanson, dygoczący z zimna, przeleżał kilka godzin z głową przy nieprzemakalnym worku, zawierającym cenne *grenadoes*. Ani jego, ani worka nie zauważono. Teraz zdołał zaledwie unieść podbródek nad powierzchnię, zanim stuknął czubkiem głowy o spód pokładu. Otaczała go ciemność pozbawiona punktów orientacyjnych. Pomagając sobie rękami i nogami, przycisnął plecy do kadłuba, żeby wyczuć jego krzywiznę. Ocenił, że znajduje się na bakburcie. Powoli, po cichu przesunął się na środek. Potem z najwyższą ostrożnością ruszył

w kierunku rufy, dopóki nie uderzył lekko głową o prostokątne wgłębienie luku rufowego.

Podniósł wzrok i zobaczył smugi światła padającego przez okratowanie luku. Gwiazdy na niebie. Żadnych dźwięków, tylko chrapanie.

Zaczerpnął tchu i podniósł głowę. Luk podjechał w górę na kilka cali. Teraz Sanson widział pokład. Patrzył prosto w twarz śpiącego marynarza, oddaloną najwyżej o stopę. Mężczyzna chrapał głośno.

Sanson opuścił luk i zanurzył się z powrotem w wodę zęzy. Leżąc na plecach i odpychając się rękami, potrzebował prawie kwadransa, żeby pokonać odległość pięćdziesięciu stóp pomiędzy rufowym a dziobowym lukiem *Kasandry*. Podniósł drugą pokrywę luku i rozejrzał się dookoła. W promieniu dziesięciu stóp nie leżał żaden marynarz.

Powoli, ostrożnie Sanson zdjął pokrywę luku i położył na pokładzie. Wydzwignął się z wody i stał, wdychając świeże nocne powietrze. Nie zwracał uwagi na wiatr, który ziębił jego przemoczone ciało. Skupił się wyłącznie na marynarzach ze zdobyczej załogi, śpiących na pokładzie.

Naliczył dziesięciu ludzi. To się zgadza, pomyślał. W razie konieczności trzech ludzi mogło prowadzić *Kasandrę* pięciu żeglowało nią wygodnie; dziesięciu wystarczało aż nadto.

Sprawdził rozmieszczenie ludzi na pokładzie i próbował zdecydować, w jakiej kolejności ich zabijać. Łatwo zabić człowieka po cichu, ale zabić w absolutnej ciszy – to nie takie proste. Z dziesięciu ludzi najważniejszych było pierwszych czterech czy pięciu, ponieważ jeśli któryś z nich narobi hałasu, wywoła ogólny alarm.

Sanson zdjął cienką linkę, która służyła mu za pas. Skręcił ją w rękach i szarpnięciem napiął mocno między pięściami. Zadowolony z jej wytrzymałości, podniósł rzeźbiony drewniany nagiel i ruszył do przodu.

Pierwszy żołnierz nie chrapał. Sanson podniósł go do siedzącej pozycji. Mężczyzna sennie wymamrotał jakiś protest, zanim Sanson trzasnął go kolkiem w głowę. Cios był potężny, ale nagiel tylko głucho stuknął o czaszkę. Sanson opuścił marynarza z powrotem na pokład.

W ciemności przesunął rękami po głowie ofiary. Namacał spore



wgłębienie; cios prawdopodobnie zabił marynarza, ale Sanson nie ryzykował. Opasał linką gardło nieprzytomnego mężczyzny i mocno zacisnął. Jednocześnie położył drugą rękę płasko na jego piersi, żeby wyczuć bicie serca. Po minucie ustało.

Sanson przeszedł do następnego człowieka, bezgłośnie jak cień. Powtórzył całą operację.

Wymordowanie wszystkich na statku zabrało mu zaledwie dziesięć minut. Zostawił ich na pokładzie, ułożonych jak do snu.

Ostatni zgiął wachtowy, pogrążony w pijackim śnie na rufie przy rumplu. Sanson poderzwał mu gardło i zepchnął za burtę. Marynarz wpadł do wody z cichym pluskiem, ale zauważył to wachtowy na pokładzie okrętu. Wychylił się przez burtę i spojrzał na słup.

– *Questa sta bene?! –* zawołał.

Sanson zajął miejsce zabitego na rufie i pomachał do wachtowego. Chociaż ociekał wodą i nie nosił munduru, wiedział, że po ciemku wachtowy na okręcie tego nie zobaczy.

– *Sta bene –* mruknął sennie.

– *Bassera –* powiedział wachtowy i odwrócił się.

Sanson odczekał chwilę, po czym przeniósł uwagę na okręt.

Wielki statek unosił się na wodzie w odległości około stu jardów – dostatecznie daleko, żeby nie uderzyć *Kasandry*, gdyby obrócił się na kotwicy przy zmianie wiatru czy pływu. Sanson z przyjemnością zauważył, że Hiszpanie zaniedbali uszczelnienia ambrazur, które pozostały otwarte. Gdyby wśliznął się przez otwór strzelniczy na niższym pokładzie działowym, ominąłby wachty na głównym pokładzie.

Zsunął się za burtę i szybko popłynął do okrętu. Miał nadzieję, że Hiszpanie nie wyrzucili w nocy śmieci do zatoki. Śmiecie przyciągały rekiny, a rekiny należały do nielicznych istot na tym świecie, których Sanson się bał. Ale dopłynął bez przygód i wkrótce podskakiwał na fali tuż obok kadłuba okrętu.

Najniższe ambrazury znajdowały się dwanaście stóp wyżej. Słyszał żarty wachtowych na głównym pokładzie. Z burty wiąź zwisiała sznurowa drabinka, ale nie odważył się z niej skorzystać. Na pewno poruszałyby się i skrzypiały pod jego

ciężarem, co mogli usłyszeć wachtowi.

Zamiast tego przesunął się do przodu, do liny kotwicznej, i wspiał się po niej do watersztagów biegnących od bukszprytu. Watersztagi wystawały tylko na cztery cale nad powierzchnią kadłuba, ale Sanson zdołał znaleźć oparcie dla stóp i przesunął się z powrotem na olinowanie foka. Stamtąd bez trudu opuścił się na rękach i zajrzał do jednego z dziobowych otworów strzelniczych.

Wyteżył słuch i wkrótce usłyszał miarowe, powolne kroki wachty. Sądząc po odgłosach, tylko jeden wartownik nieustannie obchodził pokład dookoła. Sanson zaczekał, aż wachtowy go minął, potem wśliznął się przez ambrazurę i zeskoczył w cień armaty, dysząc z wysiłku i podniecenia. Sam jeden wśród czterystu wrogów – z których połowa kołysała się przed nim w hamakach – nawet Sanson poczuł się ożywiony. Czekał i planował swój następny ruch.

\* \* \*

Hunter stał skulony w ciasnej przestrzeni cuchnącej ładowni okrętu. Był krańcowo wyczerpany. Jeśli Sanson wkrótce się nie zjawi, jego ludzie będą zbyt zmęczeni na ucieczkę.

Strażnicy, którzy teraz ziewali i znowu grali w karty, nie zwracali żadnej uwagi na więźniów, co kusiło i doprowadzało do szału. Gdyby tylko mógł uwolnić swoich ludzi, dopóki okręt spał, mieliby jeszcze szansę. Ale po zmianie straży – która mogła nastąpić lada chwila – albo kiedy załoga okrętu się zbudzi o świcie, wszystko przepadnie.

Na chwilę przytłoczyło go poczucie klęski, kiedy do ładowni wszedł hiszpański żołnierz.

Zmiana warty, wszystko stracone.

Po chwili zrozumiał, że się pomylił: to był tylko jeden człowiek, nie oficer, a strażnicy przywitali go bez czołobitności. Nowy przybysz promieniował arogancką pewnością siebie.

Przeszedł przez ładownię, sprawdzając więzy korsarzy. Hunter poczuł dotyk palców macających sznury na jego rękach – potem coś zimnego – ostrze noża – i więzy zostały przecięte.

Za jego plecami przybysz szepnął cicho:

– To cię będzie kosztowało dwa udziały więcej. Sanson.

– Przysięgnij – syknął Sanson.

Hunter kiwnął głową, jednocześnie rozgniewany i uradowany. Ale nic nie mówił; patrzył tylko, jak Sanson obchodzi ładownię, a potem staje przy drzwiach, żeby zablokować wyjście.

Sanson odwrócił się do marynarzy i powiedział bardzo cicho po angielsku:

– Zróbcie to po cichu.

Hiszpańscy strażnicy spojrzeli z zaskoczeniem, kiedy korsarze rzucili się na nich. Mieli przewagę trzech na jednego. To trwało tylko chwilę. Marynarze natychmiast zaczęli się przebierać w mundury ściągnięte ze strażników. Sanson podszedł do Huntera.

– Nie słyszałem, żebyś przysięgał.

Hunter kiwnął głową, rozcierając nadgarstki.

– Przysięgam. Dwa udziały dla ciebie.

– Dobrze – mruknął Sanson.

Otworzył drzwi, przyłożył palec do ust i wyprowadził marynarzy z ładowni.

# Rozdział 19

Cazalla pił wino i rozmyślał, spoglądając w oblicze umierającego Jezusa, rozpamiętując cierpienie, agonię ciała. Od najwcześniejszej młodości Cazalla oglądał obrazy tej agonii, skatowane ciało, zwiotczałe mięśnie i puste oczy, krew płynącą z rany w boku, krew kapiącą z gwoździ w dłoniach i stopach.

Ten obraz wiszący w kabinie otrzymał w darze od samego Filipa. Było to dzieło ulubionego nadwornego malarza Jego Wysokości, niejakiego Velasqueza, już nieżyjącego. Taki podarunek stanowił dowód wielkiego szacunku i Cazalla przyjął go z wdzięcznością; nigdy bez niego nie wypływał. Traktował go jak swój najcenniejszy skarb.

Ten malarz, Velasquez, nie namalował aureoli wokół oblicza Pana. A skóra miała białoszary odcień śmierci. Wizerunek był całkowicie realistyczny, lecz Cazalla często żałował braku aureoli. Dziwił się, że król tak pobożny jak Filip nie nalegał na dodanie aureoli. Może Filipowi nie podobał się ten obraz; może dlatego wysłał go jednemu ze swoich wojskowych kapitanów w Nowej Hiszpanii.

W czarnej godzinie inna myśl nawiedziła Cazallę. Aż za dobrze zdawał sobie sprawę, jaka przepaść dzieli wygodne życie na dworze Filipa od twardej egzystencji ludzi, którzy wysyłali mu z kolonii srebro i złoto na opłacenie tych luksusów.

Pewnego dnia zamierzał powrócić na dwór jako bogaty człowiek u schyłku życia. Czasami obawiał się, że stanie się pośmiewiskiem dworzan. Niekiedy we śnie zabijał ich wszystkich w krwawych, okrutnych pojedynkach.

Nagły przechył okrętu przerwał zadumę Cazalli. Widocznie zaczął się odpływ; to znaczyło, że zbliżał się świt; wkrótce wyruszą w dzienną trasę. Nadejdzie pora, żeby zabić następnego angielskiego pirata. Cazalla zamierzał zabijać ich jednego po drugim, dopóki któryś nie powie mu prawdy.

Okręt nadal się poruszał, ale jakoś inaczej. Cazalla wyczuwał to instynktownie; okręt nie obracał się na dziobowej linii kotwicznej, tylko kołysał się na boki. Coś się stało, coś złego.

A potem Cazalla usłyszał ciche chrupnięcie, okręt zadygotał i znieruchomiał.

Cazalla z przekleństwem wybiegł na główny pokład. Tam zagapił się na pierzaste liście palmy, parę cali od jego twarzy. Kilka drzew palmowych rosnących na brzegu wyspy. Jego okręt został wyrzucony na brzeg. Cazalla wrzasnął z furii. Spanikowana załoga zebrała się wokół niego.

Podbiegł przerażony pierwszy oficer.

– Kapitanie, oni przecięli linę kotwiczną.

– Oni?! – wrzasnął Cazalla. W gniewie mówił głosem cienkim i piskliwym jak głos kobiety. Podbiegł do przeciwległej burty i zobaczył *Kasandrę*, przechyloną na lekkim wietrze, wypływającą na otwarte morze. – Oni?!

– Piraci uciekli – wyznał pobladły oficer.

– Uciekli? Jak mogli uciec?

– Nie wiem, kapitanie. Wszyscy strażnicy nie żyją.

Cazalla uderzył tamtego z całej siły w twarz i obalił na pokład. Był taki wściekły, że ledwie mógł myśleć. Wpatrywał się ponad wodą w odpływający słup.

– Jak mogli uciec? – powtórzył. – Boże w niebiosach, jak mogli uciec?

Podszedł kapitan piechoty.

– Panie, osiedliśmy na brzegu. Czy mam wysłać ludzi na ląd, żeby spróbowali nas zepchnąć?

– Zaczął się odpływ – powiedział Cazalla.

– Tak, kapitanie.

– No więc, głupcze, nie zwozujemy okrętu, dopóki nie nadejdzie przypływ.

, Cazalla zaklął głośno. To będzie dwanaście szklanek. Sześć godzin, zanim zaczną uwalniać ciężki okręt. I nawet wtedy, jeśli mocno utknęli, mogą się nie uwolnić. Księżycą ubywało; każdy przypływ był słabszy od poprzedniego. Jeśli nie zwozują okrętu przy następnym przypływie – albo jeszcze następnym – zostaną tu na trzy tygodnie albo dłużej.

– Głupcy! – zapiszczał.

W oddali *Kasandra* zgrabnie wykonała zwrot na południowy hals i znikła z widoku.

Południowy hals?

– Oni płyną na Matanceros – oświadczył Cazalla. I zadygotał z niepohamowanej furii.

\* \* \*

Hunter siedział na rufie *Kasandry* i wykreślał kurs. Ze zdziwieniem odkrył, że wcale już nie czuje zmęczenia, chociaż nie spał od dwóch dni. Wokół niego marynarze spoczywali w bezładnych pozach; niemal wszyscy głęboko spali.

– To dobrzy ludzie – powiedział Sanson, spoglądając na nich.

– Zaiste – przyznał Hunter.

– Czy któryś z nich mówił?

– Jeden.

– I Cazalla mu uwierzył?

– Ani na chwilę – odparł Hunter – ale później mógł zmienić zdanie.

– Mamy nad nimi przynajmniej sześć godzin przewagi – ocenił Sanson.

– Osiemnaście, jeśli dopisze nam szczęście.

Hunter kiwnął głową. Od Matanceros dzieliły ich dwa dni żeglugi pod wiatr; z takim wyprzedzeniem mogli zdążyć do fortecy przed okrętem.

– Będziemy płynąć również nocą – oświadczył Hunter.

Sanson przytaknął.

– Wybrać ten kliwer – warknął Enders. – Z życiem tam.

Żagiel wypełnił się świeżą bryzą ze wschodu i *Kasandra* pomknęła po falach w blask świtu.

# Część III

## MATANCEROS

### Rozdział 20

Po południu niebo pokreśliły pasma chmur, które o zachodzie słońca przybrały ciemnoszarą barwę. W wilgotnym powietrzu wisiała groźba. Wtedy właśnie Lazue dostrzegła pierwsze szczątki.

*Kasandra* płynęła wśród potrzaskanych kawałków drewna i fragmentów statku. Załoga rzuciła liny i wciągnęła kilka z nich na pokład.

– Wygląda na angielski – zauważył Sanson, kiedy z wody wyłowiono odłamek wysokiej pawęży, pomalowanej na niebiesko i czerwono.

Hunter kiwnął głową. Zatopiono tutaj spory statek.

– Całkiem niedawno – ocenił. Rozejrzał się po horyzoncie w poszukiwaniu rozbitków, ale nic nie wypatrzył. – Nasi hiszpańscy przyjaciele wybrali się na polowanie.

Kawałki drewna tłukły o kadłub statku przez następny kwadrans. Załoga zrobiła się niespokojna; żeglarze nie lubią oglądać takich śladów zniszczeń. Na pokład wyciągnięto następną poprzecznicę, z której Enders wywnioskował, że był to statek handlowy, prawdopodobnie bryg albo fregata, długości około stu pięćdziesięciu stóp.

Nie znaleźli ani śladu załogi.

Z nastaniem nocy pogoda się popsuła, zerwał się szkwał. W ciemności gorący deszcz bębnił o drewniany pokład *Kasandry*. Przemoczeni ludzie spędzili

okropną noc. Lecz świt wstał czysty i pogodny, a kiedy wzeszło słońce, daleko na horyzoncie ujrzeli swój cel.

Z oddali zachodnie wybrzeże Matanceros wygląda wyjątkowo niegościnnie. Poszarpane wulkaniczne kontury rysują się ostro na tle nieba. Prócz skąpej roślinności na brzegu wyspa wydaje się sucha i jałowa, w ponurym brązowym odcieniu, ze skupiskami nagich czerwono-szarych skał. Rzadko padają tu deszcze, a ponieważ wyspa leży na najdalszym wschodnim krańcu Karaibów, wiatry znad Atlantyku nieustannie chłuszczą jej jedyny szczyt.

Załoga *Kasandry* patrzyła na zbliżającą się wyspę bez śladu entuzjazmu. Enders przy sterze zmarszczył brwi.

– Mamy wrzesień – powiedział. – Właśnie teraz jest najbardziej przyjazna i zielona.

– Tak – zgodził się Hunter. – To nie raj. Ale na wschodnim brzegu jest las i dużo wody.

– I dużo papistowskich muszkietów – dodał Enders.

– I dużo papistowskiego złota – przypomniał mu Hunter. – Kiedy dobijemy do lądu?

– Pomyślny wiatr. Najpóźniej o północy, zaręczam.

– Kieruj się do zatoki – polecił Hunter, wskazując przed siebie. Widzieli już jedyną wyrwę w zachodnim wybrzeżu, wąską zatoczkę zwaną Zatoką Ślepcy.

Hunter poszedł przygotować zapasy, które miał zabrać jego niewielki oddziałek desantowy.

Zastał don Diega przy pracy: Żyd wykladał już ekwipunek na pokład. Wycelował w Huntera chore oko.

– Uprzejmie ze strony Hiszpanów – powiedział. – Obejrzeli, ale nic nie zabrali.

– Oprócz szczurów.

– Wystarczy mi każde małe zwierzę, Hunter. Opos, cokolwiek małego.

– Musi wystarczyć – stwierdził Hunter.

Sanson stał na dziobie i spoglądał przed siebie, na szczyt Mt. Leres. Z daleka wydawał się niemal pionowy, wygięty półokrąg nagiej czerwonej skały.

– Nie możemy tego obejść? – zapytał Sanson.



Hunter odparł:

– Jedyne przełęcz będą strzeżone. Musimy przejść górą.

Sanson uśmiechnął się półgębkiem. Hunter wrócił na rufę do Endersa. Wydał rozkazy, że po wysadzeniu na brzeg jego oddziału *Kasandra* ma popłynąć na południe, na następną wyspę, Ramonas. Znajdą tam niewielką zatoczkę ze słodką wodą, bezpieczne schronienie przed atakiem.

– Znasz to miejsce?

– Tak – potwierdził Enders. – Znam je. Kryliśmy się przez tydzień w tej zatoczce kilka lat temu, gdy pływaliśmy pod jednookim kapitanem Lewishamem. Nadaje się. Jak długo mamy tam czekać?

– Cztery dni. Po południu czwartego dnia wypłyniecie z zatoki i rzucicie kotwicę na głębokiej wodzie. Ruszycie o północy i dotrzecie do Matanceros tuż przed świtem piątego dnia.

– A potem?

– O świcie wpłyniesz prosto do zatoki i wysadzisz ludzi na galeonie.

– Pod lufami dział w forcie?

– Piątego dnia nie sprawią wam kłopotów.

– Nie umiem się modlić – powiedział Enders. – Zostaje mi tylko nadzieja.

Hunter poklepał go po ramieniu.

– Nie ma się czego bać.

Enders spojrział w stronę wyspy bez uśmiechu.

\* \* \*

W południe, w nieruchomym upale Hunter, Sanson, Lazue, Maur i don Diego stanęli na białym piasku wąskiej plaży i patrzyli, jak *Kasandra* odpływa. U ich stóp leżało ponad sto dwadzieścia funtów ekwipunku – liny, haki, brezentowe pasy, muszkiety, baryłki z wodą.

Stali przez chwilę w milczeniu, wdychając pełną piersią rozgrzane powietrze. Potem Hunter się odwrócił.

– Ruszamy – rozkazał.

Zeszli znad krawędzi wody i skierowali się w głąb lądu.

Palmy i splątane mangrowce tworzyły nieprzebyty mur wzdłuż plaży. Przybysze wiedzieli z gorzkiego doświadczenia, że nie zdołają się przerąbać przez tę barierę; gdyby spróbowali, posuwaliby się w tempie kilkuset jardów dziennie, okupionych morderczym wysiłkiem.

Zazwyczaj, żeby dotrzeć w głąb wyspy, należało znaleźć strumień i pójść z jego biegiem.

Wiedzieli, że gdzieś tutaj jest strumień, o czym świadczyła sama zatoczka. Zatoki powstają częściowo z powodu przerwy w zewnętrznych rafach, a taka przerwa oznacza słodką wodę wypływającą z lądu. Wędrowali plażą i po godzinie znaleźli skąpą stróżkę wody, wyciekającą spomiędzy liści na brzegu. Koryto strumyka było tak wąskie, że rośliny zarosły je całkowicie, tworząc ciasny, duszy tunel. Przejście nie zapowiadało się łatwo.

– Nie powinniśmy poszukać czegoś lepszego? – zaproponował Sanson.

Żyd pokręcił głową.

– Tutaj spada mało deszczu. Wątpię, czy znajdziemy lepszy.

Wszyscy zgodzili się z nim i ruszyli w górę strumienia, oddalając się od morza. Niemal natychmiast zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Rozpalone powietrze cuchnęło.

Oddychali jakby przez szmaty, jak się wyraziła Lazue.

Niemal od początku wędrowali w milczeniu, żeby nie tracić sił na rozmowy. Ciszę mąciło tylko świergotanie ptaków i popiskiwanie zwierzątek w koronach drzew oraz chrzęst kordelasów tnących liście. Posuwali się powoli. Pod koniec dnia, kiedy oglądali się za siebie, błękitny ocean wydawał się przygnębiająco bliski.

Brnęli dalej, przystając tylko na krótko, żeby się posilić. Sanson, który po mistrzowsku strzelał z kuszy, strącił kilka ptaków. W pobliżu strumienia zauważyli odchody dzika, co dodało im otuchy. Lazue zbierała jadalne rośliny.

Noc zastała ich w połowie pasa dżungli dzielącego morze od nagich skał Mt. Leres. Chociaż powietrze się ochłodziło, wędrowcy uwięzieni pod sklepieniem liści prawie tak samo cierpieli od upału. W dodatku wyroiły się Moskity – straszliwy wróg.

Moskity nadciągały w gęstych chmarach, tak gęstych, że niemal

namacalnych, przesłaniając pole widzenia. Brzęczały i bzyczały wokół wędrowców, przywierały do każdego skrawka odkrytej skóry, wciskały się do uszu, ust i nosa. Ludzie wysmarowali się obficie wilgotnym błotem, ale to niewiele pomagało. Nie odważyli się rozpalić ognia, tylko zjedli zdobycz na surowo i zasnęli niespokojnym snem, oparci o drzewa, z uszami wypełnionymi jękliwym bzyczeniem.

Rano zbudzili się zesztywniali, zeschnięte błoto odpadało od Żyd pokręcił głową.

– Tutaj spada mało deszczu. Wątpię, czy znajdziemy lepszy.

Wszyscy zgodzili się z nim i ruszyli w górę strumienia, oddalając się od morza. Niemal natychmiast zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Rozpalone powietrze cuchnęło.

Oddychali jakby przez szmaty, jak się wyraziła Lazue.

Niemal od początku wędrowali w milczeniu, żeby nie tracić sił na rozmowy. Ciszę mąciło tylko świergotanie ptaków i popiskiwanie zwierzątek w koronach drzew oraz chrzęst kordelasów tnących liście. Posuwali się powoli. Pod koniec dnia, kiedy oglądali się za siebie, błękitny ocean wydawał się przynębiająco bliski.

Brnęli dalej, przystając tylko na krótko, żeby się posilić. Sanson, który po mistrzowsku strzelał z kuszy, strącił kilka ptaków. W pobliżu strumienia zauważyli odchody dzika, co dodało im otuchy. Lazue zbierała jadalne rośliny.

Noc zastała ich w połowie pasa dżungli dzielącego morze od nagich skał Mt. Leres. Chociaż powietrze się ochłodziło, wędrowcy uwięzieni pod sklepieniem liści prawie tak samo cierpieli od upału. W dodatku wyroiły się Moskity – straszliwy wróg.

Moskity nadciągały w gęstych chmarach, tak gęstych, że niemal namacalnych, przesłaniając pole widzenia. Brzęczały i bzyczały wokół wędrowców, przywierały do każdego skrawka odkrytej skóry, wciskały się do uszu, ust i nosa. Ludzie wysmarowali się obficie wilgotnym błotem, ale to niewiele pomagało. Nie odważyli się rozpalić ognia, tylko zjedli zdobycz na surowo i zasnęli niespokojnym snem, oparci o drzewa, z uszami wypełnionymi jękliwym bzyczeniem.

Rano zbudzili się zeszywniali, zeschłe błoto odpadało od nich kawałami. Popatrzyli na siebie i wybuchli śmiechem. Wszyscy wyglądali inaczej, twarze mieli czerwone i spuchnięte od ukąszeń moskitów. Hunter sprawdził wodę: zużyli jedną czwartą zapasu, więc zarządził, że muszą mniej pić. Ruszyli dalej, wypatrując dzików, bo wszyscy byli głodni. Nie zobaczyli ani jednego. Małpy trajkotały na gałęziach w górze, jakby z nich szydziły. Słyszeli zwierzęta, lecz Sanson ani razu nie miał czystego strzału.

Pod koniec drugiego dnia dotarł do nich szum wiatru. Początkowo słaby, przypominał odległy jęk. Lecz kiedy zbliżyli się do skraju dżungli, gdzie drzewa rosły rzadziej i tempo marszu wzrosło, wiatr się wzmógł. Wkrótce go poczuli i chociaż przyniósł im ulgę, spoglądali na siebie z niepokojem. Wiedzieli, że wiatr nabierze mocy, kiedy dojdą do skalnej ściany Mt.

Leres.

Późnym popołudniem dotarli wreszcie do skalistej podstawy zbocza. Wiatr stał się teraz wyjąłym demonem, szarpał ich ubranie, uderzał po twarzach, wypełniał rykiem uszy. Musieli krzyczeć, żeby usłyszeć się nawzajem.

Hunter podniósł wzrok na kamienną ścianę. Była równie stroma, jak się wydawała z daleka, i nawet wyższa, niż się spodziewał – czterysta stóp nagiej skały, smaganej wiatrem tak silnym, że nieustannie spadały na nich kamyki i odłamki.

Kiwnął na Maura, który podszedł.

– Bassa – krzyknął Hunter, nachylając się bliżej do olbrzyma – czy w nocy wiatr przycichnie?!

Bassa wzruszył ramionami i pokazał lekko rozsunięte dwa palce: o tyle.

– Dasz radę się wspiąć w nocy?

Bassa pokręcił głową: nie. Potem złożył dłonie w poduszkę i oparł na nich głowę.

– Chcesz się wspinać rano?

Bassa przytaknął.

– On ma rację – odezwał się Sanson. – Powinniśmy poczekać do rana, kiedy będziemy wypoczęci.

– Nie wiem, czy możemy czekać – odparł Hunter.

Spoglądał na północ. W odległości kilku mil nad spokojnym morzem widział szeroką szarą linię, a wyżej gniewne czarne chmury. Nadchodził sztorm, szeroki na kilka mil, zbliżający się do nich powoli.

– Tym bardziej! – krzyknął Sanson do Huntera. – Powinniśmy to przeczekać.

Hunter się odwrócił. Tutaj, u podnóża góry, znajdowali się pięćset stóp nad poziomem morza.

Na południu dostrzegł Ramonas, odległą o trzydzieści mil. Nie widział jednak *Kasandry*, która już dawno schroniła się w zatoce.

Hunter znowu spojrzął na czoło burzy. Mogli przeczekać przez noc, aż nawałnica minie. Ale jeśli sztorm okaże się tak duży i powolny, że stracą choćby jeden dzień, wszystkie wyliczenia czasu wezmą w łeb. I za trzy dni *Kassandra* wpłynie do zatoki Matanceros, wioząc pięćdziesięciu ludzi na pewną śmierć.

– Wspinamy się teraz – zdecydował Hunter.

Odwrócił się do Maura. Maur kiwnął głową i poszedł po liny.

\* \* \*

To niezwykle uczucie, myślał Hunter, trzymając linę, która skręcała się i drgała, w miarę jak Maur wspinał się po skalnym zboczu. Lina w rękach Huntera miała półtora cala grubości, lecz wysoko nad głową robiła się cienka jak pajęczyna, a potężna sylwetka Maura zmalała do plamki, którą ledwie widział w zapadającym zmierzchu.

Sanson podszedł, żeby krzyknąć mu do ucha:

– Oszalałeś! Nikt z nas tego nie przeżyje!

– Boisz się?! – odkrzyknął Hunter.

– Ja niczego się nie boję – oświadczył Sanson i walnął się pięścią w pierś.

– Ale popatrz na tamtych.

Hunter spojrzął. Lazue drżała. Don Diego zbladł śmiertelnie.

– Nie dadzą rady – ciągnął Sanson. – Co zrobisz bez nich?

– Dadzą radę – odparł Hunter. – Muszą.

Obejrzał się na czoło burzy. Zbliżyło się już na milę czy dwie; wiatr niósł

tchnienie wilgoci.

Hunter poczuł nagle szarpnięcie liny, potem drugie szybkie pociągnięcie.

– Wszedł na górę – oznajmił.

Podniósł wzrok, ale w ogóle nie widział Maura.

Po chwili druga lina spadła na ziemię.

– Szybko – rozkazał Hunter. – Zapasy.

Przywiązali do liny prowiant, już zapakowany do brezentowych worków, i szarpnięciem dali znak. Worki rozpoczęły chwiejną, podskakującą podróż po skalnym zboczu. Raz czy dwa siła wiatru odepchnęła je od skały na odległość pięciu, a nawet dziesięciu stóp.

– Na krew Pana – wymamrotał Sanson, kiedy to zobaczył.

Hunter spojrział na Lazue. Twarz miała ściągniętą. Podszedł do niej i założył jej brezentową pętlę pod pachy. Drugim pasem owinął jej biodra.

– Matko Boska, Matko Boska, Matko Boska – powtarzała Lazue monotonnie.

– Teraz słuchaj! – krzyknął Hunter, kiedy lina znowu zjechała na dół. – Trzymaj długą linę i pozwól, żeby Bassa cię wciągnął. Odwróć się twarzą do skały i nie patrz w dół.

– Matko Boska, Matko Boska...

– Słyszałaś mnie?! – zawołał Hunter. – Nie patrz w dół!

Kiwnęła głową, wciąż mamrocząc. Po chwili ruszyła w górę, uniesiona na pasach. Przez krótką chwilę miotła się niezgrabnie, czepiając się drugiej liny.

Potem jakoś odzyskała równowagę i dotarła na szczyt bez wypadków.

Następny był Żyd. Patrzył na Huntera pozbawionym wyrazu wzrokiem, kiedy kapitan wydawał mu instrukcje; sprawiał wrażenie, że nic do niego nie dociera; jak lunatyk założył pętlę i pojechał w górę.

Spadły pierwsze krople deszczu.

– Ty następny! – krzyknął Sanson.

– Nie – zaprzeczył Hunter. – Ja pojedę ostatni.

Teraz rozpadało się już na całego. Wiatr się wzmagał. Kiedy pętla zjechała ponownie po skale, brezent był przemoczony. Sanson wśliznął się w pętlę i szarpnięciem za linę dał znak. Ruszając w górę, krzyknął do Huntera:

– Jeśli zginiesz, zabiorę twoje udziały!

Wiatr porwał dźwięk jego śmiechu.

Z nadejściem sztormu szara mgła oblepiła wierzchołek klifu. Hunter wkrótce stracił z oczu Sansona. Czekał. Zdawało mu się, że upłynęło bardzo dużo czasu, zanim usłyszał wilgotne plaśnięcie pętli o ziemię. Podszedł i nałożył pasy. Deszcz zacinał mu w twarz, kiedy szarpnął linę i ruszył do góry.

Zapamiętał tę jazdę do końca życia. Zagubiony w ciemnoszarym świetle, nie potrafił określić swojego położenia. Widział tylko skalną ścianę w odległości zaledwie kilku cali. Wiatr szarpał nim i odrywał go od skały, żeby po chwili cisnąć z powrotem na zbocze. Liny, skała, wszystko było mokre i śliskie. Ścisnął w rękach linę prowadzącą i próbował się ustawiać twarzą do klifu. Często tracił oparcie dla stóp i obracał się w kółko, objając plecy i ramiona o skałę.

Podróż ciągnęła się przez wieczność. Nie miał pojęcia, czy pokonał połowę odległości, czy tylko ułamek. Albo czy zbliżał się do celu. Wyteżał słuch, żeby wyłowić głosy tamtych na górze, lecz słyszał tylko plusk deszczu i upiorne zawodzenie wiatru.

Czuł wibracje liny holowniczej, kiedy wciągano go w górę – rytmiczne, powtarzalne wstrząsy. Wznosił się o kilka stóp; potem przerwa; potem znowu kilka stóp. Następna przerwa; następne krótkie podciągnięcie.

Nagle ten regularny wzór się załamał. Hunter przestał się wznosić. Wibracja liny się zmieniła; poczuł to całym ciałem przez brezentową pętlę. Najpierw myślał, że zmysły go zawiodą, ale potem zrozumiał – po pięciu forsownych kursach na skale konopna lina się wystrzępiła i teraz powoli, dręcząco się rozciągała.

W wyobraźni zobaczył, jak robi się coraz cieńsza, i czym prędzej chwycił mocno linę prowadzącą. W tej samej chwili lina nośna pękła i spadła w węzowych skrętach na jego głowę i ramiona, ciężka i mokra.

Rozluźnił chwyt na linie prowadzącej i osunął się kilka stóp w dół – nie wiedział, jak daleko.

Potem spróbował się zorientować w sytuacji. Przywierał płasko brzuchem do skały, z mokrą pętlą wokół nóg ciężącą jak balast, wyteżając obolałe ramiona. Zaczął kopać nogami, żeby się wyplątać z pętli, ale nie mógł się uwolnić. Co za

koszmar: brezentowa pętla skutecznie krępowała mu ruchy. Nie mógł zaprzeć się stopami o skałę; będzie tak wisiał, aż wreszcie pokonany zmęczeniem wypuści linę i spadnie w przepaść. Palce i nadgarstki już go paliły z bólu. Poczul lekkie szarpnięcie liny prowadzącej. Ale nie wciągnęli go do góry.

Rozpaczliwie kopnął jeszcze raz, a potem nagły poryw wiatru oderwał go od skały. Przekłeta pętla zachowywała się jak żagiel, łapała wiatr i ciągnęła go za sobą. Patrzył, jak skalna ściana znika we mgle, kiedy odleciał dziesięć, dwadzieścia stóp dalej.

Znowu kopnął i nagle zrobił się lżejszy – pętla spadła. Zaczął powracać łukiem w stronę skały. Przygotował się na uderzenie, a potem nadeszło i wycisnęło mu dech z płuc. Mimo woli krzyknął i zawisł bezwładnie, łapiąc powietrze.

A później ostatnim straszliwym wysiłkiem podciągnął się, ręce trzymające linę przycisnął do piersi. Zaczepił stopy o linę, żeby ramiona odpoczęły. Złapał oddech. Wparł stopy w powierzchnię skały i zaczął przekładać ręce na linie, jedna nad drugą. Stopy mu się ześliznęły; kolana uderzyły o skałę. Ale przesunął się kawałek do góry.

Powtórzył to.

I jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Jego umysł przestał funkcjonować; ciało pracowało automatycznie, z własnej woli. Świat wokół niego zamilkł, ucichł szum deszczu, ustało wycie wiatru, nawet jego własny wysilony oddech. Świat był szary i Hunter zagubił się w tej szarości.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że silne ramiona chwyciły go pod pachy, podciągnęły i przerzuciły na płaską powierzchnię. Nie słyszał głosów. Nie widział nic. Później powiedzieli mu, że nawet kiedy go położyli na ziemi, jego ciało dalej pełzło do przodu, kurczyło się i rozciągało, kurczyło się i rozciągało, szorując zakrwawioną twarzą po kamieniach, aż musieli go zatrzymać siłą. Ale w tamtej chwili nie wiedział nic. Nie wiedział nawet, że przeżył.



Zbudził się przy radosnym świergocie ptaków, otworzył oczy i zobaczył zielone liście w słońcu. Leżał bardzo spokojnie, tylko jego oczy się poruszały. Zobaczył skalną ścianę.

Znajdował się w jaskini, niedaleko wylotu. Poczł zapach gotowanego jedzenia, nieopisanie rozkoszny zapach, i spróbował usiąść.

Ostre sztylety bólu przeszły każdą cząstkę jego ciała. Z jękiem opadł na ziemię.

– Powoli, przyjacielu – powiedział jakiś głos. Sanson podszedł do niego z tyłu. – Bardzo powoli.

Schylił się i pomógł Hunterowi usiąść prosto.

Pierwsze, co Hunter zobaczył, to własne ubranie. Spodnie miał podarte niemal na strzępy; przez dziury widział skórę w podobnym stanie. Tak samo wyglądały ramiona i klatka piersiowa. Patrzył na swoje ciało, jakby oglądał obcy, nieznany przedmiot.

, – Na twarzy też nie jesteś piękny – powiedział Sanson i zachichotał. – Myślisz, że dasz radę jeść?

Hunter chciał odpowiedzieć. Twarz miał sztywną, zupełnie jakby nosił maskę. Dotknął policzka i poczuł grubą skorupę zakrzepłej krwi. Pokręcił głową.

– Żadnego jedzenia? Więc woda.

Sanson przyniósł baryłkę i pomógł Hunterowi się napić. Hunter z ulgą odkrył, że może przelykać bez bólu, ale wargi miał zdrętwiałe i nie czuł dotyku baryłki.

– Nie za dużo – ostrzegł Sanson. – Nie za dużo.

Podeszli inni.

Żyd uśmiechał się szeroko.

– Powinieneś zobaczyć widok.

Hunter poczuł dreszcz radości. Chciał zobaczyć widok. Wyciągnął jedną obolałą rękę do Sansona, który pomógł mu wstać. Pierwsze chwile stanowiły męczarnię. W głowie mu się kręciło, ból przeszywał nogi i plecy. Potem zrobiło się lepiej. Oparty na Sansonie, krzywiąc się, zrobił pierwszy krok. Nagle pomyślał o gubernatorze Almoncie. Przypomniał sobie wieczór, kiedy targował się z

gubernatorem o tę wyprawę na Matanceros. Był wtedy taki pewny siebie, taki odprężony, taki nieustraszony awanturник. Uśmiechnął się ze skruchą na to wspomnienie.

I to też zabolalo.

Potem ujrzał widok i natychmiast zapomniat o Almoncie, o swoich ranach i obolalym ciele.

Stali w wylocie malej jaskini, wysoko na wschodniej grani Mt. Leres. Pod nimi zielone stoki wulkanu opadaly kolicie kilkaset stop niziej, do gestego tropikalnego lasu deszczowego. Na samym dole szeroka rzeka wplywala do zatoki, obok fortecy Punta Matanceros. Spokojne wody zatoki migotaly w sloncu, skrzyly sie brylantowo wokol galeonu ze skarbem zacumowanego pod oslona fortecy. Wszystko lezalo jak na dloni i Hunter pomyslal, ze to najpiękniejszy widok na swiecie.

# Rozdział 21

Sanson pozwolił Hunterowi jeszcze raz się napić z baryłki, a potem don Diego powiedział:

– Powinieneś zobaczyć coś jeszcze, kapitanie.

Mały oddziałek wdrapał się po pochyłości na krawędź klifu, na który wspięli się poprzedniej nocy. Szli powoli ze względu na Huntera, który cierpiał przy każdym kroku. A kiedy podniósł wzrok na czyste, bezchmurne, błękitne niebo, poczuł ból innego rodzaju. Wiedział, że popełnił poważny, niemal fatalny błąd, zmuszając ludzi do wspinaczki przed burzą. Powinni poczekać i wejść na szczyt rano. Postąpił głupio i nadgorliwie, dlatego robił sobie wyrzuty.

Kiedy podeszli do krawędzi urwiska, don Diego przykucnął i wyjrzał ostrożnie na zachód.

Pozostali poszli w jego ślady. Sanson pomógł Hunterowi. Hunter nie rozumiał, dlaczego zachowują taką ostrożność – dopóki nie spojrzal ponad zawrotną przepaścią, ponad zielenią dżungli, na zatoczkę.

W zatoce stał okręt wojenny Cazalli.

– Niech mnie – szepnął cicho Hunter.

Sanson, skulony obok niego, kiwnął głową.

– Szczęście nam sprzyja, przyjacielu. Okręt zawinął do zatoki o świcie. Odtąd nie ruszył się stamtąd.

Hunter dostrzegł szalupę, przewożącą żołnierzy na brzeg. Na plaży kilka oddziałów Hiszpanów w czerwonych mundurach przeszukiwało brzeg. Cazalla, odziany w żółtą tunikę, wyróżniający się spośród innych, gestykulował dziko, wydając rozkazy.

– Przeszukują plażę – oznajmił Sanson. – Odgadli nasz plan.

– Ale sztorm... – zaczął Hunter.

– Tak, sztorm zmył wszelkie ślady naszej obecności.

Hunter pomyślał o brezentowych pasach, które zrzucił z nóg.

Teraz leżały u podstawy urwiska. Ale żołnierze pewnie nigdy ich nie znajdą. Od skały dzielił ich cały dzień ciężkiego marszu przez gęstą dżunglę. Nie podejmą takiej wędrowki, jeśli nie znajdą dowodu, że na plaży wylądował jakiś oddział.

Na oczach Huntera następna szalupa wylądowana żołnierzami odbiła od okrętu.

– Wysadza ludzi na brzeg przez cały ranek – odezwał się don Diego. – Pewnie jest ich już setka na plaży.

– Więc zamierza zostawić tu ludzi – wywnioskował Hunter.

Don Diego przytaknął.

– Tym lepiej dla nas – stwierdził Hunter. Oddziały pozostawione po zachodniej stronie wyspy nie mogły bronić fortecy. – Miejmy nadzieję, że zostawi tysiąc.

\* \* \*

Po powrocie do jaskini don Diego ugotował dla Huntera kleik do picia, po czym Sanson zagasił mały ogień. Lazue trzymała lunetę przy oczach i opisywała widok Hunterowi, który siedział obok niej. Sam Hunter widział tylko główne zarysy budowli nad wodą. Musiał polegać na bystrości wzroku Lazue.

– Powiedz mi najpierw o działach – poprosił. – O działach w fortecy.

Lazue bezgłośnie poruszała wargami, spoglądając przez szkła.

– Dwanaście – powiedziała wreszcie. – Dwie baterie po trzy w każdej skierowane na wschód, w stronę otwartego oceanu. Sześć w jednej baterii celuje w wejście do zatoki.

– To kolubryny?

– Mają długie lufy. Myślę, że to kolubryny.

– Co powiesz o ich wieku?

Milczała przez chwilę.

– Jesteśmy za daleko – powiedziała. – Może później, kiedy zejdziemy na

dół, zobaczę więcej.

– A łoża?

– Lawety. Chyba drewniane, na czterech kołach.

Hunter kiwnął głową. Na pewno zwyczajne lawety pokładowe przeniesione do baterii nadbrzeżnych.

Don Diego podszedł z kleikiem.

– Cieszę się, że są drewniane – powiedział. – Bałem się, że stoją na kamiennych podstawach. Wtedy byłoby trudniej.

– Wysadzimy lawety? – upewnił się Hunter.

– Oczywiście – potwierdził don Diego.

Każda kolubryna ważyła ponad dwie tony. Po zniszczeniu lawet staną się bezużyteczne: nie będzie można z nich celować ani strzelać. I nawet jeśli w fortecy Matanceros mają zapasowe lawety do armat, dziesiątki ludzi musiałyby pracować przez wiele godzin, żeby ustawić każde działo z powrotem na lawecie.

– Ale najpierw – dodał Żyd z uśmiechem – zagwoździmy je.

Hunter nigdy by nie wpadł na ten pomysł, ale natychmiast pojął jego wartość. Kolubryny, jak wszystkie działa, ładowano odprzodowo. Obsada najpierw wpychała do lufy worek z prochem, a potem kulę. Następnie przez otwór zapalowy wsadzano zaostrzone pióro, przebijano worek z prochem i wtykano do niego zapalony lont. Ogień przechodził po luncie przez otwór zapalowy, podpalał proch i powodował wystrzał.

Ta metoda strzelania dobrze zdawała egzamin, dopóki otwór zapalowy pozostawał mały.

Lecz po kilku salwach płonący lont i wybuchający proch powodowały korozję otworu i poszerzały go, aż zmieniał się w wentyl bezpieczeństwa dla rozszerzających się gazów. Na skutek tego zasięg działa drastycznie się zmniejszał; w końcu kula wcale nie wylatywała z lufy. A działo robiło się bardzo niebezpieczne dla obsady.

W obliczu nieuniknionych uszkodzeń wytwórcy dział wyposażyli je w wymienialny metalowy szpunt, szerszy na jednym końcu, z otworem zapalowym wywierconym przez środek. Szpunt wkładano od wewnątrz, toteż rozszerzające się gazy przy wybuchu za każdym strzałem wbijały go ciaśniej. Kiedy otwór

zapałowy za bardzo się powiększył, metalowy szpunt po prostu wyjmowano i wkładano nowy.

Czasami jednak cały szpunt wylatywał w jednym kawałku i wyrywał wielką dziurę w tylnej części armaty. Broń nie nadawała się do użytku, dopóki nie dopasowano nowego szpuntu.

Taki proces zajmował wiele godzin.

– Uwierz mi – ciągnął don Diego – kiedy skończymy z tymi armatami, nadadzą się tylko na balast na statku kupieckim.

Hunter odwrócił się z powrotem do Lazue.

– Co widzisz w obrębie samej fortecy?

– Namioty. Wiele namiotów.

– To pewnie garnizon – odgadł Hunter.

Przez większość roku klimat Nowego Świata był taki łagodny, że oddziały nie potrzebowały solidniejszych kwater, zwłaszcza na wyspie tak bezdeszczowej jak Leres. Co prawda Hunter wyobrażał sobie konsternację żołnierzy, którzy poprzedniej nocy podczas sztormu musieli spać w błocie.

– Co ze składem prochu?

– Od północnej strony w obrębie murów stoi drewniany budynek. To pewnie to.

– Dobrze – powiedział Hunter. Nie chciał tracić czasu na szukanie prochowni, kiedy już wejdą do fortecy. – Czy za murami są posterunki?

Lazue zlustrowała teren poniżej.

– Nic nie widzę.

– Dobrze. Teraz co ze statkiem?

– Szkieletowa załoga – odparła. – Widzę pięciu czy sześciu ludzi na szalupach przycumowanych do brzegu, obok miasteczka.

Hunter też zauważył miasteczko. Niespodzianka – kilka prymitywnych drewnianych budynków nad brzegiem, w pewnej odległości od fortu. Najwyraźniej wzniesiono je na użytek załogi galeonu, co dowodziło, że załoga zamierza pozostać na Matanceros przez jakiś czas, może do następnego roku, kiedy znowu przyplynie flota ze skarbami.

– Żołnierze w miasteczku?

- Widzę kilka czerwonych kurtek.
- Wartownicy przy łodziach?
- Nikogo.
- Ułatwiają nam zadanie – stwierdził Hunter.
- Na razie – dodał Sanson.

Zebrali ekwipunek i zatarli wszelkie ślady swojego pobytu w jaskini. Rozpoczęli długie zejście po pochyłości do Matanceros.

W drodze napotkali problem odwrotny niż podczas wędrówki przed dwoma dniami. Tutaj, wysoko na wschodnim zboczu Mt. Leres, rosło niewiele zieleni dającej osłonę. Musieli przemykać od jednej gęstej kępy ciernistych zarośli do drugiej, toteż posuwali się powoli.

W południe spotkała ich niespodzianka. Czarny okręt wojenny Cazalli pojawił się w wejściu do zatoki, zrefował żagle i zakotwiczył nieopodal fortu. Spuszczono szalupę; Lazue przez lornetkę zobaczyła, że Cazalla siedział na rufie.

– To wszystko zepsuje – oświadczył Hunter, oceniając pozycję okrętu. Stał równoległe do brzegu, więc mógł ostrzelać kanał salwą z całej burty.

– A jeśli on tu zostanie? – zapytał Sanson.

Hunter zadawał sobie dokładnie to samo pytanie i wymyślił tylko jedną odpowiedź.

- Ostrzelamy go – odparł. – Jeśli zostanie w zatoce, musimy go ostrzelać.
- Zapalić szalupę na brzegu i puścić w dryf?

Hunter kiwnął głową.

– Marne szanse – ocenił Sanson.

Potem odezwała się Lazue, wciąż patrząca przez lornetkę:

- Tam jest kobieta.
- Co? – zdziwił się Hunter.
- W szalupie. Z Cazallą jest kobieta.
- Daj mi zobaczyć.

Hunter niecierpliwie chwycił lornetkę. Ale zobaczył tylko nieregularny biały kształt siedzący na rufie obok Cazalli, który stał przodem do fortecy. Hunter nie mógł rozróżnić szczegółów. Oddał lornetkę Lazue.

– Opisz ją.

– Biała suknia i parasolka... albo duży kapelusz czy nakrycie głowy.  
Ciemna twarz.

Może Murzynka.

– Jego kochanka?

Lazue pokręciła głową. Szalupa cumowała teraz obok fortu.

– Ona wysiada. Szamocze się...

– Pewnie straciła równowagę.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo Lazue. – Ona się wrywa. Trzej mężczyźni ją trzymają. Zmuszają ją, żeby weszła do fortecy.

– Mówiłaś, że jest czarna? – upewnił się Hunter, zakłopotany. Cazalla mógł wziąć branke, ale każda kobieta warta okupu byłaby bardzo jasnoskóra.

– Ciemna, tak – potwierdziła Lazue. – Ale nie widzę nic więcej.

– Zaczekamy – mruknął Hunter.

Zaintrygowani ruszyli dalej w dół zbocza.

\* \* \*

Trzy godziny później, w najgorętszej porze popołudnia, zatrzymali się w kępie kolczastych krzewów acara, żeby wypić racje wody. Lazue zauważyła, że szalupa odbija od fortecy, tym razem wioząc mężczyznę, którego opisała jako: „surowy, bardzo szczupły, bardzo poprawny i wyprostowany”.

– Bosquet – powiedział Hunter. Bosquet był zastępcą Cazalli, Francuzem renegatem, opanowanym i nieprzejednanym dowódcą. – Cazalla z nim jest?

– Nie – odparła Lazue.

Szalupa przycumowała do okrętu i Bosquet wszedł na pokład. Po chwili załoga okrętu zaczęła wciągać szalupę. To mogło oznaczać tylko jedno.

– Odpływają – powiedział Sanson. – Szczęście nadal ci sprzyja, przyjacielu.

– Jeszcze nie całkiem – zaprzeczył Hunter. – Zobaczymy, czy nie popłyną na Ramonas.

Tam ukryła się *Kasandra* z załogą. Stała na wodzie zbyt płytkiej, żeby okręt wojenny ją zaatakował, ale Bosquet mógł zablokować piracki slup w zatoce



– a bez *Kasandry* nie było sensu atakować Matanceros. Potrzebowali załogi *Kasandry*, żeby wyprowadzić z zatoki galeon ze skarbami.

Okręt wypłynął z zatoki południowym kursem, co było konieczne, żeby dotrzeć na głęboką wodę. Poza kanałem nadal kierował się na południe.

– Niech to diabli – mruknął Sanson.

– Nie, on tylko nabiera szybkości – uspokoił go Hunter. – Czekać.

W tej samej chwili okręt wykonał zwrot pod wiatr i ruszył prawym halsem na północ.

– Już czuję złoto pod palcami. – Sanson się zaśmiał.

Po godzinie czarny okręt znikł z widoku.

Przed nocą znaleźli się zaledwie ćwierć mili od hiszpańskiego obozowiska. Szata roślinna była tu bogatsza; wybrali gęstą kępę drzew mayaguana na nocleg. Nie rozpalili ognia i zjedli tylko trochę roślin na surowo, zanim położyli się na wilgotnej ziemi. Wszyscy byli zmęczeni, ale też podnieceni, ponieważ docierał do nich stłumiony gwar hiszpańskich głosów i zapachy hiszpańskiej kuchni. Kiedy leżeli pod gwiazdami, te głosy i zapachy przypominały im, że bitwa już się zbliża.

# Rozdział 22

Hunter zbudził się w przeświadczeniu, że coś złego się stało. Słyszał hiszpańskie głosy, ale tym razem blisko – o wiele za blisko. Słyszał też kroki i szelest liści. Usiadł i skrzywił się, kiedy przeszył go ból; wszystko bolało go jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia.

Obejrzał się na swoją grupkę. Sanson już stał i wyglądał przez palmowe liście w stronę, skąd dobiegały hiszpańskie głosy. Maur podnosił się powoli, z napiętymi mięśniami, starannie kontrolując ruchy. Don Diego siedział oparty na łokciu, z szeroko otwartymi oczami.

Tylko Lazue wciąż leżała na plecach. Nawet nie drgnęła. Hunter pokazał kciukiem, żeby wstała. Lekko pokręciła głową i wymówiła samymi wargami: „Nie”. Leżała absolutnie nieruchomo. Cieniutka warstwa potu pokrywała jej twarz. Hunter ruszył w jej stronę.

– Ostrożnie! – wyszeptała napiętym głosem.

Hunter przystanął i spojrział na nią. Leżała na plecach, z lekko rozłożonymi nogami. Wydawała się dziwnie sztywna. A potem zobaczył czerwono–czarny ogon w żółte pasy, znikający w nogawce jej spodni.

To był wąż koralowy, zwabiony ciepłem ciała. Hunter przeniósł wzrok na twarz Lazue, ściągniętą jakby z bólu.

Za plecami słyszał hiszpańskie głosy, coraz bardziej donośne. Kilku ludzi z trzaskiem przedzierało się przez zarośla. Gestem kazał Lazue zaczekać i podszedł do Sansona.

– Sześciu – mruknął Sanson.

Hunter zobaczył oddział sześciu hiszpańskich żołnierzy, niosących koce i żywność, uzbrojonych w muszkiety, wspinających się po zboczu w jego stronę. Wszyscy żołnierze byli młodzi i najwyraźniej traktowali tę wycieczkę jak niezłą

zabawę; śmiali się i przerzucali dowcipami.

– To nie patrol – szepnął Sanson.

– Dajmy im przejść – powiedział Hunter.

Sanson zmierzył go ostrym spojrzeniem. Hunter wskazał do tyłu na Lazue, wciąż leżącą sztywno na ziemi. Sanson natychmiast zrozumiał. Zaczekali, aż Hiszpanie ich minęli, po czym wrócili do Lazue.

– Gdzie teraz jest? – zapytał Hunter.

– Kolano – odparła cicho.

– Pełźnie dalej?

– Tak.

Potem odezwał się don Diego:

– Wysokie drzewa. – Rozejrzał się dookoła. – Musimy znaleźć wysokie drzewa. Tam!

– Klepnął Maura w ramię. – Chodź ze mną.

Dwaj mężczyźni ruszyli przez zarośla w kierunku grupy drzew mayaguana, odległej o kilka jardów. Hunter spojrzał na Lazue, a potem na hiszpańskich żołnierzy. Widział ich wyraźnie w odległości stu jardów na zboczu. Gdyby któryś się obejrzał, natychmiast zobaczyłby korsarzy.

– Już po okresie godowym – rzekł Sanson. Ze zmarszczonymi brwiami przyjrzał się Lazue. – Ale może nam się poszczęści i znajdziemy pisklę.

Odwrócił się do Maura, który wlaził na drzewo. Don Diego stał obok.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Hunter.

– Za kolanem.

– Spróbuj się rozluźnić.

Lazue przewróciła oczami.

– Do diabła z tobą i twoją wyprawą – powiedziała. – Do diabła z wami wszystkimi.

Hunter spojrzał na nogawkę jej spodni. Widział leciutkie poruszenia tkaniny, kiedy wąż pełzł w górę.

– Matko Boska – szepnęła Lazue. Zamknęła oczy.

Sanson szepnął do Huntera:

– Jeśli nie znajdą pisklęcia, będziemy musieli ją postawić i trząść.

– Wąż ją ukąsi.

Obaj rozumieli konsekwencje.

Korsarze byli twardzi i zahartowani: traktowali jadowite użądlenie skorpiona, ukąszenie czarnej wdowy czy mokasyna błotnego jako zwykłą niewygodę. Nawet wrzucenie kamratowi skorpiona do buta uchodziło za przedni żart. Lecz istniały dwa jadowite stworzenia, które budziły powszechny szacunek i strach. Nie żartowano sobie z *fer-de-lance* – kajsaki, a mały wąż koralowy był najgorszy ze wszystkich. Nikt jeszcze nie przeżył jego delikatnego ukąszenia. Hunter wyobrażał sobie, z jaką zgrozą Lazue czekała na lekkie ukłucie w nogę, oznaczające fatalny los. Wszyscy znali nieuniknione skutki: najpierw pocenie, następnie dreszcze, wreszcie odrętwienie powoli ogarniające całe ciało. Śmierć nadejdzie przed zachodem słońca.

– Gdzie teraz?

– Wysoko, bardzo wysoko. – Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał.

Spojrzał na jej spodnie i zobaczył lekkie wybrzuszenie tkaniny w kroku.

– O Boże – jęknęła Lazue.

A potem Hunter usłyszał cichy pisk, niemal świergot. Odwrócił się i zobaczył, że don Diego i Maur wracają. Obaj uśmiechali się szeroko. Maur trzymał coś w stulonych dłoniach. Było to maleńkie pisklątko. Popiskiwało i trzepotało skrzydełkami.

– Szybko, sznurek – zażądał Żyd.

Hunter wydobyl kawałek szpagatu, którym skrupowano nózki pisklęcia. Przywiązano je do patyka wbitego w ziemię przy wylocie nogawki spodni Lazue. Ptaszek pisał i szamotał się w więzach.

Czekali.

– Czujesz coś? – zapytał Hunter.

– Nie.

Wpatrywali się w pisklaka. Stworzonko wyrywało się rozpaczliwie, tracąc siły.

Hunter popatrzył na Lazue.

– Nic – powiedziała. A potem oczy jej się nagle rozszerzyły. – Wije się...

Spojrzeli na jej spodnie. Coś się tam ruszało. Pod tkaniną powoli utworzył

się garb, a potem skłęsnał.

– Wypełza – powiedziała Lazue.

Czekali. Nagle pisklę wpadło w panikę, zaczęło się wyrywać i piszczeć jeszcze głośniej.

Poczuło zapach węża.

Żyd wydobył pistolet, wytrząsnął kulę i przybitkę, chwycił broń za lufę i uniósł jak maczugę.

Czekali. Widzieli, jak wąż przesuwa się obok kolana, pełźnie wzdłuż łydki, cal po calu. To trwało przez wieczność.

A potem nagle łeb pokazał się w świetle i wysunął się język. Pisklę zaskrzeczało w paroksyzmie zgrozy. Wąż koralowy zaatakował, a wtedy don Diego doskoczył i wbił mu łeb w ziemię kolbą pistoletu. Jednocześnie Lazue zerwała się na nogi i odskoczyła z wrzaskiem.

Don Diego tłukł węża na miazgę, wgniatał jego zwłoki w miękką ziemię. Lazue odwróciła się i zwymiotowała gwałtownie. Lecz Hunter nie zwrócił na to uwagi – po jej wrzasku natychmiast podniósł wzrok w kierunku, gdzie znikli hiszpańscy żołnierze.

Sanson i Maur patrzyli w tę samą stronę.

– Słyszeli? – zapytał Hunter.

– Nie możemy ryzykować – odparł Sanson. Zapadła długa cisza, przerywana tylko odgłosami wymiotów Lazue. – Zauważyłeś, że nieśli zapasy i koce.

Hunter kiwnął głową. Znaczenie było jasne. Cazalla wysłał ich w górę stoku jako zwiadowców, żeby szukali śladów piratów na lądzie – a także wypatrywali na horyzoncie *Kasandry*. Jednym strzałem z muszkietu oddział zwiadowców mógł zaalarmować fort w dole.

Ze swojego punktu obserwacyjnego zobaczyliby *Kasandrę* wiele mil przed ujściem zatoki.

– Zrobię to – oświadczył Sanson z lekkimi uśmiechem.

– Weź Maura – poradził Hunter.

Dwaj mężczyźni zaczęli się skradać pod górę za Hiszpanami. Hunter odwrócił się do Lazue.

Pobladła dziewczyna wycierała sobie usta.

– Jestem gotowa do drogi – oznajmiła.

Hunter, don Diego i Lazue zarzucili sprzęt na ramiona i ruszyli w dół stoku.

\* \* \*

Teraz szli z biegiem rzeki, która wpływała do zatoki. Na początku napotkali jedynie wąski strumień, który człowiek łatwo mógł przekroczyć. Szybko jednak zmienił się w szeroką rzekę o brzegach porośniętych gęstą, nieprzebytą dżunglą.

Późnym popołudniem natknęli się na pierwszy ze zorganizowanych patroli – ośmiu Hiszpanów, wszyscy uzbrojeni, płynący cicho szalupą pod prąd. Wyglądali posepnie i zdecydowanie, wojownicy gotowi do walki. Z nastaniem nocy drzewa nad rzeką przybrały odcień niebieskozielony, a rzeka stała się czarna; gładką powierzchnię tylko od czasu do czasu rozcinał łeb krokodyla. Lecz patrole były teraz wszędzie, przepływały w regularnych odstępach, przy blasku pochodni. Jeszcze trzy szalupy przewoziły żołnierzy w górę rzeki, pochodnie rzucały długie, drżące smugi światła.

– Cazalla nie jest głupcem – stwierdził Sanson. – Spodziewają się nas.

Teraz zaledwie kilkaset jardów dzieliło ich od fortecy Matanceros. Kamienne mury wznosiły się wysoko. W forcie i w okolicy fortu trwała gorączkowa krzątanina. Uzbrojone dwudziestoosobowe oddziały żołnierzy patrolowały teren.

– Spodziewają czy nie – odparł Hunter – musimy trzymać się planu. Atakujemy dziś w nocy.

# Rozdział 23

Enders, cyrulik i wilk morski stał za sterem *Kasandry* i patrzył, jak fale powlekają się srebrem, uderzając o rafy Barton's Cay, sto jardów za bakburtą. Przed sobą widział czarny masyw Mt. Leres, górujący nad horyzontem.

Jeden z marynarzy prześliznął się do niego na rufę.

– Szklanka wybiła – oznajmił.

Enders kiwnął głową. Piętnaście szklanek wybiło od zapadnięcia nocy, co znaczyło, że zbliżała się druga w nocy. Silny wiatr dmuchał ze wschodu z prędkością dziesięciu węzłów; statek szedł mocnym halsem i powinien dotrzeć do wyspy za godzinę.

Enders wpatrywał się w zarys Mt. Leres. Nie widział zatoki Matanceros. Musiał okrążyć południowy cypel wyspy, zanim zobaczy fortecę i galeon, który – miał nadzieję – jeszcze kotwiczy w zatoce.

Wtedy również znajdzie się w zasięgu dział z Matanceros, chyba że Hunter ze swoim oddziałem wcześniej je uciszy.

Enders zerknął na załogę stojącą na otwartym pokładzie *Kasandry*. Nikt się nie odzywał.

Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak wyspa robi się coraz większa. Wszyscy znali stawkę i rozumieli ryzyko: w ciągu kilku godzin każdy z nich stanie się albo niewyobrażalnie bogaty, albo martwy.

Po raz setny tej nocy Enders zadał sobie pytanie, co się dzieje z Hunterem i jego oddziałem.

\* \* \*

W cieniu kamiennych murów Matanceros Sanson nadgryzł złoty dublon i

podał Lazue. Lazue nadgryzła go i przekazała Maurowi. Hunter obserwował milczący rytuał, który podobno przynosił szczęście przed wyprawą, jak wierzyli wszyscy korsarze. Wreszcie moneta dotarła do niego. Przygryzł ją, czując miękkość metalu. Potem, na oczach pozostałych, rzucił monetę przez prawe ramię.

Bez słowa cała piątka rozeszła się w różnych kierunkach.

Hunter i don Diego, niosąc liny i haki przerzucone przez ramię, skradali się na północ wokół fortecy, zatrzymując się często, żeby przepuścić patrole. Hunter podniósł wzrok na wysoki kamienny mur. Górna część była gładka, z zaokrągloną krawędzią, żeby utrudnić zaczepienie haków. Ale kamieniarskie umiejętności Hiszpanów okazały się niewystarczające do tego projektu i Hunter wierzył, że jego haki znajdą punkt zaczepienia.

Dotarli do północnej ściany fortu, najdalszej od morza, i tam przystanęli. Po dziesięciu minutach przeszedł patrol, pobrzękując zbrojami i bronią w ciszy nocy. Oczekali, aż żołnierze znikną im z oczu.

Potem Hunter podbiegł i przerzucił hak przez mur. Usłyszał cichy metaliczny szczęk, kiedy hak wylądował w środku.

Pociągnął za linę i hak wrócił, spadł na ziemię u jego stóp. Hunter zaklął i czekał, wyteżając słuch.

Nie usłyszał żadnego dźwięku, nic nie wskazywało, żeby zwrócił czyjąś uwagę. Rzucił hak jeszcze raz i patrzył, jak żelazo leci wysoko ponad murem. Znowu pociągnął. I musiał uskoczyć, kiedy hak przyleciał z powrotem.

Rzucił po raz trzeci i tym razem zaczepił hak – lecz niemal natychmiast usłyszał hałas następnego patrolu. Szybko wdrapał się po murze, dysząc i sapiąc, poganiany przez coraz bliższe głosy uzbrojonych żołnierzy. Dotarł do parapetu, zeskoczył i ściągnął linę. Don Diego wycofał się w krzaki. Patrol przeszedł obok niego.

Hunter rzucił linę i Diego wgramolił się na mur, mamrocząc i przeklinając po hiszpańsku. Nie miał za wiele sił, dlatego posuwał się w zółwym tempie. Wreszcie dotarł na szczyt i Hunter pomógł mu przejść na drugą stronę. Potem wciągnął linę. Dwaj mężczyźni, przyciśnięci do zimnych kamieni, rozejrzeli się dookoła.



Matanceros leżało ciche w ciemności, szeregi namiotów wypełnionych setkami śpiących ludzi. Bliskość tyłu wrogów wywoływała dziwny dreszcz emocji.

– Straże? – szepnął Żyd.

– Nie widzę żadnych – odparł Hunter – oprócz tamtych.

Po drugiej stronie fortecy stały dwie uzbrojone postacie. Ale ci strażnicy zostali wyznaczeni do obserwacji morza i wypatrywali na horyzoncie nadpływających statków.

Don Diego kiwnął głową.

– W magazynie będzie straż.

– Pewnie tak.

Dwaj mężczyźni znajdowali się niemal dokładnie nad drewnianym budynkiem, który Lazue uznała za magazyn. Ze swojego miejsca nie widzieli drzwi do budynku.

– Musimy tam pójść najpierw – oświadczył Żyd.

Nie zabrali ze sobą materiałów wybuchowych, tylko lonty. Zamierzali skorzystać z zapasów fortecy.

Hunter po cichu zsunął się na ziemię. Don Diego poszedł w jego ślady, mrugając oczami w słabym świetle. Podeszli do drzwi magazynu.

Nie zobaczyli straży.

– W środku? – szepnął Żyd.

Hunter wzruszył ramionami. Podeszedł do drzwi, nasłuchiwał przez chwilę, ściągnął buty i delikatnie uchylił drzwi. Obejrzał się i zobaczył, że don Diego również zdejmuje buty. Potem wszedł do środka.

Wnętrze magazynu wyłożono od góry do dołu arkuszami miedzi. Kilka starannie zabezpieczonych świec rozsiewało ciepły, czerwony blask. Pomieszczenie wyglądało dziwnie przytulnie pomimo rzędów beczek z prochem strzelniczym i worków z pociskami, wszystkich odpowiednio oznakowanych na czerwono. Hunter bezgłośnie skradał się po miedzianej podłodze. Nie zobaczył nikogo, ale gdzieś w magazynie słyszał męskie chrapanie.

Wśliznął się pomiędzy beczki i w końcu znalazł śpiącego żołnierza, opartego o baryłkę prochu. Uderzył go mocno w głowę; żołnierz prychnął i znieruchomiał.

Żyd wszedł na palcach, rozejrzał się i szepnął:

– Doskonale.

Obaj natychmiast przystąpili do pracy.

\* \* \*

Jeśli forteca spała w ciszy, nędzna osada zbudowana dla załogi galeonu tętniła hałaśliwym życiem. Sanson, Maur i Lazue przemykali się pod oknami, za którymi żołnierze pili i grali w karty w żółtym blasku lamp. Jeden pijany żołnierz wytoczył się na zewnątrz, wpadł na Sansona, przeprosił i zwymiotował na drewnianą ścianę.

Trójka korsarzy poszła dalej, w stronę przystani dla łodzi na brzegu rzeki. Chociaż w ciągu dnia przystań nie była strzeżona, teraz pilnowało jej trzech żołnierzy. Siedzieli na końcu przystani, z nogami zwieszonymi nad wodą, popijając i rozmawiając cicho w ciemnościach; dźwięk ich głosów zlewał się z pluskaniem wody o pale. Siedzieli plecami do korsarzy, ale skrzypiące deski przystani nie pozwalały podkraść się do nich po cichu.

– Ja to zrobię – oświadczyła Lazue, zdejmując tunikę.

Naga do pasa, trzymając sztylet za plecami, zagwizdała wesołą melodyjkę i weszła na przystań.

Jeden z żołnierzy się obejrzał.

– *Que pasa ca?* – zapytał i podniósł latarnię. Oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia, kiedy zobaczył coś, co pewnie uznał za zjawę: kobietę z nagimi piersiami, idącą ku niemu nonszalancko. – *Madre de Dios* – wymamrotał.

Kobieta uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech na chwilę przedtem, zanim sztylet wbił mu się między żebrami prosto w serce.

Pozostali dwaj żołnierze zagapili się na kobietę z zakrwawionym sztyletem w garści.

Zaskoczeni, prawie nie stawiali oporu, kiedy ich zabijała. Krew trysnęła na jej nagie piersi.

Sanson i Maur podbiegli, przestąpili przez trzy martwe ciała. Lazue z powrotem naciągnęła tunikę. Sanson wsiadł do jednej łodzi i natychmiast

powiosłował w stronę rufy galeonu. Maur odciął pozostałe łodzie i zepchnął na zatokę, żeby dryfowały swobodnie. Potem wsiadł do ostatniej łodzi razem z Lazue i skierowali się do dziobu galeonu. Nikt nie wymówił ani słowa.

Lazue ciasniej otuliła się tuniką. Krew żołnierzy przesiąkła przez tkaninę i przejmowała chłodem. Stojąc w szalupie, dziewczyna patrzyła na rosnący w oczach galeon, podczas gdy Maur wiosłował szybkimi, mocnymi pociągnięciami.

Galeon był wielki, co najmniej sto czterdzieści stóp długości, ale prawie całkiem zaciemniony, tylko parę pochodni wydobywało z mroku jego sylwetkę. Lazue spojrzała w prawo, gdzie Sanson kierował się w stronę rufy, widoczny na tle światła hałaśliwego, obskurnego miasteczka. Obejrzała się w lewo, na szarą linię murów fortecy. Zastanawiała się, czy Hunter i Żyd weszli już do środka.

\* \* \*

Hunter patrzył, jak Żyd ostrożnie napełnia prochem strzelniczym jelita oposa. Praca szła mu powoli, ale nie pozwolił się poganiać. Przysiadł na środku magazynu, obok otwartego woreczka prochu, i podśpiewywał pod nosem.

– Jak długo jeszcze? – zapytał Hunter.

– Niedługo, niedługo – zanucił Żyd. Wydawał się całkowicie rozluźniony.

– To będzie śliczne – dodał. – Tylko zaczekaj. Będzie przepiękne.

Kiedy wreszcie napełnił jelita, pociął je na kawałki różnej długości i wsunął do kieszeni.

– No dobrze – powiedział. – Możemy zaczynać.

Chwilę później obaj wyniknęli się z magazynu, zgięci pod ciężarem ładunków prochowych, które dźwigali. Chyłkiem przebiegli przez główny dziedziniec fortecy i zatrzymali się pod grubym kamiennym parapetem, na którym spoczywały działa. Dwa wartownicy wciąż stali na posterunku.

Hunter zostawił ładunki pod opieką Żyda, wspiął się na parapet i zabił obu wartowników.

Jeden zginął w całkowitej ciszy, a drugi wydał tylko stłumiony jęk, kiedy osunął się na ziemię.

– Diego! – syknął Hunter.

Żyd stanął na parapecie i spojrział na działa. Wsadził stempel do lufy.

– Jak ślicznie – szepnął. – Już są nabite prochem. Mam dla nich specjalny poczęstunek. Chodź, pomóż mi.

Żyd wepchnął woreczek prochu w wylot jednej lufy.

– Teraz kula – poleciał.

Hunter zmarszczył brwi.

– Ale oni włożą drugą kulę przed wystrzałem.

– Oczywiście. Dwa ładunki i dwie kule... te działa rozlecą się na ich oczach. Szybko przesuwali się od jednej kolubryny do następnej. Żyd wkładał drugi ładunek prochu, a Hunter wrzucał kulę. Każda kula zsuwała się w głąb lufy z głuchym dudnieniem, ale nikt tego nie słyszał.

Kiedy skończyli, Żyd powiedział:

– Teraz mam parę rzeczy do zrobienia. Ty musisz nasypać piasku do każdej lufy.

Hunter zsunął się z parapetu na ziemię. Nagarnął rękami luźny piasek i wsypał po pełnej garści do lufy każdego działa. Żyd był sprytny: nawet gdyby jakimś cudem działa wystrzeliły, piasek w lufach uszkodzi ich wewnątrz tak poważnie, że już nigdy nie będą celnie strzelały.

Kiedy skończył, zobaczył, że Żyd nachyla się nad lawetą i robi coś pod lufą. Podniósł się.

– To już ostatnie.

– Co tam majstrowałeś?

– Połączyłem lonty z lufami. Gorąco przy wystrzale z lufy zapali lont ładunku pod lawetą. – Uśmiechnął się w ciemnościach. – To będzie cudowne.

\* \* \*

Wiatr się zmienił i rufa galeonu obróciła się w stronę Sansona. Zacumował łódź pod złoconą pawężą i zaczął się wspinać po grodzi rufowej w stronę kabiny kapitana. Ktoś cicho śpiewał hiszpańską piosenkę. Sanson rozumiał sprośny tekst, ale nie mógł określić źródła; piosenka zdawała się unosić w powietrzu, ulotna i złudna.

Wlazł przez ambrazurę do kapitańskiej kabiny. Okazała się pusta.

Wyśliznął się na zewnątrz, na pokład działowy, i przez zejściówkę dotarł na pokład mieszkalny. Nikogo nie zobaczył.

Popatrzył na puste hamaki kołyszące się lekko zgodnie z ruchem statku. Dziesiątki hamaków i ani śladu załogi.

Sansonowi to się nie podobało – niestrzeżony statek oznaczał statek bez skarbu. Obawiał się tego, czego wszyscy się bali, chociaż o tym nie mówili – że skarb zabrano ze statku i ukryto gdzie indziej, może w samej fortecy. Jeśli tak, ich plany wezmą w łeb.

Toteż Sanson liczył na porządną szkieletową załogę i straż. Przemknął do kambuza na rufie i tam odetchnął z ulgą. Nie zastał nikogo, ale odkrył ślady niedawnego posiłku – gulasz wołowy w wielkim kotle, trochę warzyw, połówka cytryny kołysząca się w przód i w tył na drewnianym kontuarze.

Wyszedł z kambuza i ruszył w stronę dziobu. Z daleka usłyszał okrzyki wachtowego na pokładzie, witającego szalupę z Maurem i Lazue.

Lazue i Maur przycumowali przy środkowej drabince galeonu. Wachtowy wychylił się i pomachał.

– *Questa faire?! –* zawołał.

– Przywieźliśmy rum – odparła Lazue niskim głosem. – Z pozdrowieniami od kapitana.

– Kapitana?

– Ma dziś urodziny.

– *Bravo, bravo.*

Wachtowy z uśmiechem odstąpił na bok i wpuścił Lazue na pokład. Spojrzał – i oczy mu się rozszerzyły ze zgrozy, kiedy zobaczył krew na jej tunice i we włosach. Potem nóż błysnął i zanurzył się w jego piersi. Zdumiony żołnierz chwycił za rękojeść. Chciał coś powiedzieć, ale tylko runął na twarz.

Maur wszedł na pokład i podkradł się do grupy czterech żołnierzy, którzy siedzieli i grali w karty. Lazue nie widziała, co zrobił, bo zeszła niżej. Znalazła dziesięciu żołnierzy śpiących w kajucie na dziobie; po cichu zamknęła i zabarykadowała drzwi.

Jeszcze pięciu żołnierzy popijało i grało w karty w sąsiedniej kajucie.

Lazue zajrzała tam i zobaczyła, że mają broń. Swoje pistolety niosła zatknięte za pas; zamierzała strzelać tylko w razie konieczności. Zaczekała pod drzwiami.

Po chwili Maur podkradł się do niej. Wskazała na kajutę. On pokręcił głową. Zostali przy drzwiach.

Wkrótce jeden z żołnierzy oznajmił, że pęcherz mu pęka, i wyszedł. Zaledwie znalazł się za drzwiami, Maur trzasnął go w głowę pachołkiem. Żołnierz upadł z łomotem zaledwie parę kroków od drzwi.

Pozostali spojrzeli w kierunku, skąd dobiegł dźwięk. W świetle padającym z pomieszczenia widzieli stopy swojego towarzysza.

– Juan?

Leżący nie odpowiedział.

– Za dużo wypił – podsumował ktoś i wrócili do kart. Ale wkrótce jeden z mężczyzn zaniepokoił się o Juana i wyszedł sprawdzić. Lazue poderżnęła mu gardło, a Maur wskoczył do kajuty, zamasyście wymachując pachołkiem. Żołnierze padli bez hałasu.

W rufowej części statku Sanson wyszedł z kambuza i wpadł na hiszpańskiego żołnierza.

Hiszpan był pijany, flaszka rumu dyndała mu w ręku. Zaśmiał się do Sansona w ciemności.

– Przestraszyłeś mnie – powiedział po hiszpańsku. – Nie spodziewałem się nikogo.

Potem z bliska zobaczył ponurą twarz Sansona i nie rozpoznał jej. Przeżył krótką chwilę zdziwienia, zanim palce Sansona zacisnęły się na jego gardle.

Sanson zszedł po następnej zejściówce pod pokład mieszkalny. Dotarł do magazynów na rufie, które okazały się zamknięte i zaryglowane. Na wszystkich zamkach widniały pieczęcie; Sanson nachylił się w ciemności, żeby je obejrzyć. Wyraźnie zobaczył odcisniętą w żółtym wosku pieczęć mennicy w Limie: koronę i kotwicę. Zatem tutaj spoczywało srebro z Nowej Hiszpanii; serce Sansona mocniej zabiło.

Wrócił na pokład i wszedł na kasztel rufowy, obok rumpla. Znowu usłyszał cichy śpiew. I znowu nie mógł zlokalizować tego dźwięku. Przystanął i nadśluchiwał. Potem śpiew się urwał i zaniepokojony głos zapytał:

– *Que pasa? Que esta vous?*

Sanson podniósł wzrok. Oczywiście! Tam, w bocianim gnieździe ponad rejami grotmasztu, spoglądał na niego jakiś człowiek.

– *Que esta vous?* – powtórzył.

Sanson wiedział, że tamten nie widzi go wyraźnie. Cofnął się w cień.

– *Que?* – zapytał zdziwiony marynarz.

W ciemności Sanson wyjął kuszę z pokrowca, naciągnął stalową sprężynę, nałożył bełt i podniósł broń do oka. Zobaczył, że Hiszpan schodzi po olinowaniu, przeklinając ze złością.

Sanson go zastrzelił.

Impet strącił marynarza z olinowania; zwłoki przeleciały dziesięć jardów w ciemności i spadły do wody z cichym pluskiem. Później już nic nie zmąciło ciszy.

Sanson okrążył pusty pokład rufowy i upewniwszy się, że jest sam, chwycił rumpel w dłoń.

Po chwili zobaczył, że Lazue i Maur wychodzą na górny pokład w pobliżu dziobu. Obejrzelisię na niego i pomachali, szczerząc zęby.

Statek należał do nich.

\* \* \*

Hunter i don Diego wrócili do prochowni i zakładali długi lont do beczek z prochem.

Pracowali teraz szybko, bo kiedy odchodzili od dział, niebo nad ich głowami przybrało już jaśniejszy odcień błękitu.

Don Diego ustawił baryłki w niewielkich stosach pod ścianami pomieszczenia.

– Trzeba to zrobić w ten sposób – szepnął. – Inaczej nastąpi tylko jeden wybuch, a tego nie chcemy.

Rozbił dwie baryłki i rozsypał czarny proch po podłodze. Wreszcie, zadowolony, zapalił lont.

W tej samej chwili na dziedzińcu fortecy rozległ się krzyk, a potem następny.

– Co się stało? – zapytał Diego. Hunter zmarszczył brwi.

– Pewnie znaleźli martwych strażników – powiedział. Po chwili rozległy się kolejne krzyki, a potem odgłos biegnących stóp. Teraz słyszeli jedno słowo, powtarzane w kółko:

– Pirata! Pirata!

– Widocznie statek wpłynął do kanału – stwierdził Hunter. Obejrzał się na lont, który syczał i iskrzył w kącie pomieszczenia.

– Mam go zgasić? – zapytał don Diego.

– Nie. Zostaw.

– Nie możemy tu czekać.

– Za kilka minut na dziedzińcu wybuchnie panika. Wtedy uciekniemy.

– Lepiej niech to będą krótkie minuty – burknął Żyd. Krzyki na dziedzińcu rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Słyszeli tupot dosłownie setek biegnących stóp, kiedy mobilizowano garnizon.

– Sprawdź zbrojownię – ostrzegł nerwowo Diego.

– W końcu tak – zgodził się Hunter.

W tej samej chwili drzwi otwarły się z rozmachem i do środka wszedł Cazalla z rapierem w dłoni. Zobaczył ich.

Hunter wyrwał rapier spośród tuzinów wiszących w stojakach pod ścianą.

– Idź, Diego – szepnął.

Diego wypadł za drzwi, kiedy ostrze Cazalli uderzyło w broń Huntera. Dwaj przeciwnicy okrążali pomieszczenie. Hunter się cofał.

– Angliku – powiedział Cazalla ze śmiechem. – Nakarmię psy ochłapami twojego ciała.

Hunter nie odpowiedział. Lekko wymachiwał rapierem, oceniając jego ciężar i sprawdzając giętkość klingi.

– A moja kochanka – ciągnął Cazalla – zje na obiad twoje jądra.

Czujnie krążyli po magazynie. Hunter próbował wyprowadzić Cazallę na zewnątrz, jak najdalej od skwierczącego lontu, którego Hiszpan nie zauważył.

– Boisz się, Angliku?

Hunter cofnął się niemal do drzwi. Cazalla zrobił wypad. Hunter sparował, wciąż się cofając.



Cazalla znowu zaatakował. Kapitan wyskoczył na zewnątrz.

– Jesteś śmierdzącym tchórzem, Angliku.

Teraz obaj znaleźli się na dziedzińcu. Hunter ostro starł się z Cazallą, który zaśmiał się z radości. Przez parę chwil walczyli w milczeniu. Hunter odsuwał się coraz dalej od magazynu.

Wokół nich biegali i krzyczeli żołnierze z garnizonu. Każdy mógł dźgnąć Huntera od tyłu.

Pirat podjął wielkie ryzyko i nagle Cazalla zrozumiał przyczynę. Przerwał walkę, cofnął się i spojrzał na magazyn.

– Ty synu brudnej angielskiej świni...

Cazalla pobiegł w stronę magazynu, ale właśnie wtedy pierwsza eksplozja spowiła budynek ryczącym białym płomieniem i straszliwym żarem.

Marynarze na pokładzie *Kasandry*, płynącej przez wąski kanał, zobaczyli eksplozję magazynu i zaczęli wiwatować.

Lecz Enders przy sterze spochmurniał. Armaty w fortecy stały na miejscu; widział długie lufy wystające przez wycięcia w kamiennym murze. W czerwonym blasku pożaru magazynu wyraźnie widział też obsady dział, przygotowujące kolubryny do strzału.

– Boże, dopomóż nam – jęknął Enders. *Kasandra* znajdowała się teraz dokładnie naprzeciwko nadbrzeżnych baterii. – Trzymać się, załoga! – krzyknął. – Dzisiaj skosztujemy hiszpańskiego ołowiu.

Lazue i Maur na przednim pokładzie galeonu również widzieli eksplozję. Widzieli też *Kasandrę* płynącą przez kanał obok fortecy.

– Matko Boska! – zawołała Lazue. – Nie zniszczyli dział! Nie zniszczyli dział!

\* \* \*

Diego wybiegł z fortecy i uciekał w stronę wody. Nie zatrzymał się, kiedy magazyn wybuchnął z przeraźliwym hukiem; nie zastanawiał się, czy Hunter został w środku; nie myślał o niczym. Z pękającymi płucami biegł w kierunku wody.

Hunter został uwięziony w fortecy. Hiszpańskie patrole wlewały się do środka przez zachodnią bramę; nie mógł tamtędy uciekać. Nigdzie nie widział Cazalli. Pobiegł w stronę niskiego budynku na wschód od magazynu; zamierzał się wdrapać na dach, a stamtąd przeskoczyć na mur.

Kiedy dotarł do budynku, zaatakowało go czterech żołnierzy; przyparli go do drzwi budynku, a on zamknął się w środku. Drzwi były z grubych belek; żołnierze nadaremnie się dobijali.

Hunter obejrzał się na pokój. To była kwatery Cazalli, bogato urządzone. W łóżku leżała ciemnowłosa dziewczyna. Spojrzała na Huntera z przerażeniem, podciągając prześcieradła pod brodę. Przebiegł przez pokój do tylnego okna i już zaczął wylazić, kiedy zapytała po angielsku:

– Kim jesteś?

Zamarł, zaskoczony. Akcent miała czysty i arystokratyczny.

– A kim ty jesteś, do diabła?

– Lady Sarah Almont, ostatnio z Londynu – odparła. – Jestem tu więźniem.

Hunterowi opadła szczeka.

– No to ubieraj się, pani.

W tej samej chwili szyby w drugim oknie pękły i na podłodze wylądował Cazalla z rapierem w ręku. Był osmalony i szary po wybuchu prochu. Dziewczyna wrzasnęła.

– Ubierz się, pani – powtórzył Hunter, parując uderzenia Cazalli. Zobaczył, że szybko naciągnęła strojną białą suknię.

Cazalla dyszał, walcząc z desperacją zrodzoną z furii i czegoś jeszcze, chyba strachu.

– Angliku – zaczął jeszcze raz.

Wtedy Hunter cisnął rapierem przez pokój. Ostrze przebiło gardło Cazalli, który zakaszłał, zatoczył się do tyłu i usiadł w krześle przy ciężkim, ozdobnym biurku. Nachylił się do przodu, ciągnąc za ostrze, w takiej pozycji, jakby oglądał mapy na biurku. Krew kapłała na mapy. Hiszpan wydał bulgoczący dźwięk i upadł.

– Chodź! – zawołała kobieta.

Hunter pomógł jej wyjść przez okno. Nie obejrzał się na ciało Cazalli.

Stanął razem z kobietą na północnej stronie parapetu. Grunt znajdował się trzydzieści stóp niżej, twarda ziemia porośnięta nielicznymi karłowatymi krzakami. Lady Sarah przywarła do niego.

– Za wysoko – powiedziała.

– Nie mamy wyboru – odparł i zepchnął ją.

Spadła z wrzaskiem. Hunter obejrzał się i zobaczył, że *Kassandra* wpływa do kanału, prosto pod lufy głównej baterii. Obsada dział czekała w gotowości do strzału. Hunter zeskoczył.

Dziewczyna wciąż leżała na ziemi, trzymając się za kostkę.

– Coś ci się stało w nogę?

– Chyba nic poważnego.

Pomógł jej wstać i zarzucił sobie jej rękę na ramiona. Podtrzymując ją, pobiegł w stronę wody. Usłyszeli, jak pierwsze działa otwierają ogień do *Kasandry*.

Działa z Matanceros odpalano seriami, w odstępie sekundy. Każde wybuchało co sekundę, wypluwając gorący proch i odłamki brązu. Artylerzyści rzucili się szukać osłony. Jedna po drugiej wielkie kolubryny przetaczały się do tyłu i nieruchomiały na pozycji odrzutu.

Artylerzyści powoli wstawali i podchodzili do dział. W zadziwieniu Oglądali rozsądzone otwory zapalowe i rozmawiali z ożywieniem.

A wtedy kolejno zaczęły wybuchać ładunki pod lawetami. Kawałki drewna fruwały w powietrzu, a działa opadały na ziemię. Ostatnie potoczyło się po parapecie, przerażeni żołnierze uskakiwali mu z drogi.

Niecałe pięćset jardów od brzegu nietknięta *Kassandra* wpływała do zatoki.

Don Diego brodził w wodzie, krzycząc co sił, kiedy *Kassandra* do niego podpływała. Przez okropną chwilę myślał już, że nikt go nie zobaczy ani nie usłyszy. Potem dziób słupu skrzył w lewo, silne ręce sięgnęły przez burtę i wciągnęły go na pokład, ociekającego wodą.

Wcisnięto mu do rąk flaszkę kill–devil, klepano go po plecach i śmiano się.

Diego rozejrzał się po statku.

– Gdzie jest Hunter? – zapytał.

W blaskach świtu Hunter pobiegł z dziewczyną na plażę na wschodnim krańcu Matanceros.

Znalazł się teraz tuż pod murem fortecy; nad jego głową lufy kilku dział sterczały pod dziwnymi kątami.

Zatrzymali się nad wodą, żeby złapać oddech.

– Umiesz pływać? – zapytał Hunter.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Wcale?

– Wcale, przysięgam.

Hunter spojrzał na rufę *Kasandry*, płynącej przez kanał w stronę galeonu.

– Chodź – powiedział. Pobiegli w stronę zatoki.

Enders precyzyjnie ustawił *Kasandrę* obok galeonu. Natychmiast większość załogi przeskoczyła na większy statek. Sam Enders przeszedł na pokład galeonu, gdzie przy relingu zobaczył Lazue i Maura. Sanson trzymał rumpel.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Sanson z uśmiechem, przekazując ster Endersowi.

– Za pozwoleniem, kamracie. – Enders spojrzał w górę, gdzie marynarze wspinali się po olinowaniu. – Podnieść mars fokmasztu! Szybciej tam z kliwrem!

Podniesiono żagle. Wielki statek zaczął się poruszać.

Niewielka załoga pozostała na *Kasandrze* przywiązała dziób do rufy galeonu i płynęła obok z żaglami w łopocie.

Enders nie zwracał uwagi na mały statek. Skupił się wyłącznie na galeonie. Kiedy załoga przy kabestanie podniosła kotwicę i zaczęli nabierać szybkości, pokręcił głową.

– Rozklekotana stara łajba – mruknął. – Rusza się jak krowa.

– Ale popłynie – odezwał się Sanson.

– No, popłynie, w pewnym sensie.

Galeon kierował się na wschód, w stronę ujścia zatoki. Enders spoglądał teraz na brzeg, szukając Huntera.

– Tam jest! – krzyknęła Lazue.

I rzeczywiście kapitan stał na brzegu z jakąś kobietą.

– Możesz się zatrzymać? – zapytała Lazue.

Enders pokręcił głową.

– Zakują nas w kajdany – powiedział. – Rzućcie linę.

Maur już rzucił linę na brzeg. Hunter i dziewczyna złapali ją; lina natychmiast zwała ich z nóg i wciągnęła w wodę.

– Lepiej szybko ich wyłowcie, zanim potoną – burknął Enders, ale się uśmiechał.

Dziewczyna mało nie utonęła i potem kaszlała przez całe godziny. Hunter jednak w świetnym humorze objął dowództwo nad nao pełnym skarbów i pożeglował w tandemie z *Kasandrą* na otwarte morze.

O ósmej rano dymiące ruiny Matanceros zostały daleko za rufą. Hunter pił na umór i rozmyślał, że wyróżnił się teraz jako człowiek, który z powodzeniem poprowadził najbardziej niezwykłą korsarską wyprawę stulecia od czasu, kiedy Drake zaatakował Panamę.

## Rozdział 24

Nadal znajdowali się na hiszpańskich wodach i szybko płynęli na południe, wykorzystując każdy cal płótna, jaki zdołali rozwinąć. Galeon zwykle przewoził do tysiąca ludzi i załogę ponad dwustu marynarzy. Hunter miał siedemdziesięciu ludzi, włącznie z więźniami. Lecz większość hiszpańskich więźniów to byli żołnierze z garnizonu, nie marynarze. Brakowało im nie tylko lojalności, ale również umiejętności. Załoga Huntera miała pełne ręce roboty przy żaglach i olinowaniu.

Hunter przesłuchiwał więźniów, posługując się swoją kulawą hiszpańszczyzną. Do południa wiedział już całkiem sporo o statku, którym teraz dowodził. Nao nazywał się Nuestra Senora de los Reves, San Fernando y San Francisco de Paula, kapitan José del Villar de Andrade, właściciel markiz de Canada, wyporność dziewięćset ton, zbudowany w Genui. Podobnie jak wszystkie hiszpańskie galeony – które nieodmiennie nosiły przydługie, niewygodne nazwy – ten statek też miał przydomek, *El Trinidad*. Pochodzenie przydomku okrywała tajemnica.

*El Trinidad* zbudowano do przewożenia pięćdziesięciu dział, ale po uroczystym wypłynięciu z Hawany w sierpniu poprzedniego roku okręt zatrzymał się przy kubańskim wybrzeżu i większość dział wyładowano, żeby zrobić miejsce dla innego ładunku. Obecnie miał na wyposażeniu tylko trzydzieści dwie dwunastofuntówki. Enders dokładnie obejrzał okręt i uznał go za zdatny do żeglugi, chociaż brudny. Grupa więźniów wyrzucała właśnie śmieci z ładowni.

– I nabiera wody – oznajmił Enders.

– Bardzo?

– Nie, ale to stary statek i wymaga nadzoru. Nie najlepiej utrzymany. – Mars na czole Endersa zdawał się potępiać całą długą tradycję niechlujnego

hiszpańskiego żeglarstwa.

– Jak pływa?

– Jak ciężarna maciora, ale damy radę przy dobrej pogodzie i jeśli nie wypadnie nic niespodziewanego. Za mało nas jest i tyle.

Hunter kiwnął głową. Przeszedł po pokładzie i popatrzył na żagle. W pełni otaklowany *El Trinidad* rozwijał czternaście oddzielnych żagli. Nawet najprostsza czynność – jak postawienie zrefowanego marsła – wymagała co najmniej dziesięciu par mocnych rąk.

– Przy wzburzonym morzu będziemy musieli płynąć z gołymi masztami – dodał Enders, kręcąc głową.

Hunter wiedział, że to prawda. Jeśli nadejdzie sztorm, nie będą mieli wyboru, tylko zrefować wszystkie żagle i przeczekać złą pogodę, chociaż to niebezpieczne na tak dużym statku.

Lecz jeszcze bardziej martwiła go perspektywa ataku. Wtedy statek potrzebuje manewrowości, a Hunterowi brakowało załogi, żeby sprawnie kierować *El Trinidadem*.

No i pozostawała kwestia dział.

Trzydzieści dwie hiszpańskie dwunastofuntówki były całkiem nowe i w dobrym stanie.

Razem stanowiły znośne – jeśli nie wręcz groźne – narzędzie obrony. Trzydzieści dwa działa czyniły z *El Trinidada* odpowiednik trzeciorzędnego okrętu liniowego, zdolnego stawić czoło każdemu prócz największych okrętów wroga. Przynajmniej gdyby Hunter miał ludzi do obsługi dział.

Sprawną obsadę dział, która podczas walki mogła co minutę załadować armatę, zatoczyć, wycelować i wystrzelić, składała się z piętnastu ludzi, nie licząc kapitana artylerii. Ze względu na ewentualne obrażenia, a także zwykłe zmęczenie podczas bitwy – ludzie męczyli się popychaniem dwóch i pół tony rozgrzanego brązu – obsady liczyły najczęściej od siedemnastu do dwudziestu ludzi. Zakładając, że tylko połowa artylerii strzela jednocześnie, Hunter tak naprawdę potrzebował dwustu siedemdziesięciu ludzi tylko do obsługi dział. Ale nie miał nikogo. I tak brakowało mu rąk do pracy przy żaglach.

Twarde fakty wyglądały następująco: Hunter dowodził załogą

dziesięciokrotnie za małą, żeby walczyć w morskiej bitwie, i trzykrotnie za małą, żeby przetrwać silny sztorm. Wniosek był prosty – uciekać przed walką i znaleźć schronienie przed sztormem.

Enders wypowiedział na głos te obawy.

– Szkoda, że nie możemy postawić wszystkich żagli – westchnął, spoglądając w górę.

*El Trinidad* płynął obecnie bez bezanów, żagli rozprzowych i bramsli.

– Ile robimy? – zapytał Hunter.

– Nie więcej niż osiem węzłów. Powinniśmy wyciągać dwa razy tyle.

– Niełatwo będzie prześcignąć okręt – zauważył Hunter.

– Albo sztorm – dodał Enders. – Myślisz, żeby zatopić slup?

Hunter już się nad tym zastanawiał. Dziesięciu ludzi z pokładu *Kasandry* pomogłoby na większym statku, ale niewiele; na *El Trinidadzie* nadal rozpaczliwie brakowałyby rąk do pracy. Co więcej, sam slup też był cenny. Gdyby Hunter zachował własny statek, mógłby wystawić hiszpański galeon na aukcji w Port Royal, gdzie kupcy i kapitanowie zapłaciliby sporą sumę. Albo można go wliczyć do królewskiej dziesięciny i znacznie zmniejszyć liczbę sztab kruszcu czy innych skarbów, które zabierze król Karol.

– Nie – powiedział w końcu. – Chcę zatrzymać mój statek.

– No, możemy odchudzić tę maciore – zaproponował Enders. – Wieziemy mnóstwo niepotrzebnego balastu. Nie przydadzą ci się szalupy ani działa.

– Wiem – przyznał Hunter. – Ale nie chcę, żebyśmy zostali bezbronni.

– Przecież jesteśmy bezbronni – wytknął mu Enders.

– Wiem – powtórzył Hunter. – Ale na razie zaryzykujemy i zaufamy opatrności, że zapewni nam bezpieczny powrót. Szanse są po naszej stronie, zwłaszcza kiedy się znajdziemy na południowych morzach.

Hunter planował pożeglować na Małe Antyle, a potem na zachód, w rozległy przestwór Morza Karaibskiego pomiędzy Wenezuelą a Santo Domingo. Nie spodziewał się napotkać hiszpańskich okrętów wojennych na tych otwartych wodach.

– Ja tam nie ufam opatrności – burknął ponuro Enders. – Ale niech tak będzie.



\* \* \*

Lady Sarah Almont przebywała w kajucie na rufie. Hunter zastał ją w towarzystwie Lazue, która z ostentacyjnie niewinną miną pomagała dziewczynie ułożyć włosy.

Hunter kazał Lazue wyjść, a ona posłuchała.

– Ale my tak przyjemnie spędzaliśmy czas! – zaprotestowała lady Sarah, kiedy drzwi się zamknęły.

– Pani, obawiam się, że Lazue ma wobec ciebie zamiary.

– Wydawał się taki miły – powiedziała. – Ma bardzo delikatny dotyk.

– No cóż – odparł Hunter, zajmując miejsce – rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają.

– W istocie, odkryłam to już dawno – przyświadczyła. – Byłam na pokładzie statku handlowego *Entrepid*, dowodzonego przez kapitana Timothy’ego Warnera, o którym Jego Wysokość król Karol ma jak najlepszą opinię w sprawach wojennych. Imaginuj sobie pan moje zdumienie, kiedy spostrzegłam, że kapitanowi trzęsą się kolana bardziej niż mnie podczas starcia z hiszpańskim okrętem. Krótko mówiąc, był tchórzem.

– Co się stało ze statkiem?

– Został zniszczony.

– Cazalla?

– Tak, on. Wziął mnie jako łup wojenny. Ostrzelał statek i zatopił razem z załogą.

– Wszyscy zabici? – zapytał Hunter, unosząc brwi. Nawet specjalnie się nie dziwił; w dodatku ten incydent dostarczył mu pretekstu, którego sir James mocno potrzebował, żeby usprawiedliwić atak na Matanceros.

– Nie widziałam tego na własne oczy – przyznała lady Sarah. – Ale tak przypuszczam. Byłam zamknięta w kabinie. Potem Cazalla pojmał następny angielski statek.

Co ich spotkało, nie wiem.

– Wierzę – rzekł Hunter z lekkim ukłonem – że zdołali się uratować.

– Być może. – Nie dała po sobie poznać, że rozumie, o co chodzi Hunterowi. – A teraz? Co ze mną zrobicie, włóczędzy? Zakładam, że jestem w szponach piratów.

– Charles Hunter, wolny korsarz, do usług. Płyniemy do Port Royal.  
Westchnęła.

– Ten Nowy Świat jest taki nużący. Sama nie wiem, komu ufać. Wybaczysz mi, panie, że nadal cię podejrzewam.

– Doprawdy, pani – rzucił Hunter, zirytowany na tę drażniącą kobietę, której uratował życie. – Zszedłem tylko zapytać, jak twoja kostka...

– Znacznie lepiej, dziękuję.

– ...i dowiedzieć się, czy poza tym, hm, nic ci nie dolega.

– Ach tak? – Błysnęła oczami. – A może raczej chciałeś wiedzieć, czy Hiszpan mnie zniewolił, żebyś mógł pójść w jego ślady?

– Pani, ja nie...

– A więc zapewniam cię, że Hiszpan nie zabrał mi nic, czego już wcześniej nie straciłam. – Zaśmiała się z goryczą. – Ale zrobił to na swój sposób.

Nagle obróciła się w krześle. Nosila suknię hiszpańskiego kroju, którą znalazła na statku – z wycięciem na plecach. Hunter zobaczył brzydkie pręgi na jej ramionach.

Z powrotem odwróciła się do niego.

– Teraz może rozumiesz – powiedziała. – Chociaż chyba nie. Mam jeszcze inne trofea z pobytu na dworze Filipa w Nowym Świecie.

Lekko opuściła dekolt sukni, żeby pokazać okrągły czerwony ślad na jednej piersi. Zrobiła to tak szybko, tak bezwstydnie, że całkiem go zaskoczyła. Hunter nigdy nie mógł się przyzwyczaić do dobrze urodzonych kobiet z dworu Wesołego Monarchy, które zachowywały się jak ich siostry z gminu. Jak w tych czasach wygląda Anglia?

Dotknęła śladu.

– Oparzenie – wyjaśniła. – Mam inne. Boję się, że zostaną blizny. Każdy mąż szybko pozna prawdę o mojej przeszłości.

Zmierzyła go wyzywającym wzrokiem.

– Pani – powiedział – cieszę się, że w twoim imieniu pozbyłem się tego

łajdaka.

– Iście po męsku! – zawołała i wybuchnęła płaczem. Szlochała przez chwilę, a Hunter stał i nie wiedział, co robić.

– Pani... – zaczął.

, – Piersi były moim największym atutem – zachlipała. – Zazdrościły mi wszystkie szlachetne damy w Londynie. Czy nic nie rozumiesz?

– Pani, proszę...

Hunter niezdarnie zaczął szukać chusteczki, ale nie znalazł. Wciąż miał na sobie podarte odzienie z wyprawy. Rozejrzał się po kabinie, wziął serwetkę ze stołu i podał kobiecie.

Głośno wydmuchała nos.

– Jestem napiętnowana jak pospolity przestępca – oświadczyła przez łzy. – Nigdy nie będę mogła nosić modnych sukien. Jestem zrujnowana.

Hunter nie potrafił jej zrozumieć. Przeżyła, była bezpieczna, wracała do wuja. Czemu płakała? Od wielu dni nie spotkała jej tak pomyślna odmiana losu. Myśląc, że jest niewdzięczna i niezrozumiała, po prostu nalał jej kieliszek wina z karafki.

– Lady Sarah, proszę, przestań się tak zadręczać.

Wzięła wino i jednym haustem opróżniła cały kieliszek.

Pociągnęła nosem i westchnęła.

– W końcu – dodał – moda się zmienia.

Na te słowa znowu zalała się łzami.

– Mężczyźni, mężczyźni – zajęczała. – I wszystko dlatego, że wybrałam się z wizytą do wuja. O, ja nieszczęsna!

Rozległo się pukanie do drzwi i jakiś marynarz wsadził głowę do środka.

– Przepraszam, kapitanie, ale pan Enders mówi, że przybijemy do lądu w ciągu szklanki, a potem otwieramy kufry okrętowe.

– Muszę wracać na pokład – powiedział Hunter i wyszedł z kabiny.

Lady Sarah ponownie wybuchnęła płaczem; słyszał jej szloch, kiedy zamykał za sobą drzwi.

– W końcu – dodał – moda się zmienia.

Na te słowa znowu zalała się łzami.

– Mężczyźni, mężczyźni – zajęczała. – I wszystko dlatego, że wybrałam się z wizytą do wuja. O, ja nieszczęsna!

Rozległo się pukanie do drzwi i jakiś marynarz wsadził głowę do środka.

– Przepraszam, kapitanie, ale pan Enders mówi, że przybijemy do lądu w ciągu szklanki, a potem otwieramy kufry okrętowe.

– Muszę wracać na pokład – powiedział Hunter i wyszedł z kabiny.

Lady Sarah ponownie wybuchnęła płaczem; słyszał jej szloch, kiedy zamykał za sobą drzwi.

# Rozdział 25

Tego wieczoru, kiedy stanęli na kotwicy w Constantina Bay, pod osłoną niskiej, porośniętej krzakami wyspy, załoga wybrała spośród siebie sześciu marynarzy, żeby wspólnie z Hunterem i Sansonem dokonali przeliczenia skarbu. Było to poważne i uroczyste zadanie.

Chociaż reszta załogi skorzystała z okazji, żeby spić się jak bele hiszpańskim rumem, ośmiu mężczyzn zachowało trzeźwość, dopóki nie zakończyli obliczeń.

Na statku znajdowały się dwa skarbce; otwarto pierwszy i znaleziono pięć skrzyń. Pierwsza skrzynia zawierała perły, niejednolitej jakości, nadal jednak ogromnie cenne. Druga skrzynia była wyładowana złotymi eskudami, które lśniły mętnie w blasku latarni. Eskudy skrupulatnie przeliczono raz i drugi, zanim zamknięto je z powrotem w skrzyni. Złoto w tamtych czasach trafiało się niezwykle rzadko – przewoził je najwyżej jeden hiszpański statek na sto – toteż korsarze nie posiadali się z radości. Pozostałe trzy skrzynie zawierały sztaby srebra z Meksyku. Hunter ocenił, że łączna wartość pięciu skrzyń wynosi ponad dziesięć tysięcy funtów szterlingów.

W stanie wielkiego podniecenia ekipa rachmistrzów rozbiła zamek drugiego skarbcza. Tam znaleźli dziesięć skrzyń i entuzjazm wzrósł jeszcze bardziej, dopóki po otwarciu pierwszej nie ujrzeli błyszczących sztab srebra ze stemplem Peru, kotwicą i koroną. Ale powierzchnia sztab była przebarwiona i nierówna.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Sanson.

Pospiesznie otwarto pozostałe skrzynie. Wszystkie zawierały to samo, wielobarwne srebrne sztabki.

Hunter rozkazał:

– Wezwijcie Żyda.

Don Diego, mrużąc oczy w słabym świetle pod pokładem, walcząc z czkawką po hiszpańskim rumie, spochmurniał na widok srebrnych sztab.

– To nie są dobre nowiny – powiedział powoli.

Zażądał wagi, beczułki z wodą i sztaby srebra z pierwszego skarbcza.

Kiedy wszystko przyniesiono, ekipa rachmistrzów patrzyła, jak Żyd umieścił meksykańską sztabkę na jednej szali i wypróbował kilka sztab peruwiańskiego srebra, aż dobrał taką o idealnie równej wadze.

– To wystarczy – powiedział.

Odłożył na bok sztabki o jednakowej wadze. Postawił przed sobą beczułkę z wodą i zanurzył najpierw meksykańską sztabę. Poziom wody w beczulce się podniósł. Żyd zaznaczył nowy poziom ostrzem sztyletu, żłobiąc rysę w drewnie.

Wyjął meksykańską sztabkę i włożył peruwiańską. Woda podniosła się wyżej niż wyżłobiony znak.

– Co to znaczy, don Diego? Czy to srebro?

– Częściowo – odparł Żyd. – Ale nie całkowicie. Jest jakieś zanieczyszczenie, jakiś inny metal, cięższy od srebra, ale tego samego koloru.

– Czy to *plumbum*?

– Możliwe. Ale ołów ma matową powierzchnię, a to nie. Twierdzę, że to srebro jest zmieszane z *platina*.

Ogólny jęk powitał tę wiadomość. Platyna była bezwartościowa.

– Ile z tego to *platina*, don Diego?

– Nie umiem określić. Żeby dokładnie sprawdzić, potrzebuję lepszych przyrządów. Na oko aż połowa.

– Przekłęci Hiszpanie – warknął Sanson. – Nie tylko okradają Indian, ale i siebie nawzajem. Filip to kiepski król, skoro pozwala się tak otwarcie oszukiwać.

– Wszyscy królowie są oszukiwani – oświadczył Hunter. – Taka już królewska dola.

Ale te sztaby są coś warte... przynajmniej dziesięć tysięcy funtów. Zdobyliśmy wielki skarb.

– Tak – przyświadczył Sanson. – Ale pomyśl, co moglibyśmy zdobyć.

Pozostały inne skarby do przeliczenia. W ładowniach statku spoczywały

artykuły gospodarskie, tkaniny, drewno kampezowe, tytoń i przyprawy, jak chili i goździki. Wszystko to korsarze mogli wystawić na aukcję w dokach Port Royal i zgarnąć za całość niezłą sumkę – ze dwa tysiące funtów.

Przeliczanie ciągnęło się długo w noc, a potem ekipa rachmistrzów dołączyła do reszty załogi w pijaństwie i wesołości. Ani Hunter, ani Sanson nie pili; zamiast tego spotkali się w kajucie Huntera.

Sanson od razu przeszedł do rzeczy.

– Jak tam kobieta?

– Drażliwa – odparł Hunter. – I ciągle płacze.

– Ale nic jej się nie stało?

– Żyje.

– Musimy ją wliczyć do królewskiej dziesięciny – oświadczył Sanson. – Albo gubernatorskiej.

– Sir James się nie zgodzi.

– Na pewno potrafisz go przekonać.

– Wątpię.

– Uratowałeś jego jedyną bratanicę...

– Dla sir Jamesa liczy się interes. Złoto w garści.

– Uważam, że musisz spróbować, w imieniu całej załogi – upierał się Sanson – żeby go wyprowadzić z błędu.

Hunter wzruszył ramionami. W gruncie rzeczy już o tym myślał i zamierzał negocjować tę kwestię z gubernatorem.

Ale nie chciał składać żadnych obietnic Sansonowi.

Francuz nalał wina.

– No – powiedział z zapalem. – Dokonaliśmy wielkich rzeczy, przyjacielu. Jakie masz plany na powrót?

Hunter przedstawił swój projekt, żeby płynąć na południe, a potem trzymać się otwartego morza, dopóki nie odbiją na północ do Port Royal.

– Nie uważasz – zaczął Sanson – że bezpieczniej byłoby podzielić skarb pomiędzy dwa statki i wracać oddzielnie, różnymi trasami?

– Uważam, że powinniśmy trzymać się razem. Dwa statki, widziane z daleka, przedstawiają sobą groźną siłę. W pojedynkę mogą zostać zaatakowane.

– Faktycznie – rzekł Sanson. – Ale te wody patroluje tuzin hiszpańskich okrętów liniowych. Jeśli się rozdzielimy, mało prawdopodobne, żebyśmy obaj napotkali wroga.

– Nie musimy się obawiać hiszpańskich okrętów. Jesteśmy uczciwymi hiszpańskimi statkami handlowymi. Tylko Francuzi albo Anglicy mogą nas zaatakować.

Sanson się uśmiechnął.

– Nie ufasz mi?

– Oczywiście, że nie. – Hunter odwzajemnił uśmiech. – Wolę cię mieć na oku, a skarb pod ręką.

– Niech tak będzie – ustąpił Sanson, ale spojrzenie miał mroczne i Hunter obiecał sobie, że to zapamięta.



# Rozdział 26

Cztery dni później napotkali potwora.

Płynęli bez przygód wzdłuż łańcucha Małych Antyli. Wiatr był pomyślny, morze spokojne; Hunter wiedział, że oddalili się już prawie o sto mil na południe od Matanceros, i z każdą upływającą godziną oddychał coraz swobodniej.

Załoga pracowicie usiłowała przystosować galeon do żeglugi. Hiszpanie doprowadzili *El Trinidad* do fatalnego stanu: olinowanie wystrzępione, żagle podarte albo poprzecierane, pokłady brudne, ładownie cuchnące odpadkami. Ludzie Huntera mieli mnóstwo roboty, kiedy żeglowali na południe, obok Gwadelupy i wyspy San Marino.

W południe czwartego dnia Enders, zawsze czujny, zauważył zmianę na wodzie. Wskazał na sterburłę.

– Spójrz tam – powiedział do Huntera.

Hunter się obejrzał. Morze było spokojne, tylko lekka fala marszczyła gładką powierzchnię.

Lecz zaledwie sto jardów dalej woda się kotłowała – coś dużego zbliżało się do nich z ogromną szybkością.

– Ile robimy? – zapytał Hunter.

– Dziesięć węzłów – odparł Enders. – Matko Boska...

– Jeśli robimy dziesięć, to coś robi dwadzieścia – ocenił Hunter.

– Co najmniej dwadzieścia – przyznał Enders.

Obejrzał się na załogę. Nikt niczego nie zauważył.

– Zwrot w stronę lądu – rozkazał Hunter. – Kieruj nas na płytszą.

– Krakeny nie lubią płytkiej wody – stwierdził Enders.

– Miejmy nadzieję, że nie lubią.

Podwodny kształt podpłynął bliżej i minął statek w odległości około

pięćdziesięciu jardów.

Hunter dostrzegł przełomie skórę w trupim białoszarym odcieniu, cień macek, a potem stwór zniknął. Odpłynął, zatoczył koło i wrócił.

Enders klepnął się w policzek.

– Ja śnię – jęknął. – Na pewno. Powiedz, że to nieprawda.

– To prawda – powiedział Hunter.

Z bocianiego gniazda na grotmaszcie pełniąca wachtę Lazue zagwizdała do Huntera. Ona też zobaczyła stwora. Hunter podniósł na nią wzrok i pokręcił głową, żeby milczała.

– Dzięki Bogu, że nie narobiła krzyku – mruknął Enders. – Tego nam tylko brakowało.

– Płytką woda – powtórzył Hunter z naciskiem. – I to szybko.

Patrzył, jak kipiela ponownie się zbliża.

Na szczycie grotmasztu, wysoko ponad czystą błękitną wodą, Lazue wyraźnie widziała ruchy krakena. Serce podeszło jej do gardła, ponieważ to była legendarna bestia, temat pieśni żeglarskich i bajek opowiadanych dzieciom marynarzy. Niewielu jednak widziało takiego potwora i Lazue wcale się nie cieszyła, że trafiła jej się taka okazja. Serce niemal jej przestało bić, kiedy patrzyła, jak stwór znowu się zbliża z zatrważającą szybkością, burząc powierzchnię oceanu.

Podpłynął do *El Trinidad* tak blisko, że zobaczyła go w całości. Miał trupioszarą skórę, spiczasty pysk i bulwiasty tułów długości co najmniej dwudziestu stóp, za którym ciągnęła się płatanina długich macek, jak węże na głowie Meduzy. Przeplłynął pod statkiem, nie dotykając kadłuba, ale fala wywołana przez jego ruchy zakołysała galeonem. Potem wynurzył się po drugiej stronie i zanurkował w błękitną głębinę. Lazue otarła pot z czoła.

Lady Sarah Almont wyszła na pokład i zastała Huntera wyglądającego za burzę.

– Dzień dobry, kapitanie – powiedziała.

Odwrócił się i skłonił lekko.

– Pani.

– Kapitanie, bardzo pan zbladł. Czy wszystko w porządku?

Zamiast odpowiedzieć, Hunter przebiegł na drugą stronę pokładu i znowu wyjrzał za burzę.

Enders przy sterze zapytał:

– Widzisz to?

– Co? – zapytała lady Sarah.

– Nie – odparł Hunter. – Zanurzyło się.

– Mamy pod kilem ze trzydzieści sążni – powiedział Enders. – Dla niego to płycizna.

– Dla kogo? – zapytała lady Sarah, ślicznie nadaśana.

Hunter podszedł do niej.

– Może wrócić – ostrzegł Enders.

– Owszem – przytaknął Hunter.

Lady Sarah przenosiła wzrok z Huntera na Endersa. Obaj mężczyźni byli bladzi i spływali zimnym potem.

– Kapitanie, nie jestem marynarzem. Co to ma znaczyć?

Enders nie wytrzymał napięcia i eksplodował:

– Na rany Boga, kobieto, właśnie widzieliśmy...

– ...omen – gładko wszedł mu w słowo Hunter, piorunując go wzrokiem. – Omen, pani.

– Omen? Jesteś pan przesądny, kapitanie?

– Tak, nasz kapitan jest bardzo przesądny – potwierdził Enders, spoglądając na horyzont.

– Przecież widzę – zawołała lady Sarah i tupnęła nogą – że nie chcecie mi powiedzieć, co się stało!

– Zgadza się – przyznał Hunter z uśmiechem. Miał czarujący uśmiech, pomimo bladości. On potrafi być naprawdę irytujący, pomyślała.

– Wiem, że jestem kobietą – zaczęła – ale naprawdę nalegam...

W tej samej chwili Lazue krzyknęła:

– Żagiel ahoy!

Wyteżywszy wzrok, Hunter dostrzegł przez lunetę kwadratowy żagiel dokładnie za rufą, wyłaniający się zza linii horyzontu. Odwrócił się do Endersa, ale wilk morski wyszczeniwał już rozkazy postawienia wszystkich żagli, którymi

dysponował *El Trinidad*. Bramsle nie były zrefowane; wciągnięto kliwer i galeon nabrał szybkości.

W kierunku *Kasandry* oddano strzał ostrzegawczy, pół mili przed dziobem. Wkrótce mały słup również postawił wszystkie żagle.

Hunter znowu spojrział przez lunetę. Żagle na horyzoncie nie powiększyły się – ale również nie zmały.

– Na krew Chrystusa, między jednym potworem a drugim – jęknął Enders. – Jak nam idzie?

– Trzymamy się – odparł Hunter.

– Niedługo musimy zejść z tego kursu – oświadczył Enders.

Hunter kiwnął głową. *El Trinidad* płynął swobodnie ze wschodnim wiatrem, ale obecny kurs znosił go za bardzo na zachód, w stronę łańcucha wysp po prawej. Wkrótce znajdą się na płyciźnie; przedtem muszą zmienić kurs. Dla każdego statku zmiana kursu oznaczała chwilowy spadek szybkości. Galeon, na którym brakowało ludzi, będzie wyjątkowo powolny.

– Może zrobić zwrot przez rufę? – zapytał Hunter.

Enders pokręcił głową.

– Nie odważę się, kapitanie. Mamy za mało ludzi.

– W czym problem? – odezwała się lady Sarah.

– Cicho – warknął Hunter. – Zejdź na dół.

– Ja nie...

– Na dół! – ryknął.

Cofnęła się, ale nie zeszła pod pokład. Stała w pewnej odległości i patrzyła, jakby oglądała przedziwny spektakl. Ten mężczyzna, Lazue, zsunął się po olinowaniu zwinnie jak kot, z niemal kobiecą gracją. Lady Sarah doznała szoku, kiedy wiatr przycisnął bluzę Lazue do ciała i wyraźnie dostrzegła zarys piersi. Zatem ten delikatny mężczyzna był kobietą! Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ Hunter, Lazue i Enders pograżyli się w ożywionej rozmowie. Hunter pokazał jej ścigający statek i łańcuch wysp po prawej stronie.

Wskazał na bezchmurne niebo, na słońce chylące się ku zachodowi. Lazue marszczyła brwi.

– Na jaką wyspę płyniemy? – zapytała.

- Kocią – odparł Enders, wskazując dużą wyspę w łańcuchu innych.
- Zatoka Mała?
- Tak – potwierdził Enders. – Zatoka Mała.
- Znasz ją? – zapytał Hunter.
- Tak, ale minęło parę lat i port jest od nawietrznej. Jak księżyc?
- W trzeciej kwadrze – odpowiedział Hunter.
- I nie ma chmur – dodała Lazue. – Szkoda.

Wszyscy pokiwali głowami i zrobili bardzo ponure miny.

Potem Lazue zapytała:

- Lubisz hazard?
- Wiesz, że tak – powiedział Hunter.
- Więc każ zmienić kurs i zobaczymy, czy prześcigniemy ten statek. Jeśli tak, wszystko cacy. Jeśli nie, damy sobie radę.
- Ufam twoim oczom – zapewnił Hunter.
- Zrób to – poradziła Lazue i znowu wdrapała się po olinowaniu na bocianie gniazdo.

Lady Sarah nic nie rozumiała z tej rozmowy, chociaż doskonale wyczuwała napięcie i lęk.

Nadal stała przy relingu i spoglądała na horyzont – gdzie widziała już wyraźnie, nawet gołym okiem, żagle ścigającego statku – aż wreszcie Hunter podszedł do niej. Teraz, kiedy podjął decyzję, wydawał się bardziej odprężony.

- Nie zrozumiałam ani słowa – wyznała lady Sarah.
- To całkiem proste – powiedział Hunter. – Widzisz ten statek, który za nami płynie?
- Widzę.
- I widzisz tę wyspę na nawietrznej, Kocią Wyspę?
- Widzę.
- Tam jest zatoka, nazywana Zatoką Małą. To nasza pierwsza kryjówka, jeśli tam dotrzemy.

Przeniosła spojrzenie ze ścigającego statku na wyspę.

- Przecież jesteście blisko wyspy, to nic trudnego.
- Widzisz słońce?

– Tak...

– Słońce opada na zachód. Za godzinę woda zacznie błyszczeć tak mocno, że oczy cię rozbolą. I nie zobaczymy podwodnych przeszkód przy wchodzeniu do zatoki. Na tych wodach statek nie może płynąć pod słońce, jeśli nie chce ryzykować rozerwania dna o korale.

– Ale Lazue wchodziła już do tego portu.

– Owszem, ale to port od nawietrznej. Nawietrzne porty są wystawione na sztormy i silne prądy otwartego oceanu, dlatego się zmieniają. Piaszczysta mielizna może się przesunąć w ciągu paru dni czy tygodni. Zatoka Małp może wyglądać zupełnie inaczej, niż Lazue pamięta.

– Och. – Milczała przez chwilę. – Więc dlaczego płyniemy do portu? Nie zatrzymywałeś się od trzech nocy. Popłyniesz dalej i zgubisz tamten statek w ciemnościach – rzekła, bardzo zadowolona z tego rozwiązania.

– Jest księżyc – odparł ponuro Hunter. – W trzeciej kwadrze, wzejdzie dopiero po północy. Ale wystarczy, żeby tamten statek nas wyśledził... będziemy mieli tylko cztery godziny prawdziwej ciemności. Nie zgubimy go w takim krótkim czasie.

– Więc co zrobicie?

Hunter podniósł lunetę i zlustrował horyzont. Ścigający statek powoli ich doganiał.

– Popłynę do Zatoki Małp. Pod słońce.

– Przygotować się! – krzyknął Enders.

Statek obrócił się pod wiatr, wolno, ociężale zmieniając kurs. Upłynął cały kwadrans, zanim znowu nabrali szybkości, a przez ten czas żagle ścigającego statku znacznie urosły.

Spoglądając przez lunetę, Hunter dostrzegł w tych żaglach coś przygnębiająco znajomego.

– Chyba nie myślisz...

– Co?

– Lazue! – krzyknął Hunter i wskazał na horyzont.

Na górze Lazue przyłożyła lunetę do oka.

– I co widzisz?

Lazue odkrzyknęła:

– Nasz stary przyjaciel!

Enders jęknął.

– Okręt Cazalli? Czarny okręt?

– Ten sam.

– Kto nim teraz dowodzi? – zapytał Enders.

– Bosquet, ten Francuz – odparł Hunter, przypominając sobie szczupłego, opanowanego mężczyznę, którego widział wchodzącego na pokład w Matanceros.

– Słyszałem o nim – oświadczył Enders. – Zręczny i solidny żeglarz, zna się na rzeczy. – Westchnął. – Szkoda, że za sterem nie stoi Hiszpan, mielibyśmy większe szanse.

Hiszpanie cieszyli się zasłużoną sławą fatalnych żeglarzy.

– Jak długo do lądu?

– Pełna godzina – oznajmił Enders – może dłużej. Jeśli przesmyk jest wąski, trzeba będzie zwinąć trochę żagli.

To jeszcze bardziej ograniczy ich szybkość, ale nie było rady. Jeśli chcieli zachować kontrolę nad statkiem na zamkniętych wodach, musieli zrefować żagle.

Hunter znowu popatrzył na ścigający statek. Zmieniał kurs, skręcał na zawietrzną. Na chwilę stracił rozpęd, ale wkrótce znowu pruł przed siebie z pełną szybkością.

– To będzie prawie na styk – stwierdził Hunter.

– Zgadza się – przytaknął Enders.

Lazue wysoko na olinowaniu wyciągnęła lewe ramię. Enders zmienił kurs, patrząc, dopóki nie opuściła ręki. Potem trzymał stały kurs. Po chwili Lazue uniosła zgięte prawe ramię.

Enders ponownie skorygował kurs, skręcając lekko na sterburtę.

Na górze Lazue przyłożyła lunetę do oka.

– I co widzisz?

Lazue odkrzyknęła:

– Nasz stary przyjaciel!

Enders jęknął.

– Okręt Cazalli? Czarny okręt?

– Ten sam.

– Kto nim teraz dowodzi? – zapytał Enders.

– Bosquet, ten Francuz – odparł Hunter, przypominając sobie szczupłego, opanowanego mężczyznę, którego widział wchodzącego na pokład w Matanceros.

– Słyszałem o nim – oświadczył Enders. – Zręczny i solidny żeglarz, zna się na rzeczy. – Westchnął. – Szkoda, że za sterem nie stoi Hiszpan, mielibyśmy większe szanse.

Hiszpanie cieszyli się zasłużoną sławą fatalnych żeglarzy.

– Jak długo do lądu?

– Pełna godzina – oznajmił Enders – może dłużej. Jeśli przesmyk jest wąski, trzeba będzie zwinąć trochę żagli.

To jeszcze bardziej ograniczy ich szybkość, ale nie było rady. Jeśli chcieli zachować kontrolę nad statkiem na zamkniętych wodach, musieli zrefować żagle.

Hunter znowu popatrzył na ścigający statek. Zmieniał kurs, skręcał na zawietrzną. Na chwilę stracił rozpęd, ale wkrótce znowu pruł przed siebie z pełną szybkością.

– To będzie prawie na styk – stwierdził Hunter.

– Zgadza się – przytaknął Enders.

Lazue wysoko na olinowaniu wyciągnęła lewe ramię. Enders zmienił kurs, patrząc, dopóki nie opuściła ręki. Potem trzymał stały kurs. Po chwili Lazue uniosła zgięte prawe ramię.

Enders ponownie skorygował kurs, skręcając lekko na sterburtę.



# Część IV

## ZATOKA MAŁP

### Rozdział 27

*El Trinidad* kierował się do Zatoki Małp.

Na pokładzie *Kasandry* Sanson obserwował manewry większego statku.

– Na krew Ludwika, oni płyną do brzegu! – zawołał. – Pod słońce!

– To szaleństwo – jęknął człowiek przy sterze.

– Słuchaj no – rzucił Sanson, obracając się do niego gwałtownie. – Skręć i wejdź w kilwater tej hiszpańskiej świni, i trzymaj się go dokładnie. Mówię: dokładnie. Nasz dziób musi się wbijać w ich rufę, inaczej wpakuję ci nóż w serce.

– Jak oni mogą płynąć pod słońce? – zajęczał ponownie sternik.

– Mają oczy Lazue – odparł Sanson. – Może to wystarczy.

\* \* \*

Lazue uważała, gdzie patrzy. Uważała również na ruchy rąk, ponieważ każdy przypadkowy gest mógł spowodować zmianę kursu. W tej chwili spoglądała na zachód, trzymając lewą dłoń płasko pod nosem, żeby zasłonić odbicie słońca od wody tuż przed dziobem.

Patrzyła tylko na ląd – spadziste zielone kontury Kociej Wyspy, na razie płaski obrys, bez głębi.

Wiedziała, że kiedy podpłyną bliżej, w pewnej chwili kontury wyspy zaczną

się rozpadać, ukazywać szczegóły, i wtedy zobaczy wejście do Zatoki Małp. Do tej pory jej zadanie polegało na utrzymywaniu najprostszego kursu do miejsca, gdzie spodziewała się znaleźć wejście.

Wysokość pomagała; z punktu obserwacyjnego na szczycie grotmasztu Lazue widziała kolor wody na wiele mil przed sobą, misterny wzór zieleni i błękitów o różnym nasyceniu. Jej umysł rejestrował je jako głębie; odczytywała je równie łatwo jak mapy sporządzone przy użyciu sondy. Nie była to błaża umiejętność. Zwykły marynarz, znający przejrzyste karaibskie wody, naturalnie zakładał, że głęboki błękit oznacza głębie, a zieleń jeszcze większą głębie. Lazue wiedziała lepiej; nad piaszczystym dnem woda może mieć jasnoblękitny odcień, chociaż głębokość wynosi pięćdziesiąt stóp. Albo ciemna zieleń może oznaczać trawę morską rosnącą na głębokości zaledwie dziesięciu stóp. A słońce przesuwające się w ciągu dnia wyczynia dziwne sztuczki: wczesnym rankiem albo późnym popołudniem wszystkie kolory są ciemniejsze, bardziej intensywne, co trzeba uwzględnić podczas obserwacji.

Na razie jednak Lazue nie przejmowała się głębokością. Badała kolory linii brzegowej, wypatrując jakiegoś szczegółu wskazującego wejście do zatoki. Pamiętała, że Zatoka Małp to ujście małej rzeczki ze słodką wodą, jak prawie w każdej bezpiecznej przystani. Wiele zatok na Karaibach nie nadawało się dla dużych statków, ponieważ przybrzeżne rafy koralowe nie miały żadnych prześwitów. Żeby powstała przerwa, konieczny był dopływ słodkiej wody, jako że w słodkiej wodzie korale nie rosną.

Lazue, obserwująca wodę w pobliżu linii brzegowej, wiedziała, że przerwa nie musi znajdować się w pobliżu samego strumienia. W zależności od prądów, które niosły słodką wodę do morza, przejście w rafach mogło powstać ćwierć mili dalej na południe lub na północ. Tak czy owak prądy często powodowały brązowe zmętnienie wody i zmianę w wyglądzie powierzchni.

Obserwowała uważnie i wreszcie zobaczyła zmianę na południe od bieżącego kursu statku.

Zasygnalizowała poprawkę Endersowi. Kiedy *El Trinidad* podpłynął bliżej, ucieszyła się, że wilk morski nie wie, z czym mu się przyszło zmierzyć; zemdlałby, gdyby zobaczył, jak wąski jest przesmyk w rafie. Po obu stronach

wierzchołki koralu niemal dotykały powierzchni, a otwarta przestrzeń pomiędzy nimi liczyła nie więcej niż dwanaście jardów.

Zadowolona z nowego kursu Lazue na kilka minut zamknęła oczy. Czuła różowy blask zachodzącego słońca na powiekach, nie czuła natomiast kołysania statku ani wiatru w żaglach, ani zapachu morza. Całkowicie skupiła się na swoich oczach, żeby wypoczęły. Nic się nie liczyło, tylko oczy. Oddychała głęboko i powoli, przygotowując się na nadchodzący wysiłek, gromadząc energię, wyostrowając koncentrację.

Wiedziała, jak to się stanie; знаła nieuniknioną kolejność – łatwy początek, a potem pierwszy ból w oczach, narastający ból, potem łzy, piekące, palące. Po godzinie będzie całkiem wyczerpana, ze zwiotczalymi mięśniami. Będzie potrzebowała snu, jakby nie spała od tygodnia, i prawdopodobnie przewróci się, gdy tylko zejdzie na pokład.

Właśnie na ten nadchodzący, potężny wysiłek teraz się przygotowywała: głęboko oddychała, z zamkniętymi oczami.

\* \* \*

Enders przy sterze koncentrował się w zupełnie inny sposób. Oczy miał szeroko otwarte, ale prawie nie zwracał uwagi na to, co widzi. Czuł rumpel w rękach; jego nacisk na dłonie; przechyły pokładu pod stopami; bulgotanie wody opływającej kadłub; wiatr na policzkach; wibracje olinowania; cały złożony układ sił i napięć tworzących trym statku. W swojej absolutnej koncentracji Enders stawał się wręcz częścią statku, połączony z nim niemal fizycznie, niczym mózg kierujący ciałem, znający jego stan w najdrobniejszych szczegółach.

Potrafił ocenić jego szybkość co do ułamka węzła; wyczuwał złe strymowanie każdego żagla; wiedział, kiedy jakiś ładunek przesunął się w luku i dokąd; wiedział, kiedy statek płynie gładko, kiedy spisuje się najlepiej; wiedział, kiedy przekracza tę granicę i jak długo wytrzyma przeciążenie, i jak bardzo można go przeciążyć.

To wszystko mógł powiedzieć z zamkniętymi oczami. Nie umiał wytłumaczyć, skąd to wiedział, ale wiedział. Teraz, pracując z Lazue, martwił się

właśnie dlatego, że musiał przekazać komuś innemu częściową kontrolę. Sygnały rąk Lazue oznaczały dla niego coś, czego nie mógł wyczuć bezpośrednio; jednak ślepo stosował się do jej wskazówek, ponieważ musiał jej zaufać. Ale denerwował się z tego powodu; pocił się przy sterze, czując mocniejszy wiatr na wilgotnych policzkach, i wprowadzał więcej poprawek, kiedy Lazue wyciągała ramiona.

Kierowała statek na południe. Widocznie wypatrzyła przejście w rafach, pomyślał, i teraz płynęli do niego. Wkrótce przekroczą przesmyk. Na samą myśl jeszcze bardziej się spocił.

\* \* \*

Huntera całkowicie pochłaniały inne zmartwienia. Chodził tam i z powrotem, od dziobu do rufy, nie zwracając uwagi na Lazue ani na Endersa. Hiszpański okręt wojenny zbliżał się z każdą upływającą minutą; górna krawędź grotu rysowała się teraz wyraźnie na horyzoncie. Nadal płynął pod pełnymi żaglami, podczas gdy *El Trinidad*, teraz w odległości zaledwie mili od wyspy, zrzucił większość żagli.

Tymczasem *Kasandra* została z tyłu za większym statkiem, odbiła na lewo, żeby statek Huntera pokazał jej kurs do zatoki. Ten manewr był konieczny, ale żagle Huntera zabierały wiatr *Kasandrze* i mały statek zwalniał. Nie mógł rozwinąć dostatecznej szybkości, dopóki nie znajdzie się dokładnie za rufą *El Trinidad*. Wtedy musi się trzymać blisko Huntera, bo inaczej będzie wystawiony na atak hiszpańskiego okrętu.

Kłopoty zaczną się przy wchodzeniu do zatoki. Drugi statek musi płynąć tuż za pierwszym; jeśli *El Trinidad* nie pokona gładko przesmyku, *Kasandra* może go staranować i uszkodzić obie jednostki. Gdyby do tego doszło w samym przesmyku, zacząłby się koszmar, oba statki zatonęłyby na rafach. Hunter miał pewność, że Sanson zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa; wiedział również, że Sanson nie odważy się zanadto zostać z tyłu.

Zapowiadał się bardzo zdradliwy manewr. Hunter przebiegł na dziób i spojrział ponad migotliwym blaskiem rozświetlonej wody na Zatokę Małą. Widział teraz zakrzywiony palec górzystego lądu, wysunięty z wyspy i tworzący

osłoniętą zatokę.

Samego przesmyku w rafach nie dostrzegał; przejście kryło się gdzieś pod taflą roziskrzzonej wody.

Podniósł wzrok na grotmaszt i zobaczył, że Lazue daje sygnał Endersowi – uniesioną pięścią uderzyła w drugą otwartą dłoń.

Enders natychmiast wyszczeekał rozkazy, żeby opuścić więcej zagli. Hunter wiedział, że to znaczyło tylko jedno: zbliżyli się do przesmyku w rafie. Zmrużonymi oczami wpatrzył się w blask, ale nic nie zobaczył.

– Soudy! Na sterburtę i bakburtę! – krzyknął Enders.

Wkrótce dwaj marynarze po obu stronach dziobu zaczęli na zmianę wykrzykiwać wyniki sondowania. Pierwszy zaniepokoił Huntera.

– Pełne pięć!

Pięć sążni – trzydzieści stóp – to już płycizna. *El Trinidad* miał trzy sążnie zanurzenia, więc zostało niewiele zapasu. Na płytkich wodach koralowe podwodne ławice nierzadko wypiętrzały się na kilka stóp pod samą powierzchnię w nieregularnych odstępach. A ostre koralce rozedrą drewniany kadłub jak papier.

– *Cinq et demi!* – rozległ się następny okrzyk.

To już lepiej. Hunter czekał.

– Pełne sześć i więcej!

Odetchnął trochę swobodniej. Widocznie minęli zewnętrzną rafę – większość wysp miała dwa pierścienie raf, płytszy wewnętrzny i głębszy zewnętrzny. Teraz mieli przed sobą krótki odcinek bezpiecznej wody, zanim dopłyną do zdradliwej wewnętrznej rafy.

– *Moins six!* – rozbrzmiał okrzyk.

Znowu robiło się płytko. Hunter jeszcze raz obejrzał się na Lazue, wysoko na grotmaszcie.

Wychylała się do przodu, odprężona, niemal obojętna. Nie widział wyrazu jej twarzy.

\* \* \*

Ciało Lazue rzeczywiście rozluźniło się do tego stopnia, że groził jej

upadek z wysokiego punktu obserwacyjnego. Lekko przytrzymała się poręczy, wychylona do przodu; ramiona jej obwisły; wszystkie mięśnie zwiotczały.

Twarz jednak miała napiętą i skurczoną, wargi ściągnięte w zastygłym grymasie, zęby zaciśnięte, kiedy wpatrywała się w blask. Mrużyła oczy już tak długo, że powieki jej trzepotały ze zmęczenia. Ale to jej nie przeszkadzało, nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, ponieważ już dawno zapadła w rodzaj transu.

Jej świat składał się z dwóch czarnych kształtów – wyspy z przodu i dziobu statku w dole.

Rozdzielał je płaski, migotliwy przestwór, nieznośnie błyszcząca woda, falująca w hipnotycznym rytmie.

Lazue nie dostrzegała niemal żadnych szczegółów roziskrzonej powierzchni. Od czasu do czasu migwały jej przelotnie podwodne ławice koralu – czarne plamki w oślepiającej bieli.

Kiedy indziej, jeśli porywisty wiatr przycichał, na mgnienie pojawiał się obraz prądów i wirów, które maciły jednolity wzór iskier.

Poza tymi krótkimi chwilami woda stanowiła nieprzejrzystą, rozpaloną srebrną płaszczyznę.

Lazue prowadziła statek przez ten oślepiający blask całkowicie na pamięć, ponieważ utrzymała sobie przed oczami wszystkie mielizny, ławice koralu i piaszczyste łachy ponad pół godziny wcześniej, kiedy statek znajdował się dalej od brzegu i woda była przejrzysta. Stworzyła w wyobraźni szczegółowy obraz, wykorzystując punkty orientacyjne na brzegu i na morzu.

Teraz, spoglądając prosto w dół, na wodę opływającą śródkręcie – przezroczystą wodę – mogła ustalić położenie *El Trinidad* w stosunku do myślowego obrazu. Widziała, jak okrągła głowa koralu mózgowego, przypominającego gargantuiczny kalafior, przesuwa się w głębi za bakburtą. To znaczyło, że powinni skrócić na północ; wyciągnęła prawą rękę i patrzyła, jak czarny szpic dziobu obraca się powoli. Odczekała, aż znajdzie się w jednej linii z uschniętą palmą na brzegu. Potem opuściła rękę; Enders utrzymał nowy kurs.

Wyteżyła wzrok. Zobaczyła pod wodą koralu, wyznaczające brzegi kanału. Płynęli prosto na przesmyk. Pamiętała, że przed wylotem kanału muszą lekko odbić na sterburtę, żeby ominąć następną kolonię koralu. Wyciągnęła prawą rękę.

Enders skorygował kurs.

Spojrzała prosto w dół. Druga koralowa głowa przesunęła się niebezpiecznie blisko kadłuba; statek zadygotał, szorując po ostrych krawędziach, ale przepłynął.

Wyciągnęła lewą rękę i Enders znowu zmienił kurs. Ponownie ustawiła dziób na jednej linii z uschniętą palmą i czekała.

Chrobotanie koralowca o kadłub zelektryzowało Endersa; nerwy miał napięte do ostateczności i kiedy usłyszał właśnie ten odgłos, którego się obawiał, podskoczył przy sterze; lecz kiedy wibracja zaczęła się przesuwać w kierunku rufy, zrozumiał, że tylko pocałują koral, i odetchnął głęboko.

Czuł, jak wibracja zbliża się do niego przez całą długość kadłuba. W ostatniej chwili wypuścił rumpel, zdając sobie sprawę, że ster to najbardziej narażona na uszkodzenie podwodna część statku. Nawet przy zwykłym otarciu, które tylko zeszkrobało pąkle z kadłuba, sztywno trzymana płetwa sterowa mogła pęknąć, dlatego Enders puścił ją luzem. Potem znowu ujął rumpel w dłoń i dalej wypełniał instrukcje Lazue.

– Przez nią nawet wąż złamałby sobie kręgosłup – burknął, prowadząc *El Trinidad* krętym kursem do Zatoki Małp.

– Poniżej czterech! – krzyknął sondujący.

Hunter na dziobie, pomiędzy dwoma marynarzami trzymającymi sondy, obserwował roziskrzoną wodę przed dziobem. Z przodu nie widział dosłownie nic; spoglądając w bok, dostrzegał koralowe formacje straszliwie blisko powierzchni, ale jakimś cudem *El Trinidad* je omijał.

– *Trois et demi!*

Zgrzytnął zębami. Dwadzieścia stóp wody. Niewiele mniej potrzeba do katastrofy. Załedwie to pomyślał, statek uderzył w następną koralową formację, tym razem jednak nastąpił tylko pojedynczy ostry wstrząs, a potem nic. Statek odłamał wierzchołek koralu i popłynął dalej.

– Trzy i jeden!

Stracili kolejną stopę. Statek rozcinał migotliwą powierzchnię morza.

– *Merde!* – wrzasnął drugi marynarz i pobiegł na rufę. Hunter wiedział, co się stało: lina zaplątała się w koralach i uwięzła; marynarz próbował ją odzepić.

– Pełne trzy!

Hunter zmarszczył brwi – powinni już osiąść na mieliźnie, zgodnie z tym, co mówili hiszpańscy więźniowie. Przysięgali, że *El Trinidad* ma całe trzy sążnie zanurzenia.

Najwyraźniej się mylili; statek nadal płynął gładko ku wyspie. Hunter w duchu przeklął hiszpańskich żeglarzy.

Wiedział jednak, że nie mogli się dużo pomylić; statek tej wielkości na pewno miał zanurzenie niewiele mniejsze niż trzy sążnie.

– Pełne trzy!

Nadal płynęli. A potem z nagłym przestraszeniem Hunter ujrzał przesmyk, rozpaczliwie wąski kanał pomiędzy podwodnymi ławicami koralu. *El Trinidad* znajdował się dokładnie na środku kanału, i całe szczęście, ponieważ z obu stron zostało nie więcej niż pięć jardów zapasu.

Hunter obejrzał się na Endersa, który właśnie zobaczył koralowce po obu stronach statku.

Enders się przeżegnał.

– Pełne pięć! – krzyknął ochryple sondujący.

Załoga wydała radosny okrzyk. Znaleźli się za pierścieniem raf, na głębszej wodzie, i kierowali się teraz na północ, do osłoniętej zatoczki pomiędzy wybrzeżem wyspy a zakrzywionym palcem górzystego lądu, oddzielającym zatokę od morza.

Hunter widział teraz Zatokę Małą w całej okazałości. Na pierwszy rzut oka ocenił, że nie była to idealna przystań dla jego statków. Woda, głęboka przy ujściu, w samej zatoce szybko robiła się płytka. Galeon będzie musiał kotwiczyć w miejscu odsłoniętym na ocean, co z wielu powodów wcale nie odpowiadało Hunterowi.

Obejrzał się i zobaczył, że *Kasandra* bezpiecznie pokonała przesmyk, płynąc za statkiem Huntera tak blisko, że widział zaniepokojoną minę sondującego na jej dziobie. A za *Kasandrą* płynął hiszpański okręt wojenny, teraz oddalony zaledwie o dwie mile.

Ale słońce zachodziło. Okręt nie zdąży wpłynąć do Zatoki Małej przed nocą. A jeśli Bosquet postanowi zaatakować rano, Hunter będzie gotowy na spotkanie.



– Rzucić kotwicę! – krzyknął Enders. – Szybko!

*El Trinidad* zadygotał i zatrzymał się w zapadającym zmierzchu. *Kasandra* prześliznęła się obok niego i wpłynęła dalej do zatoki; mniejszy statek, o mniejszym zanurzeniu, mógł kotwiczyć na płytszym miejscu. Po chwili kotwica Sansona plusnęła w wodę i oba statki znieruchomiały.

Byli bezpieczni, przynajmniej na razie.

# Rozdział 28

Po pełnej napięcia przeprawie przez rafy załogi obu statków okazywały hałaśliwą radość.

Ludzie śmiali się i krzyczeli, wymieniali gratulacje i obrzucali się żartobliwymi obelgami ponad ciemniejącą wodą. Hunter nie brał udziału w ogólnym świętowaniu. Stał na rufowym kasztelu galeonu i patrzył, jak okręt dalej płynie w ich stronę, chociaż szybko zapadał zmrok.

Hiszpański okręt wojenny znajdował się teraz pół mili od zatoki, tuż za przesmykiem w rafie.

Bosquet ma sporo odwagi, pomyślał Hunter, żeby podejść tak blisko po ciemku. Podejmował również wielkie i niepotrzebne ryzyko.

Enders, który też patrzył, wypowiedział na głos wiszące w powietrzu pytanie:

– Dlaczego to robi?

Hunter pokręcił głową. Zobaczył, jak z okrętu rzucają linę kotwiczną; usłyszał plusk, kiedy kotwica wpadła w wodę.

Wroga jednostka znajdowała się tak blisko, że Hunter słyszał komendy wykrzykiwane po hiszpańsku. Na rufie trwała gorączkowa krzątanina; rzucono drugą kotwicę.

– To nie ma sensu – stwierdził Enders. – Dookoła całej mile głębokiej wody, żeby przetrwać noc, a on staje na czterech sążniach.

Hunter patrzył. Z boku wyrzucono następną kotwicę rufową i wiele rąk ciągnęło za linę. Rufa okrętu obróciła się w stronę brzegu.

– Niech mnie – powiedział Enders. – Nie myślisz chyba...

– Myślę – przerwał mu Hunter. – Ustawia się do strzału. Podnieść kotwicę.

– Podnieść kotwicę! – krzyknął Enders do zdumionej załogi. – Przygotować kliwer! Żywo tam z linami! – Odwrócił się do Huntera. – Na pewno osiadziemy na mieliźnie.

– Nie mamy wyboru – odparł Hunter.

Zamiary Bosqueta były całkiem jasne. Zakotwiczył w wejściu do zatoki, tuż poza rafą, ale w odległości wystarczającej dla dział okrętowych. Zamierzał tam zostać i ostrzeliwać galeon przez całą noc. Jeżeli Hunter nie odpłynie poza zasięg ostrzału, ryzykując utknięcie na mieliźnie, do rana oba jego statki zostaną zniszczone.

I rzeczywiście zobaczyli, że na burcie hiszpańskiego okrętu otwierają się furty działowe i wysuwają się lufy armat. Gruchnęła salwa, kule ze świstem przeleciały przez olinowanie *El Trinidad*a i chlupnęły w wodę.

– Ruszaj pan, panie Enders – warknął Hunter.

Jakby w odpowiedzi hiszpański okręt oddał drugą salwę, tym razem celniejszą. Kilka kul trafiło w *El Trinidad*, roztrzaskując drewno, rozdzierając liny.

– Niech mnie diabli – jęknął Enders z takim bólem w głowie, jakby sam odniósł rany.

Ale statek Huntera już ruszył i cal po calu wysuwał się poza zasięg ostrzału, toteż następna salwa trafiła nieszkodliwie w wodę równym szeregiem plusków, w imponująco prostej linii.

– Dobrą mają załogę – zauważył Enders.

– Czasami – burknął Hunter – za bardzo się zachwycasz sztuką żeglarską.

Teraz już całkiem się ściemniło; czwartą salwę zobaczyli jako szereg ognistych czerwonych rozbłysków na tle czarnej sylwetki okrętu. Słyszeli, ale nie widzieli, jak kule z pluskiem wpadają do wody za rufą.

A potem niski, pagórkowaty cypel przesłonił nieprzyjacielski okręt.

– Rzucić kotwicę! – krzyknął Enders, ale za późno. W tej samej chwili *El Trinidad* z cichym chrzęstem osiadł na piaszczystym dnie Zatoki Małej.

Tej nocy, siedząc samotnie w kabinie, Hunter dokonał podsumowania sytuacji. Wcale się nie przejmował, że osiedli na mieliźnie; trwał odpływ, a za parę godzin woda się podniesie i z łatwością uwolni statek.

Na razie oba statki były bezpieczne. Zatoka nie była idealna, ale się nadawała; mieli słodką wodę i zapasy w ilości wystarczającej, żeby wytrzymać ponad dwa tygodnie bez zbytnich wyrzeczeń. Jeśli znajdą żywność i wodę na lądzie – a pewnie znajdą – mogą zostać w Zatoce Małp przez całe miesiące.

Przynajmniej mogą zostać, dopóki nie nadejdzie sztorm. Sztorm byłby katastrofą. Zatoka Małp znajdowała się po nawietrznej stronie wyspy i była dość płytka. Silny sztorm roztrzaskałby statki na kawałki w ciągu kilku godzin. Właśnie trwała pora huraganów; musiał się liczyć z tym, że lada dzień uderzy kolejny szkwał, a wtedy nie będą mogli pozostać w Zatoce Małp.

Bosquet na pewno o tym wiedział. Gdyby był cierpliwy, po prostu zablokowałby zatokę i zaczekał na głębokiej wodzie, aż pogoda się zepsuje, bo wtedy galeon będzie musiał opuścić zatokę i wystawi się na atak.

Lecz Bosquet nie wyglądał na cierpliwego człowieka. Przeciwnie: sprawiał wrażenie przedsiębiorczego śmiałka, który woli przejmować inicjatywę. I miał ważne powody, żeby zaatakować przed sztormem.

W każdej bitwie morskiej zła pogoda wyrównywała szanse, dlatego słabsze jednostki jej pragnęły, a silniejsze unikały. Sztorm nękał obie strony, jednak nieproporcjonalnie redukował przewagę lepszego statku. Bosquet na pewno wiedział, że Hunterowi brakuje ludzi i uzbrojenia.

Siedząc samotnie w kabinie, Hunter próbował wejść w skórę człowieka, którego nigdy nie spotkał, i odgadnąć jego myśli. Bosquet zaatakuje rano, zdecydował.

Atak nadejdzie albo od morza, albo z lądu, albo z obu stron. Zależy, ilu hiszpańskich żołnierzy ma Bosquet na pokładzie i jak bardzo ufają swojemu dowódcy. Hunter pamiętał żołnierzy, którzy go pilnowali w ładowni okrętu: młodzi, niedoświadczeni, niezdiscyplinowani.

Na takich nie można polegać.

Nie, Bosquet najpierw zaatakuje ze swojego okrętu. Spróbuje wpłynąć do Zatoki Małp na tyle daleko, żeby mieć galeon w polu widzenia. Pewnie

podejrzewał, że piraci znaleźli się na płyciźnie i mają kłopoty z manewrowaniem.

W tej chwili pokazywali przeciwnikowi rufę, najbardziej bezbronną część statku. Bosquet mógł wpłynąć do ujścia zatoki i strzelać z dział, dopóki nie zatopi obu jednostek. I mógł to zrobić bezkarnie, ponieważ skarb na galeonie spocznie w płytkiej wodzie, skąd wydobędą go później tubylczy nurkowie.

Hunter zawołał Endersa i kazał dobrze zamknąć hiszpańskich więźniów. Następnie wydał rozkaz, żeby każdy korsarz zdolny do noszenia broni otrzymał muszkiet i bezzwłocznie został wysadzony na brzeg.

\* \* \*

Świt łagodnie spłynął na Zatokę Małą. Wiał tylko lekki wietrzyk; strzępiaste obłoczki na niebie zabarwiły się różowym odcieniem pierwszego brzasku. Na pokładzie hiszpańskiego okrętu wojennego załoga leniwie, bez zapału rozpoczęła poranne prace. Słońce wspięło się sporo ponad horyzont, zanim wydano rozkazy, żeby postawić żagle i podnieść kotwicę.

W tej samej chwili na całym brzegu, po obu stronach wejścia do zatoki, ukryci korsarze otworzyli druzgoczący ogień. Całkowicie zaskoczyli Hiszpanów. W pierwszych kilku chwilach zabito wszystkich ludzi przy kabestanie głównej kotwicy; zabito albo zraniono wszystkich wyciągających kotwicę rufową; zastrzelono oficerów widocznych na pokładzie; marynarze w olinowaniu, trafiani z zadziwiającą celnością spadali z wrzaskiem na pokład.

Potem równie nagle ogień ustał. Oprócz gryzącego szarego dymu prochowego, rozpływającego się w powietrzu, nic się nie poruszało na brzegu, nawet liść nie zaszeleścił.

Hunter, zajmujący pozycję na czubku pagórkowatego cypla od strony morza, z satysfakcją obserwował okręt przez lunetę. Słyszał rozpaczliwe krzyki, widział, jak na wpeł rozwinięte żagle pękają i łopoczą na wietrze. Upłynęło kilka minut, zanim nowa załoga zaczęła się wspinać na olinowanie i obracać kabestany na pokładzie. Początkowo zachowywali się płochliwie, ale kiedy z brzegu nie padły żadne strzały, nabrali śmiałości.

Hunter czekał.

Zdawał sobie sprawę, że ma wyraźną przewagę. W epoce, kiedy ani muszkiety, ani muszkietrzy nie wyróżniali się celnością, korsarze co do jednego byli znakomitymi strzelcami. Ludzie Huntera mogli powybić marynarzy na pokładzie nieprzyjacielskiego okrętu podczas pościgu w otwartej łodzi, podskakującej na falach. Strzelanie z brzegu stanowiło dla nich dziecinną zabawę.

Nawet trochę niesportową.

Hunter zaczekał, aż lina kotwiczna zaczęła się poruszać, a wtedy ponownie dał sygnał do strzału. Następną salwa zasypała okręt z równie niszczycielskim skutkiem. Potem znowu zapadła cisza.

Do tej pory Bosquet musiał zrozumieć, że przejście przez koralowy przesmyk – czyli zbliżenie się do brzegu – może go drogo kosztować. Pewnie zdołałby pokonać przesmyk i wpłynąć do zatoki, ale straciłby dziesiątki, nawet setki ludzi. Znacznie groźniejsze było ryzyko, że kluczowi ludzie na pokładzie, włącznie ze sternikiem, mogą zginąć i nie będzie miał kto pokierować okrętem na niebezpiecznych wodach.

Hunter czekał. Słyszał wykrzykiwane rozkazy, potem znowu zapadła cisza. A później zobaczył, że lina głównej kotwicy plusnęła w wodę. Odcięli kotwicę. Chwilę później przecięto także liny na rufie i okręt powoli zdryfował od rafy.

Kiedy znalazł się poza zasięgiem muszkietów, marynarze ponownie pojawili się na pokładzie i olinowaniu. Rozwinięto żagle. Hunter czekał, żeby zobaczyć, czy okręt zawróci do brzegu.

Nie zawrócił. Zamiast tego przesunął się na północ o jakieś sto jardów i na nowej pozycji rzucił następną kotwicę. Zwinięto żagle; okręt kołysał się lekko na kotwicy, dokładnie za wzgórzami osłaniającymi zatokę.

– No, to na tyle – podsumował Enders. – Hiszpan nie może wpłynąć, a my nie możemy wypłynąć.

Przed południem w Zatoce Małp zrobiło się duszno i gorąco nie do wytrzymania. Hunter, spacerując po rozgrzanych deskach pokładu i czując pod stopami lepka, rozmiękłą smołę, rozmyślał nad ironią losu. Oto przeprowadził z powodzeniem najbardziej zuchwały korsarski napad stulecia – tylko żeby pozwolić się uwięzić w parnej, niezdrowej zatoce przez jeden jedyny hiszpański

okręt liniowy.

Hunter przeżywał trudne chwile, a jeszcze trudniejsze przeżywała załoga. Korsarze spoglądali na kapitana, oczekując wskazówek i nowych planów, on jednak najwyraźniej nie miał nic w zanadrzu. Ktoś dobrał się do rumu i załoga zaczęła się awanturować; jedna kłótnia przerodziła się w pojedynek. Enders przerwał go w ostatniej chwili. Hunter ogłosił, że osobiście zabije każdego, kto zamorduje towarzysza. Kapitan chciał mieć nieuszczerploną załogę, a osobiste animozje mogły poczekać na powrót do Port Royal.

– Nie wiem, czy oni to zniosą – powiedział Enders, ponury jak nigdy.

– Zniosą – burknął Hunter.

Stał na pokładzie w cieniu grotmasztu, obok lady Sarah, kiedy gdzieś na dole huknął kolejny strzał z pistoletu.

– Co to?! – zawołała przestraszona lady Sarah.

– Piekło – odparł Hunter.

Po kilku chwilach olbrzymi Bassa wytaszczył na pokład szamoczącego się marynarza. Enders smętnie włożył się z tyłu.

Hunter spojrzał na marynarza. Siwiejący dwudziestopięcioletni mężczyzna, nazwiskiem Lockwood. Hunter trochę go znał.

– Strzelił Perkinsowi w ucho z tego – oznajmił Enders, podając Hunterowi pistolet.

Ludzie powoli gromadzili się na pokładzie, w palącym słońcu ponurzy i skorzy do kłótni.

Hunter wyjął z pasa własny pistolet i sprawdził ładunek.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała lady Sarah, obserwując go bacznie.

– Nie twoja sprawa.

– Ale...

– Nie patrz – powiedział Hunter. Podniósł pistolet. Maur puścił marynarza, który stanął ze spuszczoną głową, pijany.

– On mnie rozzłościł – wymamrotał.

Hunter strzelił mu w głowę. Mózg rozbryznął się po nadburciu.

– O Boże! – krzyknęła lady Sarah Almont.

– Wyrzucicie go za burtę – rozkazał Hunter.

Bassa dźwignął ciało i zaciągnął do relingu. Bezwładne stopy szurały głośno po deskach pokładu. Po chwili, rozległ się plusk; ciało zniknęło.

Hunter popatrzył na załogę.

– Chcecie wybrać nowego kapitana? – zapytał głośno. Ludzie zaszemrali i odwrócili się. Nikt się nie odezwał. Wkrótce pokład opustoszał. Ludzie zeszli na dół, żeby się schronić przed żarem słońca.

Hunter spojrzał na lady Sarah. Nic nie mówiła, ale patrzyła nań oskarżycielsko.

– To twardzi ludzie – wyjaśnił Hunter – i żyją według zasad, które wszyscy przyjęliśmy.

Bez słowa odwróciła się na pięcie i odeszła. Hunter spojrzał na Endersa, który tylko wzruszył ramionami. Później po południu wachтови na oku zameldowali, że na pokładzie okrętu wojennego coś się dzieje. Wszystkie szalupy spuszczone od strony niewidocznej z lądu.

Widocznie przycumowano je do okrętu, bo żadna się nie pokazała. Z pokładu unosił się gęsty dym. Coś tam palono, ale nie wiadomo, w jakim celu. Ta sytuacja trwała aż do zmroku.

Noc przyniosła cudowną ulgę. W wieczornym chłodzie Hunter spacerował po pokładach *El Trinidad*a, patrząc na długie rzędy dział. Przechodził od jednego do drugiego, przystawał, żeby ich dotknąć, przesuwając palcami po brązie, który zachował jeszcze ciepło dnia. Obejrzał sprzęt schludnie złożony przy każdym dziale; stempel, woreczki z prochem, stosy kul, szpile z piór i lonty w nacinanych wiadrach na wodę.

Wszystko gotowe do użytku – cała ta siła ognia, całe to uzbrojenie. Potrzebował tylko ludzi, żeby z tego strzelali. A bez ludzi równie dobrze działa mogły nie istnieć.

– Jesteś zamyślony.

Odwrócił się zaskoczony. Lady Sarah stała obok w luźnej białej sukni, która po ciemku wyglądała jak koszula.

– Nie powinnaś się tak ubierać, nie pośród tylu mężczyzn.

– Za gorąco, żeby spać – odparła. – Zresztą nie mogłam się uspokoić. Po tym, co dzisiaj widziałam... – Jej głos zamarł.



– Poruszyło cię to?

– Nigdy nie widziałam takiej brutalności, nawet u monarchy. Sam Karol nie jest taki bezwzględny, taki arbitralny.

– Karol ma inne rzeczy na głowie. Swoje przyjemności.

– Udajesz, że mnie nie rozumiesz. – Nawet w ciemności jej oczy błyszczały jakby gniewem.

– Pani – powiedział Hunter – w tej społeczności...

– Społeczności? Nazywasz to – szerokim gestem wskazała statek i ludzi śpiących na pokładzie – nazywasz to społecznością?

– Oczywiście. Ponieważ w każdym ludzkim skupisku istnieją reguły zachowania. Ci ludzie mają inne reguły niż dwór Karola czy Ludwika, czy nawet kolonia Massachusetts, gdzie się urodziłem. A jednak przestrzegają reguł i ponoszą karę za ich złamanie.

– Jesteś filozofem – rzuciła sarkastycznym tonem.

– Mówię, co wiem. Na dworze Karola, co by cię spotkało, gdybyś nie pokłoniła się królowi?

Prychnęła, widząc, w jakim kierunku zmierza jego argumentacja.

– Tutaj jest to samo – ciągnął Hunter. – Ci ludzie są gwałtowni i niebezpieczni. Jeśli mam nimi rządzić, muszą mnie słuchać. Jeśli mają mnie słuchać, muszą mnie szanować. Jeśli mają mnie szanować, muszą uznawać moją władzę, która jest absolutna.

– Mówisz jak król.

– Kapitan jest królem dla załogi.

Przysunęła się do niego bliżej.

– I zażywasz przyjemności jak król?

Zanim się spostrzegł, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go mocno w usta. Odwzajemnił uścisk. Kiedy się rozdzielili, powiedziała:

– Tak się boję. Wszystko jest tutaj obce.

– Pani, jestem zobowiązany odstawić cię bezpiecznie do twojego stryja, a mojego przyjaciela, gubernatora sir Jamesa Almonta.

– Nie musisz być taki pompatyczny. Jesteś purytaninem?

– Tylko z urodzenia – odpowiedział i znowu ją pocałował.

– Może zobaczymy się później – powiedziała.

– Może.

Zeszła na dół, rzuciwszy mu pożegnalne spojrzenie. Hunter oparł się o działo i odprowadzał ją wzrokiem.

– Gorąca sztuka, co?

Odwrócił się. Za nim stał Enders. Szczrzył zęby.

– Jak taka arystokratka popuści sobie cugli, zaraz ją śwędzi, nie?

– Na to wygląda – przyznał Hunter.

Enders popatrzył na rząd dział i klepnął jedno otwartą dłonią. Zadźwięczało głucho.

– Wściec się można, nie? – zagadnął. – Mamy tyle broni i nie możemy jej użyć z braku ludzi.

– Lepiej idź spać – uciął Hunter i odszedł.

Ale Enders mówił prawdę. Zapomniawszy o kobiecie, Hunter podjął spacer po pokładzie i powrócił myślami do dział. Jakaś niespokojna część jego umysłu ciągle borykała się z tym problemem, szukając rozwiązania. Coś mu podpowiadało, że istnieje sposób na wykorzystanie tych dział. Coś, co wiedział dawno temu, coś, o czym zapomniał.

Kobieta najwyraźniej uważała go za barbarzyńcę – albo jeszcze gorzej, za purytanina.

Uśmiechnął się w ciemnościach na tę myśl. W rzeczywistości Hunter był człowiekiem wykształconym. Wpojono mu wszystkie podstawowe kategorie wiedzy, jak je określano od czasów średniowiecznych. Znał historię klasyczną, łacinę i grekę, filozofię naturalną, religię i muzykę. Żadna z tych dziedzin go nie pociągała.

Nawet jako młody człowiek znacznie bardziej interesował się praktyczną, empiryczną wiedzą niż poglądami jakiegoś dawno zmarłego myśliciela. Każdy uczeń wiedział, że świat jest o wiele większy, niż potrafił sobie wyobrazić Arystoteles. Sam Hunter urodził się na lądzie, o którego istnieniu Grecy nie mieli pojęcia.

Teraz jednak powracały do niego pewne elementy klasycznego wykształcenia i nie dawały mu spokoju. Ciągle myślał o Grecji – o Grecji albo

Grekach – ale nie wiedział dlaczego.

Potem przypomniał sobie obraz olejny w kabinie Cazalli na pokładzie hiszpańskiego okrętu.

Wtedy ledwie go zauważył. Nawet nie pamiętał go wyraźnie. Ale ten obraz na okręcie jakoś go zaintrygował. Wydawał się ważny.

Jakie to miało znaczenie? Hunter nie znał się na malarstwie; uważał je za nader poślednią sztukę, przydatną jedynie do dekoracji, odpowiednią dla próżnych i bogatych arystokratów, gotowych płacić za swoje pochlebnie upiększone portrety.

Wiedział, że sami malarze to ludzie pozbawieni zasad, wędrujący niczym Cyganie z jednego kraju do drugiego w poszukiwaniu patrona, który wspomże ich finansowo. Lekkomyślni włóczędzy bez domu, bez korzeni, którym brakowało silnej więzi uczuciowej z rodzinnym krajem. Hunter, którego rodzice uciekli z Anglii do Massachusetts, uważał się jednak za stuprocentowego Anglika i żarliwego protestanta. Prowadził wojnę z hiszpańskim i katolickim wrogiem, nie rozumiał innego nastawienia niż patriotyczne. Marne świadectwo wystawiał sobie ten, komu zależało tylko na malarstwie.

A jednak malarze wędrowali. Francuzi w Londynie, Grecy w Hiszpanii i Włosi wszędzie.

Nawet podczas wojny malarze podróżowali swobodnie, zwłaszcza Włosi. Tylu było Włochów.

Co go to obchodziło?

Krążył po zaciemnionym statku, przechodził od działka do działka. Dotknął jednego. Na tylnej części wytłoczono motto:

*SEMPER VINCIT*

Te słowa z niego szczyły. Nie zawsze, pomyślał. Nie bez ludzi do ładowania, celowania i strzelania. Dotknął liter, przesunął palcami po wyżłobionych rowkach, wyczuł gładkie, eleganckie krzywizny S, potem czyste linie E.

## *SEMPER VINCIT*

Zwięzłość łaciny miała w sobie siłę, dwa zwarte słowa, wojskowe i twarde. Włosi stracili to wszystko; ich język był miękki i kwiecisty, odzwierciedlał ich słabość. Dużo czasu upłynęło, odkąd Cezar zuchwale powiedział: *Veni, vidi, vici*.

## *VINCIT*

To jedno słowo zdawało się coś sugerować. Spojrzał na czyste linie liter, a potem przed oczami duszy ujrzał inne linie, linie i kąty, i wrócił do Greków, do geometrii euklidesowej, z którą tak się namordował jako chłopiec. Nigdy nie potrafił zrozumieć, jakie to ma znaczenie, że dwa kąty są sobie równe albo że dwie linie przecinają się w takim czy innym punkcie. Co za różnica?

## *VINCIT*

Przypomniał sobie obraz Cazalli, dzieło sztuki na okręcie wojennym, nie na miejscu, niesłużące do niczego. W tym cały kłopot ze sztuką, nie jest praktyczna. Sztuka niczego nie zwycięża.

## *VINCIT*

„Zwycięża”. Huntera rozbawiła ironia tego motta wybitego na armacie, która niczego nie zwycięży. Ta broń była dla niego równie bezwartościowa jak obraz Cazalli. Równie bezwartościowa jak aksjomaty Euklidesa. Potarł zmęczone oczy.

Całe to myślenie nic mu nie dało. Kręcił się w kółko bez sensu, bez celu, bez planu, jak więzień w celi, który daremnie i uparcie szuka nieistniejącego wyjścia.

A potem usłyszał okrzyk, jakiego marynarze boją się najbardziej:

– Gore!

## Rozdział 29

Wybiegł na górny pokład w samą porę, żeby zobaczyć sześć branderów zmierzających w stronę galeonu. Były to szalupy hiszpańskiego okrętu, grubo wymazane smołą; płonęły jasno, rozświetlając spokojne wody zatoki.

Hunter sklął się w duchu, że nie przewidział tego manewru; dymy nad okrętem wojennym stanowiły wyraźną wskazówkę, której nie zrozumiał. Nie tracił jednak czasu na czynienie sobie wyrzutów. Marynarze z *El Trinidad*a wysypywali się już za burtę, do szalup przycumowanych przy kadłubie galeonu; pierwsze szalupy odbiły od statku, ludzie gorączkowo wiosłowali w stronę płonących łodzi.

Hunter okręcił się na pięcie.

– Gdzie są wachtowi? – zapytał Endersa. – Jak to się stało?

Enders pokręcił głową.

– Nie wiem, wachty rozstawiono na piaszczystym cyplu i dalej na brzegu.

– Niech to diabli!

Albo ludzie zasnęli na wachcie, albo Hiszpanie przepłynęli na brzeg w ciemnościach, zaskoczyli marynarzy i pozabijali. Hunter patrzył, jak obsada pierwszej szalupy walczy z ogniem na płonącej łodzi. Próbowali odepchnąć brander wiosłami i przewrócić. Jeden marynarz zapalił się i z wrzaskiem rzucił się do wody.

Potem Hunter też przeskoczył przez burtę i zszedł do szalupy. Wioślarze polali się morską wodą, zanim zbliżyli się do płonących łodzi. Hunter obejrzał się i zobaczył, że Sanson przyprowadził szalupę z *Kasandry*, żeby przyłączyć się do walki.

– Zegnijcie grzbiety, chłopcy! – zawołał Hunter, zanurzając się w piekło.

Nawet z odległości pięćdziesięciu jardów żar był straszliwy; płomienie

trzaskały i strzelały wysoko w ciemne niebo; grudy płonącej smoły rozpryskiwały się na wszystkie strony i skwiercząc, wpadały w wodę.

Następna godzina zmieniła się w koszmar na jawie. Jeden po drugim brandery zepchnięto na plażę albo przytrzymano w wodzie, dopóki kadłuby się nie przepaliły i łodzie nie zatoneły.

Kiedy wreszcie Hunter wrócił na statek, pokryty sadzą, w podartym ubraniu, natychmiast zasnął głęboko.

\* \* \*

Enders zbudził go następnego ranka wiadomością, że Sanson zszedł do ładowni *El Trinidad*.

– Mówi, że coś znalazł – oznajmił Enders z powątpiewaniem.

Hunter naciągnął ubranie i zszedł przez cztery pokłady galeonu do ładowni. Na najniższym pokładzie, cuchnącym gnojem trzymanego wyżej bydła, znalazł Sansona, uśmiechniętego szeroko.

– To był przypadek – oświadczył Sanson. – Nie mogę sobie przypisywać zasługi.

Chodź i zobacz.

Poprowadził go niżej, do komory z balastem. Wąski, niski korytarz cuchnął gorącym powietrzem i wodą z zęzy, która przelewała się z chlupotem w rytmie lekkiego kołysania statku. Hunter zobaczył kamienie stanowiące balast. A potem zmarszczył brwi – to nie były kamienie, miały zbyt regularne kształty. To były kule.

Podniósł jedną, zważył w dłoni, ocenił ciężar. Żelazna kula była śliska od szlamu i wody z zęzy.

– Jakieś pięć funtów – powiedział Sanson. – Nie mamy na pokładzie niczego do strzelania pięciofuntowymi kulami.

Ciągle szczerząc zęby, poprowadził Huntera na rufę. Przy świetle migoczącej latarni Hunter zobaczył w ładowni następny kształt, do połowy zanurzony w wodzie. Rozpoznał go natychmiast – falkon, nieduże działo, już nieużywane na okrętach. Falkony straciły popularność trzydzieści lat wcześniej,

zastąpione albo przez małe obrotowe działka, albo przez wielkie armaty.

Pochylił się nad działem, obrysował je rękami pod wodą.

– Będzie strzelać?

– Jest z brązu – odparł Sanson. – Żyd mówi, że nadaje się do użytku.

Hunter pomacał metal. Działo, wykonane z brązu, tylko w niewielkim stopniu uległo korozji.

Obejrzał się na Sansona.

– W takim razie damy Hiszpanowi posmakować jego własnych specjalów – powiedział.

Falkon, chociaż mały, miał jednak siedem stóp długości i ważył tysiąc sześćset funtów.

Prawie cały ranek zabrało wytaszczenie go na pokład *El Trinidad*. Potem należało je opuścić przez burtę do czekającej szalupy.

Była to mordercza harówka w gorącym słońcu, wymagająca nadzwyczajnej precyzji. Enders wyrzaskiwał rozkazy i przekleństwa, aż ochrypl, w końcu jednak działo spoczęło w szalupie delikatnie jak piórko. Łódź zanurzyła się alarmująco pod ciężarem, relingi wystawały zaledwie kilka cali nad wodę, zachowała jednak stabilność. Odholowano ją na przeciwległy brzeg.

Hunter zamierzał ustawić działo na szczycie wzgórza, które wysuwało się łukiem z Zatoki Małej. Miałby wówczas w zasięgu hiszpański okręt wojenny i mógłby go ostrzeliwać z brzegu. Stanowisko artyleryjskie byłoby bezpieczne; Hiszpan nie mógł podnieść własnych dział dostatecznie wysoko, żeby odpowiedzieć ogniem, a ludzie Huntera mogli strzelać, dopóki nie skończą im się pociski.

Podstawowe pytanie brzmiało: kiedy rozpocząć ostrzał? Hunter nie miał złudzeń co do mocy tego działa. Pięćfuntowa kula nie była zbyt groźna; musieli wystrzelić wiele salw, żeby wyrządzić poważniejsze szkody. Ale gdyby otworzył ogień w nocy, hiszpański okręt mógłby pod wpływem paniki podnieść kotwicę, żeby umknąć z zasięgu strzału. A w nocy na płytkich wodach łatwo mógł wpaść na mieliznę czy nawet zatonać.

Na to liczył Hunter.

Falkon, spoczywający w chybotliwej łodzi, dotarł do brzegu i trzydziestu

marynarzy ze stękaniem wciągnęło go na plażę. Tam ustawiono go na rołkach i mozolnie przesunięto stopa za stopą na skraj zarośli.

Stamtąd należało wciągnąć falkon sto stóp wyżej, na szczyt wzgórza, przez gęste zarośla mangrowców i palm. Bez wciągarek i wielokrążków było to zabójczo trudne zadanie, jednak ludzie Huntera przystąpili do niego z zapałem.

Inni pracowali równie ciężko. Żyd nadzorował pięciu ludzi, którzy zeskrobywali rdzę z żelaznych kul i napełniali woreczki prochem. Maur, zręczny cieśla, zbudował lawetę z regulowanym zawieszeniem obrotowym.

Przed zmierzchem falkon stał na pozycji, wycelowany w okręt. Hunter zaczekał, aż zacznie się ściemniać, po czym rozkazał rozpocząć ogień. Pierwszy strzał przeniósł i kula plusnęła w wodę za hiszpańskim okrętem od strony morza. Drugi trafił w cel, podobnie jak trzeci. A potem zrobiło się za ciemno, żeby coś widzieć.

Przez następną godzinę falkon zasypywał kulami hiszpański okręt. W ciemności zobaczyli rozwijane białe żagle.

– Uciekają! – zawołał ochryple Enders.

Obsada działa zaczęła wiwatować. Wystrzelono następne salwy. Okręt wojenny odpływał pod żaglami coraz dalej od kotwiczowiska. Ludzie Huntera prowadzili regularny ostrzał i nawet kiedy okręt zniknął w ciemnościach, Hunter kazał strzelać dalej. Falkon grzmiał i huczał przez całą noc.

O pierwszym brzasku korsarze wytężyli wzrok, żeby zobaczyć owoce swoich trudów. Okręt znowu stał na kotwicy, jakieś ćwierć mili dalej od brzegu, ale wschodzące słońce zmieniło go w czarną sylwetkę. Nie widzieli żadnych śladów zniszczeń. Zdawali sobie sprawę, że wyrządzili jakieś szkody, lecz nie potrafili ocenić ich rozmiaru.

W pierwszych blaskach dnia Hunter popadł w depresję. Po kołysaniu okrętu na kotwicy odgadywał, że Hiszpan nie doznał większego uszczerbku. Szczęście mu dopisało: wypłynął nocą z zatoki i nie nadział się na korał ani nie ugrzązł na mieliźnie.

Jedno drzewce marsla dyndało złamane. Kilka lin pękło, od kadłuba odłupały się drzazgi i wióry. Ale to były drobiazgi: okręt Bosqueta, nietknięty, ślizgał się gładko po rozświetlonej fali. Hunter czuł ogromne znużenie i



przygnębienie. Spoglądał na okręt jeszcze przez jakiś czas, zwracając uwagę na jego ruchy.

– Na krew Pana – powiedział cicho.

Enders, stojący obok, również to zauważył.

– Długie bujanie – mruknął.

– Wiatr jest pomyślny – stwierdził Hunter.

– Tak. Jeszcze przez dzień lub dwa.

Hunter spojrział na długą, powolną falę, która kołysała hiszpańskim okrętem na kotwicy.

Zaklął.

– Skąd to idzie?

– Powiedziałbym – odparł Enders – że idzie prosto z południa, o tej porze roku.

Wszyscy wiedzieli, że pod koniec lata mogą się spodziewać huraganów. A jako wytrawni żeglarze potrafili przewidzieć nadejście tych groźnych sztormów nawet z dwudniowym wyprzedzeniem. Na powierzchni oceanu zawsze pojawiały się wczesne znaki ostrzegawcze: fale, gnane sztormowym wiatrem z prędkością stu mil na godzinę, docierały nawet do odległych miejsc.

Hunter popatrzył na wciąż bezchmurne niebo.

– Jak myślisz, ile mamy czasu?

Enders pokręcił głową.

– Przyjdzie najpóźniej jutro wieczorem.

– Diabli nadali! – warknął Hunter.

Obejrzał się na galeon zakotwiczony w Zatoce Małej. Statek unosił się swobodnie na fali.

Zaczął się przypływ, i to nienormalnie wysoki.

– Diabli nadali! – powtórzył Hunter i wrócił na statek.

W paskudnym humorze przemierzał pokład *El Trinidad* pod palącym słońcem, tam i z powrotem, niczym więzień w celi. Nie był w nastroju do uprzejmej pogawędki, toteż lady Sarah Almont miała pecha, że właśnie wtedy postanowiła z nim pomówić. Zażądała szalupy i załogi, żeby zawiozła ją na brzeg.

– W jakim celu? – zapytał krótko. W duchu dziwił się, że nie zapytała,

dlaczego nie złożył wizyty w jej kajucie poprzedniej nocy.

– W jakim celu? Ależ żeby nazbierać owoców i warzyw dla mnie na posiłek. Nie macie na pokładzie niczego odpowiedniego.

– Wykluczone – oświadczył i odwrócił się do niej plecami.

– Kapitanie – zawołała, tupiąc nogą – zechciej pan przyjąć do wiadomości, że to nie jest dla mnie błaha kwestia! Jestem wegetarianką i nie jem mięsa.

Odwrócił się do niej.

– Pani – powiedział – nie obchodzą mnie twoje zwariowane kaprysy i nie mam czasu ani cierpliwości, żeby ci dogadzać.

– Zwariowane kaprysy?! – zawołała i poczerwieniała. – Pozwól sobie powiedzieć, że największe umysły w historii były wegetarianami, od Ptolemeusza do Leonarda da Vinci, i powiem ci jeszcze jedno, panie, żeś jest zwykły prostak i gbur.

Hunter wybuchnął równie wielkim gniewem.

– Pani – rzucił, wskazując na ocean – czy w swojej monumentalnej ignorancji zdajesz sobie sprawę, że morze się zmieniło?

Zamilkła, zbita z tropu, nie rozumiejąc, dlaczego Hunter tak się przejmuje lekkim kołysaniem.

– To chyba nie ma znaczenia dla takiego wielkiego statku.

– Nie ma. Na razie.

– Niebo jest pogodne.

– Na razie.

– Nie jestem żeglarzem, kapitanie – powiedziała.

– Pani – zaczął – przechyły są długie i głębokie. To może znaczyć tylko jedno. Za niecałe dwa dni uderzy w nas huragan. Rozumiesz?

– Huragan to gwałtowny sztorm – wygłosiła, jakby recytowała lekcję.

– Gwałtowny sztorm – powtórzył. – Jeśli zostaniemy w tej przeklętej zatoce, huragan rozerwie nas na strzępy. Rozumiesz, pani?

Popatrzył na nią z wściekłością i zobaczył prawdę – nie rozumiała. Twarz miała niewinną.

Nigdy nie widziała huraganu, więc nie potrafiła sobie wyobrazić niczego innego niż trochę większy sztorm.

Hunter wiedział, że huragan ma się tak do gwałtownego sztormu jak dziki wilk do pieska salonowego.

Zanim zdążyła odpowiedzieć na jego wybuch, odwrócił się i oparł o reling. Wiedział, że potraktował ją zbyt ostro; nie powinien jej obarczać swoimi troskami, przeciwnie, miał wszelkie powody, żeby jej pobłazać. Przez całą noc doglądała poparzonych marynarzy, bardzo niezwykle zachowanie jak na arystokratkę. Znowu się do niej odwrócił.

– Wybacz mi, pani – powiedział cicho. – Zapytaj o Endersa, on ci załatwi transport na brzeg, żebyś mogła kontynuować szlachetne tradycje Ptolemeusza i Leonarda.

Urwał.

– Kapitanie?

Zapatrzył się w przestrzeń.

– Kapitanie, nic ci nie jest?

Nagle odsunął się od niej.

– Diego! – krzyknął. – Znajdźcie mi don Diega!

\* \* \*

Don Diego zjawił się w kabinie Huntera i zastał kapitana gorączkowo rysującego na świstkach papieru. Szkice zaścielały całe biurko.

– Nie wiem, czy to się uda – powiedział Hunter. – Tylko o tym słyszałem.

Florentyńczyk Leonardo to zaproponował, ale go nie wysłuchano.

– Żołnierze nie słuchają artystów – zauważył don Diego.

Hunter spiorunował go wzrokiem.

– Mądrze albo nie – odparł.

Don Diego spojrział na wykresy. Przedstawiały kadłub statku narysowany z profilu, z liniami wychodzącymi po bokach ładowni. Hunter naszkicował kolejny rysunek.

– Pomysł jest prosty – powiedział. – Na zwykłym okręcie każde działo ma swojego kanoniera, który odpowiada za strzelanie z tego jednego działa.

– Tak...

– Po załadowaniu i zatoczeniu działa kanonier kuca za lufą i ustawia cel. Rozkazuje swoim ludziom z łomami i wielokrążkami, żeby wycelowali działo według jego wskazówek.

Potem każe ludziom wsunąć klin, żeby ustawić kąt podniesienia... znowu zgodnie z jego wskazówkami. Potem strzela. Taka jest procedura dla każdej armaty.

– Tak... – powtórzył Żyd.

W rzeczywistości don Diego nigdy nie widział, jak się strzela z dużego działa, znał jednak ogólne zasady. Każde działo ustawiano oddzielnie i wysoko ceniono nielicznych dobrych kanonierów, którzy potrafili trafnie ocenić właściwy kąt i podniesienie działa.

– No więc – ciągnął Hunter – zwykła metoda to ogień równoległy. – Nakreślił na papierze równoległe linie wychodzące po bokach okrętu. – Każde działo strzela i każdy kanonier modli się, żeby jego kula trafiła w cel. Ale po prawdzie wiele armat chybia, dopóki okręty nie znajdą się tak blisko siebie, że kule trafiają niemal pod każdym kątem. Powiedzmy, z odległości pięciuset jardów. Tak?

Don Diego powoli kiwnął głową.

– Florentyńczyk zaproponował coś takiego. – Hunter naszkicował nowy statek. – Powiedział: nie powierzajcie kanonierom celowania przy każdym strzale. Zamiast tego wycelujcie wszystkie działa przed bitwą. Zobaczcie, co zyskacie.

Narysował zbieżne linie ognia, które wychodziły z kadłuba i zbiegały się w jednym punkcie na morzu.

– Widzisz? Koncentrujesz ogień w jednym miejscu. Wszystkie twoje kule uderzają w ten sam punkt celu, powodując wielkie zniszczenia.

– Tak – burknął don Diego – albo wszystkie kule chybiają celu i wpadają do morza w tym samym miejscu. Albo wszystkie kule trafiają w bukszpryt czy inną nieważną część okrętu. Wyznaję, że nie dostrzegam zalet twojego planu.

– Zaleta – odparł Hunter, stukając w rysunek – to sposób strzelania z tych dział.

Pomyśl: jeśli zostały wcześniej wycelowane, do strzelania wystarczy jeden

człowiek na działo... może nawet jeden człowiek na dwa działą. A jeśli mój cel znajdzie się w zasięgu, wiem, że trafię za każdym razem.

Żyd, zdający sobie sprawę ze szczupłości załogi, klasnął w dłonie.

– Oczywiście – przyświadczył. Potem zmarszczył brwi. – Ale co się stanie po pierwszej salwie?

– Armaty toczą się do tyłu na skutek odrzutu. Wtedy zbieram wszystkich ludzi w jedną obsadę, która przechodzi od działą do działą, ładuje każde i przetacza z powrotem na wyznaczone miejsce. Można to zrobić stosunkowo szybko. Z wyszkolonymi ludźmi mogę wystrzelić drugą salwę po dziesięciu minutach.

– Do tej pory drugi okręt zmienia pozycję.

– Tak – przyznał Hunter. – Znajdzie się bliżej, za moim punktem. Więc salwa będzie miała większy rozrzut, ale wciąż pozostanie skupiona.

Rozumiesz?

– A po drugiej salwie?

Hunter westchnął.

– Wątpię, czy dostaniemy więcej niż dwie szanse. Jeśli nie zatopię ani nie uszkodzę okrętu tymi dwoma salwami, z pewnością przegramy.

– No cóż – powiedział w końcu Żyd – lepsze to niż nic.

Ton jego głosu nie był optymistyczny. W bitwie morskiej o wyniku zwykle decydowało pięćdziesiąt salw albo więcej. Dwa okręty tej samej klasy ze zdyscyplinowaną załogą mogły walczyć przez cały dzień i wymienić ponad sto salw. Dwie salwy wydawały się błahostką.

, – Owszem – przyznał Hunter – chyba że trafimy w kasztel rufowy albo w magazyn i skład amunicji.

Okręt wojenny miał tylko te dwa wrażliwe punkty. W kasztelu rufowym przebywali wszyscy oficerowie oraz sternik przy rumplu. Wystarczyło tam porządnie walnąć, żeby pozbawić okręt dowództwa. Wybuch składu amunicji na dziobie mógł zatopić okręt w jednej chwili.

W żaden z tych punktów nie było łatwo trafić. Celowanie w sam koniec lub początek kadłuba zwiększało prawdopodobieństwo spudłowania.

– Problemem jest celność – oświadczył Żyd. – Ustawisz cel metodą

próbnych strzałów, tutaj w zatoce?

Hunter przytaknął.

– Ale jak będziesz celował na morzu?

– Właśnie dlatego po ciebie posłałem. Potrzebuję instrumentów pomiarowych, żeby ustawić statek równo z nieprzyjacielem. To kwestia geometrii, a ja już nic nie pamiętam z tej nauki.

Żyd podrapał się po nosie okaleczoną dłonią.

– Daj mi pomyśleć – mruknął i wyszedł z kabiny.

\* \* \*

Enders, zahartowany wilk morski, tym razem wydawał się wytrącony z równowagi.

– Co takiego? – zapytał.

– Chcę ustawić wszystkie trzydzieści dwa działa od strony bakburty – powtórzył Hunter.

– Przechyli się na bakburtę jak ciężarna maciora – ostrzegł Enders. Sam ten pomysł obrażał jego żeglarskie poczucie przyzwoitości.

– Na pewno zrobi się niezgrabny – przyznał Hunter. – Dasz radę nim popłynąć mimo wszystko?

– Jako tako – odparł Enders. – Popłynę nawet trumną papieża z serwetką zamiast żagla. Jako tako. – Westchnął. – Oczywiście – dodał – przesuniesz działa, jak już wypłyniemy na otwarte wody.

– Nie – zaprzeczył Hunter. – Przesunę je tutaj, w zatoce.

Enders znowu westchnął.

– Więc chcesz się przeprowiać przez rafy ciężarną maciorą?

– Tak.

– Czyli przeciążenie na górze – mruknął Enders, wpatrując się w przestrzeń. – Przeniesiemy te skrzynie z ładowni na sterburtę i przywiążemy do relingu. Trochę pomoże, ale statek będzie nierównomiernie obciążony i źle strymowany. Będzie się kręcił jak korek na fali. Strzelanie z tych dział to będzie piekielna robota.

– Pytam tylko, czy dasz radę popłynąć.

Zapadło długie milczenie.

– Dam – odparł w końcu Enders. – Dam radę popłynąć, dokąd tylko zechcesz. Ale lepiej strzymuj statek z powrotem, zanim uderzy sztorm. Nie wytrzyma dziesięciu minut przy złej pogodzie.

– Wiem – przyznał Hunter.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Nad ich głowami rozległ się przeciągły hurgot, kiedy pierwsze działo ze sterburty przesuwano na bakburtę.

– Chwytasz się cienia szansy – powiedział Enders.

– To jedyne wyjście – odparł Hunter.

Wczesnym popołudniem rozpoczęło się strzelanie. W odległości pięciuset jardów na brzegu umieszczono kawałek białego żagla i działa strzelały po kolei, dopóki nie trafiły w cel.

Pozycję zaznaczano ostrzem noża na pokładzie. Długi, powolny, mozolny proces trwał aż do zmroku, kiedy biały żagiel zastąpiono niewielkim ogniskiem. Ale przed północą wszystkie trzydzieści dwa działa były wycelowane, załadowane i zatoczone na pozycje. Ładunek wyniesiono na pokład i przywiązano do relingu na sterburcie, częściowo wyrównując przechył na bakburtę. Enders oświadczył, że jest zadowolony z trymu statku, ale minę miał nieszczęśliwą.

Hunter kazał wszystkim przespać się parę godzin i ogłosił, że wypływają z porannym przyplływem. Zanim zapadł w sen, zastanowił się, co Bosquet pomyśli o dzisiejszej kanonadzie w zatoce. Czy odgadnie znaczenie tych strzałów? I co zrobi, jeśli odgadnie?

Hunter nie łamał sobie głowy nad tym pytaniem. Pomyślał, że już niedługo się dowie, i zamknął oczy.

# Rozdział 30

O świcie znalazł się na pokładzie. Chodził tam i z powrotem, obserwując przygotowania do bitwy. Zakładano podwójne liny i brasy, żeby w razie zniszczenia jednej zastąpiła ją druga i statek mógł dalej płynąć. Na grodziach i relingach rozwieszono mokre koce i pościel dla zabezpieczenia przed fruującymi odłamkami. Cały pokład kilkakrotnie zmywano morską wodą, żeby suche drewno nasiąkło, zmniejszając ryzyko pożaru.

Wśród tego wszystkiego pojawił się Enders.

– Wachtowi właśnie meldowali, kapitanie. Okręt odpłynął.

Hunter osłupiał.

– Odpłynął?

– Tak jest, kapitanie. Odpłynął w nocy.

– I wcale go nie widać?

– Zgadza się, kapitanie.

– Nie mógł zrezygnować – mruknął Hunter.

Przez chwilę rozważał możliwości. Okręt mógł popłynąć na północną lub południową stronę wyspy, żeby przyczaić się w zasadzce. Bosquet mógł wymyślić inny plan albo ostrzał z falkonu wyrządził większe szkody, niż podejrzewali korsarze.

– No dobrze, pracujcie dalej – polecił Hunter.

Wiedział, że zniknięcie okrętu przyniesie im natychmiastowy pożytek. Teraz mogli bezpiecznie wypłynąć z Zatoki Małej na swoim niezgrabnym statku.

Martwił się tą przeprawą.

Po drugiej stronie zatoki Sanson kierował przygotowaniami na pokładzie *Kasandry*. Słup miał dzisiaj głębsze zanurzenie; w ciągu nocy Hunter kazał przenieść połowę skarbu ze skarbców do ładowni *Kasandry*. Istniało spore



ryzyko, że przynajmniej jeden ze statków zostanie zatopiony, toteż Hunter chciał ocalić chociaż część skarbu.

Sanson pomachał do niego. Hunter też mu pomachał, myśląc, że nie zazdrości Sansonowi nadchodzącego dnia. Zgodnie z planem w razie ataku mniejszy statek miał uciekać do najbliższej bezpiecznej zatoki, podczas gdy Hunter związałby w walce hiszpański okręt.

Sanson sporo ryzykował, jako że ucieczka mogła się okazać utrudniona. Gdyby Hiszpan postanowił najpierw zaatakować *Kasandrę*, statek Huntera nie mógłby nic zrobić. Działa na *El Trinidadzie* przygotowano tylko do dwóch obronnych salw.

Lecz jeśli Sanson obawiał się tej ewentualności, niczym się nie zdradził; pomachał całkiem wesoło. Kilka minut później oba statki podniosły kotwice i pod skróconymi żaglami ruszyły na otwarte morze.

Morze było wzburzone. Poza rafą koralową i płycizną wiatr dochodził do czterdziestu węzłów, a fala do dwunastu stóp. Na takiej fali *Kassandra* huśtała się i podskakiwała, ale galeon Huntera zataczał się i pokładał jak chore zwierzę.

Enders narzekał gorzko, a potem poprosił, żeby kapitan na chwilę przejął ster. Wilk morski przeszedł na sam dziób, jak najdalej od żagli. Stał plecami do wiatru i szeroko rozłożył ramiona. Stał tak przez chwilę, potem lekko się obrócił, nadal z rozłożonymi ramionami.

Hunter rozpoznał starą marynarską sztuczkę, sposób na zlokalizowanie oka huraganu. Jeśli stanąłeś tyłem do wiatru z rozłożonymi ramionami, oko sztormu zawsze znajdowało się dwa punkty w przód od kierunku wskazywanego przez lewą rękę.

Enders wrócił do steru, stękając i przeklinając.

– Idzie z południowo-południowego zachodu – oświadczył – i niech mnie diabli, jeśli nie zakreśli nami porządnie przed nocą.

Rzeczywiście niebo już poszarzało, a wiatr wzrastał się z każdą mijającą minutą. *El Trinidad* przechylił się rozpaczliwie, kiedy oddalił się od Kociej Wyspy i poczuł pełną furję otwartego morza.

– Niech to diabli – rzucił Enders. – Nie ufam tym wszystkim działom, kapitanie. Nie możemy przesunąć chociaż dwóch albo trzech na sterburłę?

- Nie – uciął Hunter.
- Lepiej się będzie pływało – nalegał Enders. – Spodoba ci się, kapitanie.
- Bosquetowi też – odparł Hunter.
- Pokaż mi Bosqueta – zażądał Enders – a nie pisnę więcej ani słowa o

działach.

- Jest tam – oznajmił Hunter, wskazując za rufę.

Enders obejrzał się i zobaczył hiszpański okręt wojenny za północnym brzegiem Kociej Wyspy, w zaciekłym pościgu za galeonem.

- Prosto na nasz zadek – stwierdził Enders. – Na kości Pana, nieźle się ustawił.

Okręt kierował się na najbardziej bezbronną część galeonu, pokład rufowy. Każda jednostka pływająca miała słabą rufę – to dlatego skarby zawsze magazynowano z przodu i dlatego na rufie znajdowały się najbardziej przestronne kabiny.

Kapitańska kabina była wprawdzie duża, ale zakładano, że kapitan nie przebywa w niej podczas bitwy.

Hunter nie miał żadnej broni; każdy kawałek brązu tkwił na bakburcie. A niezgrabny przechył statku uniemożliwiał Endersowi tradycyjną obronę przed atakiem od tyłu – kręty, zmienny kurs, który utrudnia celowanie. Enders musiał dokładnie trzymać kurs – z czego wcale się nie cieszył – żeby statek nie nabierał wody.

- Tak trzymaj – rozkazał Hunter – sterburtą do lądu.

Przeszedł do przodu, do relingu, gdzie don Diego spoglądał przez dziwaczny instrument własnej produkcji. Było to drewniane urządzenie, długie na jakieś trzy stopy, przymocowane do grotmasztu. Na każdym końcu znajdowała się mała drewniana kwadratowa ramka z przecinającymi się włosami, tworzącymi X.

- To całkiem proste – zapewnił Żyd. – Patrzysz tutaj – wskazał na jeden koniec – i kiedy dwa ikсы się pokryją, jesteś we właściwej pozycji. Trafisz w to miejsce, które znajduje się na przecięciu włosów.

- Co z zasięgiem?
- Do tego potrzebujesz Lazue.

Hunter kiwnął głową. Bystrooka Lazue potrafiła ocenić dystans z niezwykłą dokładnością.

– Zasięg to nie problem – ciągnął Żyd. – Problem to dopasować się do fali. Chodź, popatrz.

Hunter zajął pozycję za krzyżem celowniczym. Zamknął jedno oko i zmrużył drugie, żeby dwa ikсы się nałożyły. I wtedy zobaczył, jak mocno statek kołysał się i przechylał.

W jednej chwili krzyże wskazywały puste niebo; w następnej widział wzburzone fale.

Wyobraził sobie, że oddaje salwę. Wiedział, że pomiędzy wykrzyczanym rozkazem a chwilą, kiedy kanonierzy zapalą lonty, nastąpi zwłoka. Musiał to uwzględnić. I sama kula poruszała się powoli; zanim uderzy w cel, upłynie następne pół sekundy. W sumie ponad sekunda pomiędzy rozkazem wystrzału a trafieniem. W ciągu tej sekundy statek będzie kręcił się i podskakiwał jak szalony. Hunter poczuł przyływ paniki. Jego desperacki plan nie miał szans na wzburzonym morzu. Nigdy nie zdołają wystrzelić dwóch dokładnie wymierzonych salw.

– Kiedy zgranie w czasie ma kluczowe znaczenie – zasugerował Żyd – można wykorzystać przykład pojedynku.

– Racja – przyznał Hunter. To była użyteczna myśl. – Zawiadom obsady dział.

Podam komendy: gotów do strzału, raz, dwa, trzy, pał. Tak?

– Powiem im – obiecał Żyd. – Ale w zgiełku bitwy...

Hunter kiwnął głową. Żyd wykazywał się dzisiaj błyskotliwością, myślał o wiele jaśniej niż sam Hunter. Kiedy zacznie się strzelanina, werbalne sygnały zostaną zagłuszone albo zniekształcone.

– Ja będę wydawał rozkazy. Ty staniesz obok mnie i będziesz sygnalizował rękami.

Żyd kiwnął głową i poszedł uprzedzić obsady dział. Hunter wezwał Lazue i wyjaśnił jej, że potrzebuje dokładnej oceny odległości. Działa były ustawione na pięćset jardów; musiałyby wymierzyć bardzo precyzyjnie. Powiedziała, że sobie poradzi.

Hunter wrócił do Endersa, który kłął bez przerwy.

– Już niedługo posmakujemy hiszpańskiego kija – gderał. – Będzie gorąco.

W tej samej chwili hiszpański okręt dał ognia z armaty na dziobie. Mała kula świsnęła w powietrzu.

– Niecierpliwym jak młodziak! – zawołał Enders, potrząsając pięścią w powietrzu.

Drugi pocisk rozłupał deski rufowego kasztelu, ale nie wyrządził żadnej poważnej szkody.

– Trzymać kurs – rozkazał Hunter. – Pozwól się dogonić.

– Pozwól się dogonić – przedrzeźniał Enders. – A co innego mogę zrobić?

– Zachować spokój.

– To nie mój spokój jest zagrożony – burknął Enders – tylko mój cenny zadek.

Trzecia salwa przeleciała nieszkodliwie nad pokładem, drobne pociski świszczwały w powietrzu. Hunter tylko na to czekał.

– Zasłona dymna! – krzyknął.

Załoga pobiegła zapalać beczki ze smołą i siarką ustawione na pokładzie. Kłęby dymu wzbily się w powietrze i podryfowały za burtę. To miało sprawiać wrażenie, że statek jest uszkodzony. Hunter wiedział, jak wygląda *El Trinidad* w oczach Hiszpanów: przechylony, niesterowny galeon, teraz rzygający czarnym dymem.

– Skręca na wschód – ogłosił Enders. – Szykuje się do ciosu.

– Dobrze – powiedział Hunter.

– Dobrze – powtórzył Enders, kręcąc głową. – Słodki duchu Judasza, nasz kapitan mówi „dobrze”.

Hunter patrzył, jak hiszpański okręt przesuwa się na lewą stronę galeonu. Bosquet zaczął bitwę w klasyczny sposób i dalej tak postępował. Oddalał się od celu, wchodząc na równoległy kurs tuż poza zasięgiem dział. Jak tylko ustawi się burtą do galeonu, zacznie się zbliżać. A kiedy znajdzie się w zasięgu – zaczynając od około dwustu jardów – otworzy ogień i będzie kontynuował ostrzał, zbliżając się coraz bardziej. Wtedy dla Huntera i jego załogi zacznie się najgorszy czas.

Muszą wytrzymać ostrzał, dopóki hiszpański okręt nie wejdzie w zasięg ich dział.

Hunter patrzył, jak nieprzyjacielski okręt ustawia się równolegle do *El Trinidad*, trochę ponad milę za bakiem.

– Tak trzymaj – zwrócił się do Endersa i położył mu rękę na ramieniu.

– Ty mnie chcesz zamordować – jęknął Enders – tak jak ten hiszpański kłujek.

Hunter przeszedł na dziób do Lazue.

– Odległość prawie dwa tysiące jardów – oznajmiła Lazue, wpatrując się zmrużonymi oczami w sylwetkę nieprzyjaciela.

– Jak szybko się zbliża?

– Szybko. Jest niecierpliwy.

– Tym lepiej dla nas – stwierdził Hunter.

– Teraz jest tysiąc osiemset jardów od nas – dodała Lazue.

– Przygotować się na salwę – ostrzegł Hunter.

Chwilę później pierwsza salwa wystrzeliła z okrętu i spadła z pluskiem do wody za bakiem.

Żyd liczył:

– Jedna Madonna, dwie Madonny, trzy Madonny, cztery Madonny...

– Poniżej tysiąca siedmiuset – powiedziała Lazue.

Żyd doliczył do siedemdziesięciu pięciu, zanim wystrzelono następną salwę. Rozpalone żelazo z wyciem przemknęło wokół nich, ale żadna kula nie trafiła w statek.

Żyd natychmiast zaczął liczyć od nowa:

– Jedna Madonna, dwie Madonny...

– Nie taki szybki, jak powinien – ocenił Hunter. – Powinien odpalać po sześćdziesięciu sekundach.

– Tysiąc pięćset jardów – mruknęła Lazue. Upłynęła następna minuta i wystrzelono trzecią salwę. Tym razem kule dosięgły celu z porażającym skutkiem: Hunter nagle znalazł się wśród całkowitego chaosu – ludzie krzyczeli, odłamki świsnęły w powietrzu, drzewca i takielunek rozbijały się na pokładzie.

– Zniszczenia! – wrzasnął. – Meldować o zniszczeniach! Spojrzał poprzez

dym na nieprzyjacielski okręt, który wciąż się zbliżał. Nawet nie zauważył marynarza, który leżał u jego stóp, jęcząc i skręcając się z bólu, przyciskając rękę do twarzy. Spomiędzy palców sikała krew.

, Żyd spojrział w dół i zobaczył, że wielki odłamek przebił policzek marynarza i wszedł skośnie w podniebienie. Lazue nachyliła się spokojnie i strzeliła rannemu w głowę z pistoletu.

Różowawa, serowata materia rozprysła się po deskach pokładu. Z dziwną obojętnością Żyd uświadomił sobie, że patrzy na mózg marynarza. Podniósł wzrok na Huntera, który nie odrywał oczu od wroga.

– Raport o zniszczeniach! – krzyknął, kiedy trafiła w nich następna salwa.

– Kliwer poszedł!

– Fok poszedł!

– Działo numer dwa rozbite!

– Działo numer sześć rozbite!

– Bezanstenga pękła!

– Uwaga na dole! – rozległ się okrzyk i stenga bezanmasztu runęła na pokład w deszczu ciężkiego drewna i olinowania.

Hunter skulił się, obsypany odłamkami drzewca. Nakryty żaglem, usiłował się podnieść. Nóż przeciął grube płótno parę cali od jego twarzy. Hunter cofnął się i zobaczył światło; Lazue pomagała mu się uwolnić.

– Prawie obcięłaś mi nos – poskarżył się.

– Mała strata – fuknęła Lazue.

Kolejna salwa z hiszpańskiego okrętu zaświstała nad głowami.

– Przeniosło górą! – wrzasnął Enders z szaleńczą radością. – Niech mnie, przeniosło górą!

Hunter podniósł wzrok akurat w chwili, kiedy kula trafiła w obsadę działa numer pięć.

Armata z brązu wyleciała w powietrze; ciężkie odłamki drewna pofrunęły na wszystkie strony. Jeden człowiek dostał ostrym jak brzytwa odpryskiem w gardło. Chwycił się za szyję i upadł na pokład, wijąc się z bólu.

W pobliżu następny marynarz został trafiony bezpośrednio. Kula przecięła go na pół; nogi wypadły spod niego, tułów z wrzaskiem toczył się po pokładzie,

dopóki szok nie spowodował zgonu.

– Meldować o zniszczeniach! – krzyczał Hunter.

Wielokrążek uderzył w głowę stojącego obok marynarza, który upadł z roztrzaskaną czaszką w kałuży lepkiej czerwonej krwi.

Stenga fokmasztu runęła w dół, przygwoździła dwóch ludzi do pokładu i zmiażdżyła im nogi; wyli i jęczeli przeraźliwie.

Hiszpanie wciąż strzelali.

Pośród tej masakry i zniszczenia niemal nie dało się zachować zimnej krwi, a jednak Hunter próbował, kiedy jedna salwa za drugą trafiała w jego statek. Minęło dwadzieścia minut, odkąd okręt rozpoczął ostrzał; pokład zaścielały liny, odłamki masztów i strzepy żagli; wrzaski rannych mieszały się z syczącym świstem kul armatnich, które śmigały w powietrzu.

Dla Huntera chaos i zgiełk już dawno stopiły się w jednolite, niezmiennie tło, na które przestał zwracać uwagę; wiedział, że jego statek ulega powolnej i niepowstrzymanej zagładzie, ale skupiał się tylko na okręcie nieprzyjaciela, który przybliżał się z każdą sekundą.

Poniósł ciężkie straty. Miał siedmiu zabitych i dwunastu rannych; dwa stanowiska armatnie zostały zniszczone. Stracił rozprza i wszystkie żagle; stracił stengę bezanmasztu i olinowanie grotżagla po zawietrznej stronie; dostał dwa trafienia poniżej linii wodnej i *El Trinidad* szybko nabierał wody. Wyczuwał już, że statek zanurza się głębiej i płynie bardziej ociężale; posuwał się naprzód jakby z trudem.

Hunter nie mógł naprawić szkód. Jego nieliczna załoga ledwie sobie radziła z utrzymaniem statku na kursie. Teraz pozostawało tylko kwestią czasu, zanim *El Trinidad* całkiem straci sterowność albo wręcz zacznie tonąć.

Mrużąc oczy, Hunter wpatrywał się przez dym w hiszpański okręt. Widoczność coraz bardziej się pogarszała. Pomimo silnego wiatru oba statki spowijał gryzący opar.

Hiszpan szybko się zbliżał.

– Siedemset jardów – powiedziała Lazue bezbarwnym tonem.

Ona też została ranna; podczas piątej salwy kawał drewna z zadziorami rozorał jej przedramię. Szybko założyła sobie krępulec i wróciła do obserwacji,

nie zważając na krew, która kapiała na deski pod jej nogami.

Kolejna salwa nadleciała z wizgiem i statek zakołysał się od licznych trafień.

– Sześćset jardów.

– Przygotować się do strzału! – krzyknął Hunter i schylił się, żeby spojrzeć przez krzyż celowniczy. Ustawił się do strzału w śródkręcie, ale na jego oczach hiszpański okręt lekko wysunął się do przodu. Teraz na linii strzału znalazł się kasztel rufowy.

Niech tak będzie, pomyślał, oceniając kołysanie *El Trinidad* przez celownik, wyczuwając rytm wędrówki, w górę i w dół, w górę i w dół, widząc czyste niebo, potem tylko wodę, później znowu okręt. I znowu czyste niebo, kiedy *El Trinidad* podjechał w górę.

Odliczał w duchu, bezgłośnie wymawiając słowa.

– Pięćset jardów – ogłosiła Lazue.

Hunter patrzył jeszcze przez chwilę. Potem zaczął odliczać.

– Jeden! – krzyknął, kiedy celownik pokazał niebo. Potem statek opadł i skrzyżowane włosy szybko przesunęły się przez sylwetkę okrętu.

– Dwa! – zawołał, kiedy celownik wskazał kipiące morze.

Ruch na chwilę zamarł. Hunter czekał.

– Trzy! – wrzasnął, kiedy pokład znowu ruszył do góry.

– Ognia!

Galeon przechylił się gwałtownie, wykonał szaleńczy podskok, kiedy wszystkie trzydzieści dział huknęło jednocześnie. Odrzut cisnął Huntera do tyłu na grotmaszt z siłą, która zaparła mu dech w piersi. Ledwie to zauważył; czekał na ruch w dół, żeby zobaczyć, co się stało z nieprzyjacielem.

– Trafiłeś go – oznajmiła Lazue.

Rzeczywiście trafił. Impet uderzenia przekreślił hiszpański okręt na bok w wodzie, odpychając rufę na zewnątrz. Sylwetka kasztelu rufowego rysowała się teraz poszarpaną linią, a cały bezanmaszt opadał do wody dziwnym, powolnym ruchem, razem z żaglami i ze wszystkim.

Ale w tej samej chwili Hunter spostrzegł, że trafił za daleko w przód, żeby zniszczyć ster, i niedostatecznie daleko, żeby zlikwidować sternika przy rumplu.



Okręt zachował sterowność.

– Załadować i zatoczyć! – krzyknął Hunter.

Na pokładzie hiszpańskiego okrętu wybuchło wielkie zamieszanie. Hunter wiedział, że kupił sobie czas. Czy zdobył całe dziesięć minut, których potrzebował na przygotowanie drugiej salwy – tego nie mógł wiedzieć.

Na rufie okrętu roili się marynarze, odcinali przewrócony bezanmaszt, próbowali się uwolnić.

Przez chwilę zdawało się, że szczątki w wodzie uszkodzą ster, ale do tego nie doszło.

Hunter słyszał dudnienie pod pokładem, kiedy działa jedno po drugim ładowano ponownie i przetaczano na pozycje.

Hiszpański okręt znajdował się teraz bliżej, niecałe czterysta jardów za burtą, ale przechylał się pod fatalnym kątem i nie mógł oddać salwy.

Upłynęła jedna minuta, potem druga.

Hiszpański okręt odzyskał sterowność, bezan razem z żaglami i olinowaniem zdryfował w kilwaterze. Dziób skręcił pod wiatr. Okręt zmieniał kurs, kierował się na bezbronną sterburtę Huntera.

– Niech mnie diabli – powiedział Enders. – Wiedziałem, że to sprytny drań!

Hiszpański okręt ustawił się do salwy ze sterburty i po chwili wystrzelił. Z tak bliskiej odległości salwa okazała się przerażająco skuteczna. Drewno i liny z trzaskiem spadały wokół Huntera.

– Więcej nie wytrzymamy – powiedziała cicho Lazue.

Hunter pomyślał to samo.

– Ile dział zatoczono?! – zawołał.

Don Diego na dole rozejrzał się po pokładzie.

– Szesnaście gotowe!

– Wystrzelimy z szesnastu – oznajmił Hunter.

Kolejna salwa hiszpańskiego okrętu uderzyła w nich z miażdżącą siłą. Statek Huntera rozpadał się wokół niego.

– Panie Enders! – ryknął Hunter. – Przygotować się do zwrotu!

Enders spojrział na niego z niedowierzaniem. Zmiana kursu w tej chwili

skierowałyby statek Huntera na dziób hiszpańskiego okrętu – i jeszcze bliżej.

– Przygotować się do zwrotu! – powtórzył Hunter.

– Gotów do zwrotu! – wrzasnął Enders.

Zdumieni marynarze pobiegli do lin i gorączkowo zaczęli je rozplątywać.

Okręt się zbliżał.

– Trzysta pięćdziesiąt jardów – powiedziała Lazue.

Hunter ledwie ją słyszał. Nie przejmował się już odległością.

Celował przez krzyż w zadymioną sylwetkę okrętu. Oczy go piekły, wzrok się rozmywał od łez. Stracił je mruganiem i skupił się na wyobrażonym punkcie w sylwetce hiszpańskiego okrętu. Nisko, tuż pod cumą dziobową.

– Gotów do zwrotu! Ster na zawietrzną! – zaryczał Enders.

– Gotów do strzału! – odkrzyknął Hunter.

Enders osłupiał. Hunter wiedział o tym, chociaż nie odrywał wzroku od celownika. Zamierzał strzelać podczas zmiany kursu. To było niesłychane, kompletnie szalone.

– Raz! – krzyknął Hunter.

W celowniku zobaczył, jak jego statek skręca na wiatr, wykonuje zwrot i zbliża się do Hiszpana...

– Dwa!

Statek poruszał się teraz powoli, krzyż celownika cal po calu przesuwiał się do przodu po niewyraźnej sylwetce hiszpańskiego okrętu. Za dziobowe ambrazury, na gołe drewno...

– Trzy!

Krzyż dopełznął do celu, ale za wysoko. Hunter czekał, aż jego statek się zanurzy, wiedząc, że w tej samej chwili hiszpański okręt uniesie się lekko na fali, odsłaniając więcej kadłuba.

Czekał; nie śmiał oddychać, nie śmiał mieć nadziei. Okręt lekko podjechał w górę, potem...

– Ognia!

Ponownie jego statek zakołysał się od odrzutu dział. Salwa była nierówna; Hunter słyszał to i czuł, ale nic nie widział. Czekał, aż dym się rozwieje i statek się wyprostuje. Potem spojrział.

– Matko Boska – powiedziała Lazue.

Hiszpański okręt wyglądał tak samo. Hunter całkowicie spudłował.

– Niech mnie diabli wezmą – jęknął i pomyślał, że w tych słowach kryło się teraz sporo prawdy. Diabli wezmą ich wszystkich; następna salwa z hiszpańskiego okrętu ich wykończy.

Don Diego powiedział:

– To była szlachetna próba. Szlachetna próba i dzielnie się spisaleś.

Lazue pokręciła głową. Pocałowała go w policzek.

– Niech nas wszystkich święci mają w opiece – powiedziała. Łza spłynęła jej z oka.

Hunter czuł przygniatającą rozpacz. Stracili swoją ostatnią szansę; zawiódł ich wszystkich.

Teraz nic im już nie pozostało, tylko wciągnąć białą flagę i się poddać.

– Panie Enders! – zawołał – wciągnijcie białą...

Urwał nagle: Enders tańczył za sterem, klepał się po udach i ryczał ze śmiechu.

Potem z dolnych pokładów dobiegły radosne okrzyki. Obsady dział wiwatowały.

Czy oni zwariowali?

Obok niego Lazue zapiszczała z zachwytu i zaczęła się śmiać równie głośno jak Enders.

Hunter obrócił się gwałtownie i spojrzał na hiszpański okręt. Zobaczył, jak dziób unosi się na fali – a potem ujrzał ogromną dziurę, szeroką na siedem czy osiem stóp, ziejącą poniżej linii wodnej. W chwilę później dziób znowu opadł i zasłonił widok zniszczeń.

Hunter ledwie zdążył pojąć znaczenie tego widoku, kiedy forkasztel okrętu rzygnął kłębam dymu, unoszącymi się z zaskakującą szybkością. Chwilę później eksplozja przetoczyła się echem nad wodą.

A potem okręt wojenny zniknął w gigantycznej kuli płomieni, kiedy wybuchnął magazyn prochu. Rozległ się pojedynczy huk, tak silny, że *El Trinidad* się zatrzęsł. Potem huknęło drugi raz i trzeci, i okręt w kilka sekund rozpadł się na ich oczach. Hunter dostrzegł tylko najbardziej fragmentaryczne obrazy

zniszczenia – walące się maszty; armata wyrzucona w powietrze przez niewidzialne ręce; cały kadłub zapadający się do środka, a potem eksplodujący.

Coś trzasnęło w grotmaszt nad jego głową i spadło. Ześliznęło się po jego włosach na ramię i na pokład. Myślał najpierw, że to ptak, ale kiedy spojrzał w dół, zobaczył, że to ludzka ręka, odcięta w nadgarstku. Na jednym palcu tkwił pierścień.

– Dobry Boże – szepnął, a kiedy znowu spojrzał na okręt, zobaczył równie zdumiewający widok.

Okręt zniknął.

Dosłownie: jeszcze przed chwilą tam był, choć pochłaniany przez ogień i rozpalone kule wybuchów. Teraz zniknął. Na powierzchni wody unosiły się płonące szczątki, żagle i drzewca masztów. Wśród nich pływały ciała marynarzy, słyszał krzyki tych, którzy przeżyli. Lecz okręt zniknął.

Wokół niego ludzie śmiali się i podskakiwali, ogarnięci szaleńczą radością. Hunter mógł tylko wpatrywać się w miejsce na wodzie, gdzie przedtem widział okręt. Zatrzymał spojrzenie na zwłokach pływających twarzą do dołu na powierzchni. Ciało należało do hiszpańskiego oficera, poznał to po granatowym mundurze okrywającym plecy. Wybuch zdarł spodnie z trupa i obnażył pośladki. Hunter patrzył na nagie ciało, zafascynowany tym, że plecy wydawały się nietknięte, chociaż ubranie poniżej zostało zniszczone. Ta przypadkowość obrażeń wydawała się jakaś obsceniczna. Potem ciało podskoczyło na falach i Hunter zobaczył, że jest pozbawione głowy.

Jakby z daleka dotarło do niego, że na pokładzie jego statku załoga przestała okazywać radość. Wszyscy ucichli i odwrócili się do niego. Popatrzył na ich twarze, znużone, brudne, krwawiące, oczy zapadnięte i szkliste ze zmęczenia, a jednak dziwnie wyczekujące.

Patrzyli na niego i czekali, żeby coś zrobił. Przez chwilę nie potrafił zrozumieć, czego od niego oczekują. A potem poczuł coś na policzkach.

Deszcz.

# Rozdział 31

Huragan uderzył z wściekłą furią. Po kilku chwilach wiatr wył w olinowaniu z prędkością ponad czterdziestu węzłów, smagając marynarzy kłującymi kroplami deszczu. Morze się wzburzyło, fale dochodziły do piętnastu stóp, góry wody dziko kołysały statkiem. Najpierw jechali na szczycie fali wysoko w powietrzu; po paru sekundach opadali w otchłań, z żołądkami podchodzącymi do gardeł, otoczeni przez wysokie ściany wody.

I każdy wiedział, że to dopiero początek. Wiatr, deszcz i fale znacznie bardziej dadzą się we znaki, a sztorm będzie trwał przez wiele godzin, może nawet dni.

Rzucili się do pracy z energią, która zadawała kłam ich zmęczeniu. Sklarowali pokład i zrefowali podarte żagle; próbowali opuścić żagiel za burłę i zatkać dziury w kadłubie poniżej linii wodnej. Pracowali w milczeniu na mokrych, śliskich, rozkołysanych pokładach i każdy wiedział, że lada chwila fale mogą go zmyć za burłę, i nikt nawet tego nie zauważy.

Ale najpierw – co najtrudniejsze – musieli strymować statek, przesuając działa z powrotem na sterburłę. Nawet na spokojnym morzu, przy suchym pokładzie, nie było to łatwe zadanie. Podczas sztormu, kiedy statek nabierał wody przez burty, kiedy pokład przechylał się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, kiedy wszystkie liny i deski zrobiły się śliskie od wody, to był istny koszmar, niepodobieństwo. A jednak musieli to zrobić, jeśli chcieli przeżyć.

Hunter kierował całą operacją, po jednym dziale naraz. Usiłował przewidzieć kolejne przechyły, wykorzystać kąty nachylenia pokładu, kiedy ludzie mocowali się z ciężarem pięciu tysięcy funtów.

Stracili pierwsze działo; lina pękła i armata śmignęła po przekrzywionym pokładzie jak pocisk, rozbiła reling po drugiej stronie i wpadła do wody. To stało

się tak szybko, że ludzi ogarnął strach. Drugie działo owinięto podwójnymi linami, jednak ono również się wyrwało, miażdżąc po drodze marynarza.

Przez następne pięć godzin ludzie walczyli z wiatrem i deszczem, żeby zatoczyć działa na pozycje i bezpiecznie zamocować. Ledwie żyli z wyczerpania, kiedy wreszcie skończyli; marynarze przywierali do lin i sztagów jak tonące zwierzęta, próbowali wykrzesać z siebie resztki energii, żeby nie dać się zmyć za burzę.

A jednak Hunter wiedział, że sztorm dopiero się zaczyna.

\* \* \*

Huragan, najbardziej przerażająca siła natury, został odkryty przez podróżników wyprawiających się do Nowego Świata. Słowo „huragan” pochodzi z języka Arawaków i oznacza burzę, jaka nie ma odpowiednika w Europie. Załoga Huntera знаła straszliwą potęgę tych potwornych cyklonicznych zjawisk i broniła się przed okropną fizyczną realnością sztormu za pomocą najstarszych marynarskich rytuałów i przesądów.

Enders przy sterze wpatrywał się w góry wody otaczające go ze wszystkich stron i odmawiał wszystkie modlitwy, których nauczył się w dzieciństwie. Jednocześnie ścisnął zębami rekina wiszący na szyi i żałował, że nie może postawić więcej żagli. *El Trinidad* płynął teraz pod trzema żaglami, a trzy żagle przynosiły pecha.

Pod pokładem Maur wyjął sztylet, naciął sobie palec i namalował własną krwią trójkąt na deskach. Na środku trójkąta umieścił pióro i trzymał je tam, szepcząc inkantację.

Na dziobie Lazue wyrzuciła za burzę barylkę solonej wieprzowiny i wystawiła trzy palce.

Odprawiała rytuał najbardziej starożytny ze wszystkich, chociaż znała tylko stare żeglarskie opowieści, że żywność wyrzucona za burzę i trzy palce uniesione w powietrze mogą ocalić tonący statek. W rzeczywistości trzy palce symbolizowały trójząb Neptuna, a jedzenie stanowiło ofiarę dla boga mórz.

Hunter twierdził, że gardzi takimi przesądami, a jednak poszedł do swojej

kajuty, zamknął się na klucz, uklęknął i zaczął się modlić. Wokół niego meble jeździły od ściany do ściany i zderzały się z trzaskiem na skutek szaleńczego kołysania statku.

Na zewnątrz sztorm ryczał z demoniczną furią, statek skrzypiał i jęczał przeciągle, boleśnie.

Początkowo Hunter nie słyszał żadnych innych dźwięków. Potem do jego uszu dotarł kobiecy krzyk. I następny.

Hunter wyszedł z kabiny i zobaczył pięciu marynarzy ciągnących lady Sarah Almont w stronę dziobu, do zejściówki. Wrzeszczała i szarpała się w ich uścisku.

– Stójcie! – krzyknął Hunter i podszedł do nich. Nad ich głowami fale tłukły o pokład.

Mężczyźni unikali jego wzroku.

– Co tu się dzieje?! – zapytał ostro Hunter.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał. W końcu lady Sarah pisnęła:

– Oni chcą mnie wrzucić do oceanu!

Prowodyrem grupy był najwyraźniej Edwards, zahartowany żeglarz, weteran licznych wypraw korsarskich.

– To czarownica – oświadczył, spoglądając wyzywająco na Huntera. – Ot co, kapitanie. Nie przetrzymamy tego sztormu, jeśli ona zostanie na pokładzie.

– Nie bądź śmieszny – prychnął Hunter.

– Jeszcze wspomnicie moje słowa – ostrzegł Edwards. – Nie przetrzymamy z nią na pokładzie. Zapamiętajcie moje słowa, to czarownica, bez dwóch zdań.

– Skąd wiesz?

– Od razu poznałem, jak tylko ją zobaczyłem – oświadczył Edwards.

– Jaki masz dowód?! – naciskał Hunter.

– Ten człowiek oszalał! – zawołała lady Sarah. – Kompletnie oszalał.

– Jaki dowód? – powtórzył Hunter, przekrzykując wiatr.

Edwards się zawahał. W końcu puścił dziewczynę i odwrócił się.

– Nie ma o czym gadać – burknął. – Ale wspomnicie moje słowa.

Odszedł. Pozostali wycofali się jeden za drugim. Hunter został sam z lady

Sarah.

– Idź do swojej kajuty – rozkazał – zamknij drzwi na zasuwę i siedź tam. Nie wychodź pod żadnym pozorem i nikomu nie otwieraj.

Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi ze strachu i kiwnęła głową. Poszła do swojej kajuty. Hunter zaczekał, aż zamknęła za sobą drzwi. Po chwili wahania wyszedł na pokład, w całą furję sztormu.

Pod pokładem sztorm wydawał się straszny, ale na górze przekraczał wszelkie wyobrażenie.

Wiatr szarpał Hunterem jak niewidoczny napastnik, tysiące silnych rąk ciągnęło go i popychało, odrywało od wszystkich przedmiotów, których próbował się złapać. Ulewa spadła na niego z taką siłą, że w pierwszej chwili krzyknął głośno. Na początku prawie nic nie widział. Dojrzał jednak Endersa przy sterze, mocno przywiązanego na stanowisku.

Ruszył w jego stronę, trzymając się liny ratunkowej przeciągniętej przez pokład. W końcu dotarł pod osłonę rufowego kasztelu. Obwiązał się kawałkiem zapasowej liny, nachylił się do Endersa i krzyknął:

– Jak ci idzie?!

– Ani lepiej, ani gorzej! – odkrzyknął Enders. – Trzymamy się i wytrzymamy jeszcze trochę, ale najwyżej parę godzin. Czuję, jak statek się rozpada.

– Ile godzin?

Odpowiedź Endersa zagłuszyła góra wody, która wypiętrzyła się nad nimi i runęła na pokład.

Odpowiedź równie dobra jak każda inna, pomyślał Hunter. Żaden statek nie wytrzyma długo takiego lania, zwłaszcza uszkodzony.

\* \* \*

W swojej kabinie lady Sarah Almont oceniła zniszczenia poczynione przez sztorm i marynarzy, którzy wtargnęli do środka, kiedy robiła przygotowania. Ostrożnie, walcząc z kołysaniem statku, ustawiła prosto świece na podłodze, a następnie zapaliła jedną po drugiej, aż zapłonęło pięć czerwonych świec. Potem



naskrobała na deskach pentagram i wstąpiła do środka.

Bardzo się bała. Kiedy ta Francuzka, madame de Rochambeau, pokazała jej coś, co stanowiło najnowszy krzyk mody na dworze Ludwika XIV, tylko ją rozbawiła, nawet sprowokowała do drwin. Ale powiadano, że we Francji kobiety zabijały swoje nowo narodzone dzieci, żeby zachować wieczną młodość. Skoro tak, może mały czar zachowa ją przy życiu...

Co to szkodziło? Zamknęła oczy, słysząc wycie sztormu.

– Greedigut – szepnęła, czując to słowo na wargach. Głaskała się, klęcząc na podłodze pośrodku wyskrobanego pentagramu. – Greedigut. Greedigut, przyjdź do mnie.

Pokład przechylił się szaleńczo, świece ześliznęły się w jedną stronę, potem w drugą. Musiała przerwać, żeby je złapać. To wszystko bardzo ją rozpraszało. Jak trudno być czarownicą!

Madame de Rochambeau nic nie wspominała o zaklęciach na pokładzie statku. Może nie działały. Może to tylko kupa francuskich bredni.

– Greedigut... – jęknęła. Znowu zaczęła się pieścić.

A potem sztorm jakby przycichł.

Czy tylko jej się zdawało?

– Greedigut, przyjdź do mnie, weź mnie, zamieszkać we mnie...

Wyobraziła sobie szpony, poczuła wiatr szarpiący koszulę nocną, poczuła obecność...

I wiatr ucichł.

# Część V

## PASZCZA SMOKA

### Rozdział 32

Hunter ocknął się z niespokojnego snu z dziwnym przeczuciem, że stało się coś złego. Usiadł w łóżku i uświadomił sobie, że zrobiło się spokojniej: statek kołysał się mniej gwałtownie, a wiatr przycichł do szeptu.

Pospieszył na pokład, gdzie siąpił lekki deszcz. Zobaczył, że morze się uspokoilo i widoczność wzrosła. Enders, wciąż przy sterze, wydawał się półżywy, ale szczyrzył zęby.

– Przetrzyliśmy, kapitanie – powiedział. – Niewiele z nas zostało, ale daliśmy radę.

Pokazał na sterburtę. Tam był ląd – niski, szary zarys wyspy.

– Co to jest? – zapytał Hunter.

– Nie wiem – odparł Enders. – Ale zaraz sprawdzimy.

Sztorm miotał nimi przez dwa dni i dwie noce, więc nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują. Podpłynęli do małej wysepki, niskiej, zarośniętej, niegościnnej. Nawet z daleka widzieli gęste kaktusy na brzegu.

– Myślę, że jesteśmy przy Wyspach Zawietrznych – oznajmił Enders, przezornie mrużąc oczy. – Pewnie niedaleko Boca del Dragon, a na tych wodach nie ma spokoju. – Westchnął. – Szkoda, że nie widać słońca, nie możemy zrobić pomiarów.

Boca del Dragon, czyli Paszcza Smoka – taką nazwę nosił pas wody

pomiędzy karaibskimi Wyspami Zawietrznymi a wybrzeżem Ameryki Południowej. Ten wodny obszar cieszył się złą sławą, chociaż teraz wydawał się spokojny.

Pomimo niewielkiej fali *El Trinidad* chwiał się i zataczał jak pijak. Zdołali jednak na strzępach żagli okrążyć południowy cypel wyspy i znaleźć ładną zatoczkę na zachodnim wybrzeżu. Była osłonięta i miała piaszczyste dno, odpowiednie do karenażu. Hunter zabezpieczył statek, a wyczerpana załoga zeszła na brzeg, żeby odpocząć.

Sanson i *Kasandra* zniknęli bez śladu; czy przetrwali sztorm, to nie obchodziło ludzi Huntera, wykończonych poza granice wytrzymałości. Marynarze porozkładali się na plaży i zasnęli w mokrych ubraniach, z twarzami w piasku, bezwładni jak trupy. Słońce wyjrzało na krótko zza rzadniejących chmur. Hunter, pokonany przez zmęczenie, także zasnął.

Przez następne trzy dni panowała piękna pogoda. Załoga ciężko pracowała: obrócono statek na bok, naprawiono uszkodzenia poniżej linii wodnej i połamane maszty. Na statku nie znaleziono żadnego drewna. Zazwyczaj galeon wielkości *El Trinidada* przewoził w ładowni zapasowe drzewca i maszty, ale Hiszpanie usunęli je, żeby zrobić więcej miejsca dla ładunku.

Ludzie Huntera musieli sobie radzić z tym, co mieli.

Enders złapał promienie słońca w astrolabium i wyznaczył ich szerokość geograficzną.

Znajdowali się niedaleko hiszpańskich twierdz w Cartagenie i Maracaibo na wybrzeżu Ameryki Południowej. Nadal jednak nie wiedzieli nic o swojej wysepce, którą nazwali Bezimienna.

Hunter jako kapitan czuł się bezbronny, kiedy *El Trinidad* leżał obrócony na bok, niezdolny do żeglugi. Gdyby ich teraz zaatakowano, przeżyliby ciężkie chwile. A przecież nie miał powodu do obaw: wyspa była wyraźnie niezamieszкана, podobnie jak dwie sąsiednie wysepki na południu.

Lecz Bezimienna sprawiała wrażenie wrogiej i niegościnniej. Wysuszoną ziemię gęsto porastały kaktusy, miejscami tworzące prawdziwy las. Jaskrawo upierzone ptaki świergotały wysoko w gąszczu, ich głosy niosły się na wietrze. Wiatr nigdy nie ustawał; gorący, męczący, dmuchał z prędkością prawie

dziesięciu węzłów, w dzień i w nocy, tylko z krótką przerwą o świcie. Ludzie przyzwyczaili się spać i pracować z gwizdem wiatru w uszach.

Coś w tym miejscu skłoniło Huntera do wystawienia straży wokół statku i rozproszonych ognisk obozowiska. Tłumaczył sobie, że to ze względu na konieczność utrzymania dyscypliny wśród załogi, ale w rzeczywistości miał złe przeczucia. Czwartego wieczoru przy obiedzie wyznaczył nocne warty. Enders dostał pierwszą zmianę; on sam zamierzał objąć wartę o północy, a Bellows miał go zluzować. Wysłał marynarza, żeby zawiadomił Endersa i Bellowsa. Majtek wrócił po godzinie.

– Przepraszam, kapitanie – powiedział. – Nie mogę znaleźć Bellowsa.

– Jak to nie możesz znaleźć?

– Nigdzie go nie ma, kapitanie.

Hunter rozejrzał się po zaroślach na brzegu.

– On pewnie gdzieś śpi – powiedział. – Znajdź go i przyprowadź do mnie.

Dostanie za swoje.

– Tak jest, kapitanie.

Lecz nad zatoką nie znaleziono ani śladu Bellowsa. W zapadającym zmierzchu Hunter odwołał poszukiwania i zebrał ludzi przy ogniskach. Naliczył trzydziestu czterech, włącznie z hiszpańskimi jeńcami i lady Sarah. Zabronił im oddalać się od ognia i wyznaczył zastępcę, żeby objął wartę Bellowsa.

Noc minęła spokojnie.

\* \* \*

Rano Hunter poprowadził oddział ludzi na poszukiwanie drewna. Na Bezimiennej nie znaleźli drzew, więc popłynęli w dziesięciu uzbrojonych ludzi na najbliższą wysepkę na południu. Z daleka wyglądała podobnie jak Bezimienna i Hunter w gruncie rzeczy nie spodziewał się, że znajdzie tam drewno.

Ale musiał spróbować.

Wciągnęli łódź na plażę na wschodnim brzegu i wyruszyli w głąb wyspy, przedzierając się przez gęstwinę kaktusów, które kłuły i rozdzierały ubranie. Późnym rankiem dotarli na wzniesienie i stamtąd poczynili dwa odkrycia.

Po pierwsze, zobaczyli wyraźnie następną wyspę na południu w archipelagu. Cienkie szare smugi dymu z pół tuzina ognisk dryfowały w powietrzu; wyspa najwidoczniej była zamieszкана.

Natomiast bliżej, na zachodnim brzegu wyspy, na której się znajdowali, dostrzegli dachy wioski. Budynki miały prymitywny wygląd hiszpańskiej osady pogranicznej.

Hunter ostrożnie poprowadził swoich ludzi do wioski. Z muszkietami w pogotowiu przemykali od jednej kępy kaktusów do drugiej. W pobliżu osady jeden z marynarzy przedwcześnie wypalił z muszkietu; huk wystrzału zbudził echo, które poniósł wiatr. Hunter zaklął i czekał na wybuch paniki w wiosce.

Ale nic się nie stało, nie zobaczyli żadnych oznak życia.

Po krótkiej chwili poprowadził ludzi do wioski. Niemal natychmiast spostrzegł, że osada jest opuszczona. Domy stały puste; Hunter wszedł do pierwszego, ale znalazł tylko Biblię wydrukowaną po hiszpańsku oraz parę zżartych przez mole koców rzuconych na toporne, połamane łóżka. Ptaszniki umykały do ciemnych kątów.

Hunter wrócił na ulicę. Ludzie ostrożnie zaglądali do kolejnych domów i wychodzili z pustymi rękami, kręcąc głowami.

– Może ktoś ich ostrzegł przed nami – zasugerował któryś marynarz.

Hunter pokręcił głową.

– Spójrz na zatokę.

W zatoce kołysały się lekko cztery małe jolki przycumowane na płyciźnie. Mieszkańcy wioski z pewnością uciekliby na morze. Nie zostawiliby łodzi.

– Popatrzcie! – zawołał marynarz stojący na plaży.

Hunter podszedł do niego. Zobaczył pięć głębokich rowów wyłobionych w piasku, ślady wąskich łodzi albo kanu ściąganych na wodę. Zobaczył też liczne ślady bosych stóp. I kilka czerwonych plam.

– Czy to krew?

– Nie wiem.

Na północnym krańcu osady wznosił się kościółek, równie prymitywny jak reszta budowli.

Hunter i jego ludzie weszli do środka. Wnętrze okazało się zdemolowane,

ściany zachlapanie krwią. Doszło tutaj do jakiejś masakry, ale dość dawno, co najmniej przed kilkoma dniami.

Smród zaschniętej krwi wywoływał mdłości.

– Co to jest?

Hunter podszedł do marynarza, który patrzył na łuskowatą skórę leżącą na ziemi.

– Wygląda jak krokodyl.

– Tak, ale skąd się wziął?

– Nie stąd – stwierdził Hunter. – Tu nie ma krokodyli. Podniósł skórę. Należała do wielkiej bestii, mającej co najmniej pięć stóp długości. Niewiele karaibskich krokodyli osiągało takie rozmiary; te na bagnach w głębi Jamajki miały najwyżej trzy do czterech stóp.

– Zdjęta jakiś czas temu – ocenił Hunter. Dokładnie obejrzał znalezisko. Wokół łba wycięto dziury, przez które przeciągnięto rzemień, jakby do noszenia skóry na ramionach.

– Niech mnie, popatrz tam, kapitanie.

Hunter spojrział w stronę następnej wyspy na południu. Dymy ognisk, widoczne wcześniej, znikły. Potem usłyszeli stłumione bicie bębnow.

– Lepiej wracajmy do łodzi – powiedział Hunter. Ludzie szybko maszerowali w blasku popołudnia. Prawie godzinę zabrał im powrót do łodzi wyciągniętych na brzeg po zachodniej stronie wyspy. W pobliżu znaleźli następny tajemniczy ślad po kanu. I coś jeszcze.

Obok łodzi wygładzono spłachetek plaży i otoczono kręgiem z kamyków. Na środku wystawało z piasku pięć palców dłoni.

– To zakopana ręka – powiedział któryś z żeglarzy. Nachylił się i pociągnął za palec.

Palec gładko wyszedł. Zaskoczony mężczyzna upuścił go na piasek i odskoczył.

– Rany boskie!

Serce Huntera mocniej zabiło. Popatrzył na marynarzy, którzy kulili się ze strachu.

– Uspokójcie się – powiedział.

Nachylił się i wyciągnął następne palce, jeden za drugim. Wszystkie wyszły gładko. Położył je na dłoni. Załoga patrzyła ze zgrozą.

– Co to znaczy, kapitanie?

Nie miał pojęcia. Włożył palce do kieszeni.

– Wracajmy na galeon, to się dowiemy – powiedział.

\* \* \*

Wieczorem przy ognisku Hunter wpatrywał się w odcięte palce. To Lazue dostarczyła odpowiedzi, której szukali.

– Obejrzyjcie końce – powiedziała, wskazując na nierówne krawędzie w miejscach, gdzie palce odcięto od dłoni. – To robota Karaibów, bez dwóch zdań.

– Karaibów – powtórzył zdumiony Hunter.

Wojownicze plemię Indian Karaibów, niegdyś zamieszkujące karaibskie wyspy, stało się teraz niemal mitem, ludem zaginionym w pomroce dziejów.

Wszyscy Indianie na Karaibach zostali wytępieni przez Hiszpanów w ciągu pierwszych stu lat ich dominacji. Nieliczni pokojowo nastawieni Arawakowie wegetowali jeszcze w brudzie i nędzy na śródlądowych terenach kilku odległych wysp. Lecz krwiożerczy Karaibowie znikli dawno temu.

Przynajmniej tak mówiono.

– Skąd wiesz? – zapytał Hunter.

– Po końcówkach – wyjaśniła Lazue. – Tych cięć nie zrobiono metalem. To były kamienne ostrza.

Umysł Huntera z trudem przyswajał sobie te nowe informacje.

– To pewnie jakaś hiszpańska sztuczka, żeby nas odstraszyć – powiedział, ale bez przekonania. Wszystko do siebie pasowało: ślady kanu, krokodyłowa skóra z przewleczonymi rzemieniami.

– Karaibowie to kanibale – oznajmiła Lazue bezbarwnym tonem. – Ale zostawiają palce jako ostrzeżenie. To ich zwyczaj.

Podszedł Enders.

– Przepraszam, kapitanie, ale panna Almont nie wróciła.

– Co?

– Nie wróciła.

– Skąd?

– Pozwoliłem jej pójść w głąb wyspy – wyznał żałośnie Enders, wskazując ciemne kaktusy na skraju kręgu światła rzucanego przez ogniska. – Chciała nazbierać owoców i jagód, podobno jest wegetarianką...

– Kiedy jej pozwoliłeś pójść?

– Po południu, kapitanie.

– I jeszcze nie wróciła?

– Wysłałem z nią dwóch marynarzy – powiedział Enders. – Nie myślałem...

Urwał.

W ciemnościach rozbrzmiało odległe dudnienie indiańskich bębnow.

– To pewnie jakaś hiszpańska sztuczka, żeby nas odstraszyć – powiedział, ale bez przekonania. Wszystko do siebie pasowało: ślady kanu, krokodylowa skóra z przewleczonymi rzemieniami.

– Karaibowie to kanibale – oznajmiła Lazue bezbarwnym tonem. – Ale zostawiają palce jako ostrzeżenie. To ich zwyczaj.

Podszedł Enders.

– Przepraszam, kapitanie, ale panna Almont nie wróciła.

– Co?

– Nie wróciła.

– Skąd?

– Pozwoliłem jej pójść w głąb wyspy – wyznał żałośnie Enders, wskazując ciemne kaktusy na skraju kręgu światła rzucanego przez ogniska. – Chciała nazbierać owoców i jagód, podobno jest wegetarianką...

– Kiedy jej pozwoliłeś pójść?

– Po południu, kapitanie.

– I jeszcze nie wróciła?

– Wysłałem z nią dwóch marynarzy – powiedział Enders. – Nie myślałem...

Urwał.

W ciemnościach rozbrzmiało odległe dudnienie indiańskich bębnow.



# Rozdział 33

W pierwszej z trzech szalup Hunter nasłuchiwał cichego pluskania fal o burty i wpatrywał się w coraz bliższą wyspę. Bębny brzmiały głośniejsze, w głębi ładu migotały odblaski ognisk.

Lazue, siedząca obok niego, powiedziała:

– Oni nie jedzą kobiet.

– Dobrze się dla ciebie składa – mruknął Hunter.

– I dla lady Sarah. Podobno – dodała Lazue, chichocząc w ciemnościach – Karaibowie nie jedzą także Hiszpanów. Za twardzi. Holendrzy są pulchni, ale bez smaku, Anglicy przeciętni, ale. Francuzi wyborni. Jak myślisz, czy to prawda?

– Chcę ją odzyskać – oświadczył ponuro Hunter. – Potrzebujemy jej. Jak powiemy gubernatorowi, że uratowaliśmy jego bratanicę tylko po to, żeby jakieś dzikusy zrobiły z niej pieczeń?

– Nie masz poczucia humoru – stwierdziła Lazue.

– Nie dzisiaj.

Obejrzał się na pozostałe łodzie płynące z tyłu. W sumie zabrał dwudziestu siedmiu ludzi.

Enders został na *El Trinidadzie* i pośpiesznie próbował naprawić statek przy świetle pochodni. Enders był okrętowym czarodziejem, ale teraz za dużo od niego wymagano. Nawet jeśli odbiją lady Sarah, nie mogą opuścić Bezimiennej jeszcze przez jeden dzień, może dłużej.

A tymczasem Indianie zaatakują.

Poczuł, że szalupa szoruje o piaszczysty brzeg. Ludzie wyskoczyli do wody sięgającej po kolana. Hunter szepnął:

– Wszyscy wysiadać oprócz Żyda. Uważajcie z Żydem.

Po chwili don Diego zszedł ostrożnie na suchy ląd, tuląc w ramionach

cenny ładunek.

– Zamoczyło się? – szepnął Hunter.

– Chyba nie – odparł don Diego. – Pilnowałem. – Zamrugnął słabymi oczami. – Nie widzę za dobrze.

– Idź za mną – polecił Hunter.

Poprowadził swój oddział w głąb wyspy. Za nim, na plaży, uzbrojeni mężczyźni wysiadali z dwóch pozostałych łodzi. Wśliznęli się ukradkiem pomiędzy kaktusy na brzegu. Noc była bardzo ciemna, bezksiężycowa. Wkrótce wszyscy maszerowali rażno w stronę ognisk i dudniących bębnow.

Karaibska wioska okazała się znacznie większa, niż przypuszczali: tuzin chat z błota krytych trawą, stojących półkolem wokół kilku buzujących ognisk. Przy ogniskach tańczyli i wyli wojownicy, pomalowani jaskrawą czerwienią; ich ciała rzucały długie, ruchliwe cienie. Kilku nosiło krokodylowe skóry na głowach; inni potrząsali ludzkimi czaszkami. Wszyscy byli nadzy. Zawodzili upiorną, monotonną pieśń.

Nad ogniem przybysze mogli podziwiać przedmiot ceremonii. Tam, na kratownicy z zielonych patyków, spoczywał bezręki, beznogi, wypatroszony tułów marynarza. Z boku grupa kobiet czyściła ludzkie wnętrzości.

Hunter nie widział lady Sarah. Potem Maur ją pokazał.

Leżała na boku na ziemi. Włosy miała zlepione krwią. Nie poruszała się. Prawdopodobnie nie żyła.

Hunter popatrzył na swoich ludzi. Na ich twarzach malował się szok i wściekłość.

Szepnąwszy kilka słów do Lazue, Hunter odczołgał się razem z Bassą i Żydem na skraj wioski.

Trzej mężczyźni weszli do jednej z chat, z nożami w pogotowiu. Chata okazała się pusta. Z sufitu zwisały czaszki, pobrzękując na wietrze, który hulał po wiosce. W kącie stał kosz kości.

– Szybko – powiedział Hunter, ignorując szczątki.

Don Diego położył *grenadoe* na środku izby i zapalił lont.

Trzej mężczyźni wymknęli się z chaty i przekradli na drugi koniec wioski. Don Diego zapalił lont drugiego *grenadoe* i czekał.

Pierwszy *grenadoe* eksplodował z ogłuszającym hukiem. Chata rozleciała się na tysiąc kawałków; oszołomieni wojownicy barwy gotowanych homarów zawyli ze zdumienia i strachu. Don Diego wrzucił drugi *grenadoe* do ogniska. Po chwili nastąpił wybuch.

Wojownicy wrzeszczeli, dziurawieni fruującymi kawałami metalu i szkła. Jednocześnie ludzie Huntera otwarli ogień z zarośli.

Hunter i Maur podczołgali się do przodu, chwycili ciało lady Sarah Almont i umknęli z powrotem w krzaki. Wokół nich karaibscy wojownicy wrzeszczeli, wyli i umierali. Strzechy chałup zajęły się ogniem. Hunter rzucił ostatnie spojrzenie na wioskę, zmienioną w płonące piekło.

Wycofywali się pospiesznie i bezładnie. Bassa jako najsilniejszy niósł z łatwością Angielkę.

Jęknęła.

– Ona żyje – powiedział Hunter.

Znowu jęknęła.

Szybkim truchtem ludzie dotarli na plażę, do łodzi. Odpłynęli z wyspy bez dalszych wypadków.

\* \* \*

O świcie wszyscy znaleźli się bezpiecznie z powrotem na statku. Enders przekazał prace nad galeonem Hunterowi, a sam zajął się obrażeniami kobiety. Późnym rankiem złożył raport.

– Przeżyje – powiedział. – Paskudny cios w głowę, ale nic poważnego. – Popatrzył na statek. – Chciałbym, żeby łajba była w równie dobrym stanie.

Hunter próbował przygotować przechylony statek do drogi. Ale zostało jeszcze dużo do zrobienia: grotmaszt nadal był słaby i brakowało bocianiego gniazda; fokmaszt zniknął, a poniżej linii wodnej wciąż ziała wielka dziura. Zerwali sporą część pokładu, żeby zdobyć drewno na naprawy, i wkrótce musieliby zerwać część dolnego pokładu działowego. Robota posuwała się powoli.

– Nie możemy wypłynąć wcześniej niż jutro rano – oświadczył Hunter.

– Wolałbym tutaj nie zostawać na noc – powiedział Enders, rozglądając się po wyspie.

– Na razie jest spokojnie. Ale wolałbym tu nie nocować.

– Ja też – przyznał Hunter.

Pracowali do późnej nocy, wyczerpani ludzie nie zmrużyli oka, w gorączkowym pośpiechu usiłując zakończyć remont. Wystawiono silne straże, co spowalniało prace, ale Hunter czuł, że to konieczne.

O północy bębny znowu zaczęły dudnić i hałasowały prawie przez godzinę. Potem zapadła złowroga cisza.

Ludzie, wytrąceni z równowagi, nie chcieli pracować i Hunter musiał ich poganiać. Przed świtem stał obok marynarza na plaży i pomagał mu przytrzymać deskę, kiedy mężczyzna klepnął się po szyi.

– Przekłęte moskity – powiedział.

A potem z dziwnym wyrazem twarzy przewrócił się, zakaszłał i umarł.

Hunter pochylił się nad nim. Obejrzał szyję i znalazł tylko ślad ukłucia z pojedynczą czerwoną kropelką krwi. A jednak marynarz nie żył.

Od strony dziobu doleciał krzyk i następy człowiek zwał się martwy na piasek. Załoga wpadła w popłoch; wartownicy porzucili wyznaczone stanowiska i uciekli na statek; ludzie skulili się pod osłoną kadłuba.

Hunter ponownie spojrzął na trupa u swoich stóp. Potem zobaczył coś w dłoni zmarłego. Była to maleńka, upierzona strzałka zakończona igłą.

Zatrute strzałki.

– Nadchodzą! – krzyknęli wartownicy.

Ludzie chowali się za kawałkami drewna, stosami śmieci, wykorzystywali wszystko, cokolwiek zapewniało osłonę. Czekali w napięciu. Ale nikt się nie pojawił: krzaki i kępy kaktusów nad brzegiem trwały w bezruchu.

Enders podczołgał się do Huntera.

– Czy mamy podjąć pracę?

– Ilu straciłem?

– Petersa. – Enders spuścił wzrok. – I jeszcze Maxwella.

Hunter pokręcił głową.

– Nie mogę stracić następnych. – Załoga zmniejszyła się do trzydziestu

ludzi. – Czekajmy na świt.

– Przekażę – powiedział Enders i odpełznął.

W tej samej chwili rozległ się świst i stuk. Mała pierzasta strzałka wbiła się w drewno obok ucha Huntera. Znowu się schylił i czekał.

Nic więcej się nie wydarzyło aż do świtu, kiedy z upiornym wyciem czerwono pomalowani wojownicy wyszli z krzaków i zbiegli na plażę. Ludzie Huntera odpowiedzieli salwą z muszkietów. Tuzin dzikusów upadł na piasek, a pozostali umknęli do kryjówek.

Hunter i jego ludzie czekali skuleni w niewygodnych pozycjach aż do południa. Ponieważ nic się nie działo, Hunter z wahaniem kazał wrócić do pracy. Sam poprowadził oddział ludzi w głąb wyspy. Dzicy zniknęli bez śladu.

Hunter wrócił na statek. Wymęczeni, wymizerowani ludzie ruszali się jak muchy w smole.

Ale Enders był dobrej myśli.

– Odpukać w niemalowane drewno – powiedział – dzięki opatrności niedługo odpłyniemy.

Kiedy hałasy i stukanie młotków znowu rozniosły się po okolicy, Hunter poszedł zobaczyć się z lady Sarah.

Leżała na piasku i patrzyła na niego.

– Pani – powiedział – jak się czujesz?

Dalej patrzyła bez słowa. Oczy miała otwarte, ale go nie widziała.

– Pani?

Brak odpowiedzi.

– Pani?

Przesunął ręką przed jej twarzą. Nie mrugnęła. Jakby go nie rozpoznała.

Odszedł, kręcąc głową.

Zwodowali *El Trinidad* przy wieczornym przyływie, ale nie mogli wypłynąć z zatoki przed świtem. Hunter spacerował po pokładzie statku, zerkając na brzeg. Znowu słyszał bębny. Był bardzo zmęczony, ale nie zasnął. Od czasu do czasu w powietrzu świstały zabójcze strzałki. Nikogo nie trafiły. Enders, pełzając po statku jak bystrooka małpa, ocenił naprawy na wystarczające, jeśli nie zadowolające.

O pierwszym brzasku wciągnęli kotwicę rufową i halsując, wypłynęli na otwarte wody.

Hunter spodziewał się zobaczyć flotyllę kanu z czerwonymi wojownikami gotowymi do ataku. Teraz mógł ich poczęstować salwą z armat i czekał na tę okazję.

Ale Indianie nie zaatakowali i kiedy podniesiono żagle, żeby złapać wiatr, i Wyspa Bezimienna została za nimi, cały epizod wydawał się złym snem. Hunter był bardzo zmęczony. Wysłał większość ludzi do łóżek i zostawił przy sterze Endersa ze szkieletową załogą.

Enders się martwił.

– Na Boga – powiedział Hunter – ty się wiecznie martwisz. Właśnie uciekliśmy dzikusom, mamy statek pod nogami i spokojne morze przed nami. To ci nie wystarczy?

– Owszem, morze jest spokojne – przyznał Enders – ale teraz jesteśmy w Boca del Dragon, pamiętaj. To nie miejsce na szkieletową załogę.

– Ludzie potrzebują snu – odparł Hunter i zszedł pod pokład.

Natychmiast zapadł w męczący, pełen koszmarów sen w swojej dusznej, przegrzanej kajucie.

Śniło mu się, że statek wywrócił się w Boca del Dragon, gdzie jest głęboko jak nigdzie indziej na Morzu Zachodnim. Opadał w błękitnej wodzie, potem w czarnej...

Ocknął się gwałtownie, zbudzony przez kobiecy krzyk. Wybiegł na pokład. Zmierzchało się, wiatr prawie całkiem ucichł; żagle *El Trinidad*a marszczyły się i odbijały czerwonawy poblask zachodzącego słońca. Lazue, która zluzowała Endersa, stała przy sterze. Wskazała na morze.

– Popatrz tam.

Hunter spojrział. Za bakburtą woda się kotłowała i jakiś fosforyzujący błękitnozielony obiekt zmierzał ku nim z dużą szybkością.

– Smok – oznajmiła Lazue. – Smok ściga nas od godziny.

Hunter patrzył. Świeący stwór zbliżył się i przepłynął wzdłuż statku, zwalniając prędkość. Wyglądał jak gigantyczna kula rozjarzonego cielska, za którą wlokły się długie macki.

– Nie! – krzyknęła Lazue, kiedy coś wyrwało jej ster z rąk. Statek zakołysał się szaleńczo. – On atakuje!

Hunter chwycił ster, ścisnął obiema rękami, ale jakaś potężna siła wyszarpnęła mu rumpel.

Zatoczył się do tyłu i uderzył o nadburcie tak mocno, że zaparło mu dech. Na pokład wybiegali marynarze, których sprowadziły krzyki Lazue. Rozległy się strwożone głosy:

– Kraken! Kraken!

Hunter wstał, ale w tej samej chwili oślizła macka prześliznęła się nad relingiem i owinęła go w pasie. Ostre, rogowe przyssawki rozrywały na nim ubranie i ciągnęły go za burtę. Cielsko stwora promieniowało zimnem. Pokonując odrazę, zaczął ciąć sztyletem mackę, która go oplatała. Kończyna z nadludzką siłą uniosła go w powietrze. Raz po raz wbijał sztylet w zimne ciało. Zielonkawa krew spływała mu po nogach.

A potem nagle macka go puściła i upadł na pokład. Gramoląc się na nogi, zobaczył macki wszędzie dookoła, wijące się nad rufą statku, wpełzające na pokład rufowy. Pochwyciły jakiegoś marynarza, uniosły go wysoko w powietrze i cisnęły niemal pogardliwie do wody.

– Pod pokład! Pod pokład! – krzyczał Enders.

Hunter usłyszał palbę muszkietów gdzieś na śródkręciu.

Mężczyźni wychylali się przez burtę i strzelali do stwora.

Pobiegł na rufę i spojrzał w dół. Zobaczył okropny widok. Bulwiaste cielsko stwora tkwiło dokładnie za rufą, liczne macki oplatały kadłub statku, skręcały się i chlastały na wszystkie strony. Całe cielsko fosforyzowało na zielono w zapadającym zmroku. Zielone macki wciskały się przez okna kabin rufowych.

Hunter nagle przypomniał sobie lady Sarah i pobiegł na dół. Zastał ją w kajucie, wciąż z kamienną twarzą.

– Chodź, pani...

W tej samej chwili oprawna w ołów szyba bulaju pękła i ogromna macka, gruba jak pień drzewa, wśliznęła się do kajuty. Owinęła się wokół działa i szarpnęła; działo uwolniło się od klinów i potoczyło się po podłodze. Tam, gdzie dotknęły go zrogowaciałe przyssawki, na lśniącym złotym metalu zostały

głębokie rysy i zadrapania.

Lady Sarah wrzasnęła.

Hunter znalazł toporek i rąbnął w wijącą się mackę. Ohydnie zielona krew siknęła mu w twarz. Przyssawki otarły się o jego policzek, kalecząc skórę. Macka cofnęła się, a potem znowu podpełzła do przodu, owinęła się wokół jego nogi niczym zielony świecący wąż, przewróciła go na podłogę i powlokła w stronę okna. Hunter wbił toporek w pokład, żeby się zatrzymać; ostrze zostało wyrwane i lady Sarah znowu wrzasnęła, kiedy macka wyciągnęła Huntera przez rozbite okno na zewnątrz, ponad rufę statku.

Moment wisiał w powietrzu, kołysząc się w uścisku macki, która trzymała go za nogę, jak dziecko trzyma lalkę. Potem został rzucony na rufę *El Trinidad*; chwycił reling przy kabinie rufowej i przytrzymał się jedną obolałą ręką. Toporkiem ściskany w drugiej ręce znowu zaczął walić mackę, aż wreszcie go uwolniła.

Przez chwilę znalazł się bardzo blisko stwora, kotłującego się poniżej w wodzie. Zdumiał się jego rozmiarem. Potwór jakby pożerał statek, obejmując mocno rufę licznymi mackami.

Nawet powietrze zdawało się świecić zielonkawym blaskiem, wydzielanym przez cielsko stwora.

Tuż pod sobą Hunter zobaczył jedno ogromne oko, średnicy pięciu stóp, większe od stołu.

Oko, pobawione wyrazu, nie mrugało; czarna źrenica, otoczona świecącym zielonkawym ciałem, jakby beznamiętnie lustrowała Huntera. Dalej cielsko stwora miało kształt łopaty z dwoma spłaszczonymi grotami. Ale uwagę Huntera przykuwały głównie macki.

Kolejna podpełzła ku niemu; widział przyssawki wielkości talerzy obiadowych, otoczone zrogowaciałymi obwódkami. Rozdzierały jego ciało, a on próbował się uchylać, wciąż rozpaczliwie uczepony relingu.

Nad jego głową marynarze strzelali do potwora. Enders krzyknął:

– Wstrzymać ogień! To kapitan!

A potem jednym machnięciem gruba macka oderwała Huntera od relingu i strąciła do wody, prosto na grzbiet bestii.



Przez chwilę obracał się i szamotał w zielonej, świecącej wodzie. Potem znalazł oparcie dla nóg. Naprawdę stał na potworze! Oślizła powierzchnia uginała się, jakby stał na worku wody.

Za każdym razem, kiedy opadał na czworaki, czuł pod rękami zimną, szorstką skórę. Cielsko poruszało się i pulsowało.

Hunter popęztał do przodu, rozchlapując wodę, aż dotarł do oka. Widziane z tak bliska, wydawało się ogromne, rozległa dziura w świetlistej zieleni.

Hunter nie wahał się; zamachnął się toporkiem i uderzył w szklistą kopułę oka. Ostrze odskoczyło od powierzchni; uderzył jeszcze raz i jeszcze. Wreszcie metal wbił się głęboko.

Strumień czystej wody trysnął w górę jak gejzer. Ciało wokół oka zdawało się kurczyć.

A potem nagle morze spieniło się mleczną bielą, potwór się zanurzył i Hunter stracił grunt pod nogami. Dryfował w oceanie, wzywając pomocy. Rzucono mu linę i chwycił ją w chwili, kiedy potwór znowu się wynurzył. Impet wyrzucił Huntera w powietrze, ponad zmętniałą białą wodę. Spadł i ponownie wylądował na chropowatej skórze potwora.

Teraz Enders i Maur wyskoczyli za burtę z włóczniami w dłoniach. Wbili włócznie głęboko w ciało potwora. Kolumny zielonkawej krwi wystrzeliły w powietrze. Woda się zakotłowała – i bestia znikła, zapadła się w głębiny oceanu.

Hunter, Enders i Maur szamotali się w spienionej wodzie.

– Dzięki – wydyszał Hunter.

– Nie dziękuj mi – odparł Enders, wskazując Maura. – Ten czarny drań mnie wypchnął.

Niemy Bassa wyszczerzył zęby.

Wysoko w górze zobaczyli, że *El Trinidad* zmienia kurs i zawraca, żeby ich zabrać.

– Wiecie co – powiedział Enders, rozgarniając wodę rękami – kiedy wrócimy do Royal, nikt nam nie uwierzy.

Rzucono im liny i mokrych, kaszlących, wyczerpanych wciągnięto na pokład.

# Część VI

## PORT ROYAL

### Rozdział 34

Wczesnym popołudniem 20 października 1665 roku hiszpański galeon *El Trinidad* dotarł do wschodniego ujścia kanału w Port Royal, za krzaczastymi wzniesieniami South Cay, i kapitan Hunter rozkazał rzucić kotwicę.

Zatrzymali się dwie mile od samego Port Royal. Hunter i jego załoga stali przy relingach i spoglądali ponad kanałem na miasto. W porcie panował spokój; jeszcze nie zauważono ich przybycia, wiedzieli jednak, że za chwilę zagrzmiały wystrzały i rozpocznie się szalone święto, którym zawsze witano kolejną zdobycz wojenną. Huczne uroczystości nierzadko trwały nawet przez dwa dni albo dłużej.

Lecz godziny mijały i nikt nie świętował. Przeciwnie, z każdą chwilą miasto wydawało się coraz cichsze. Żadnych wystrzałów, żadnych ognisk, żadnych powitalnych okrzyków ponad spokojną wodą.

Enders zmarszczył brwi.

– Czyżby Hiszpan zaatakował?

Hunter pokręcił głową.

– Niemożliwe.

Port Royal był najsilniejszym angielskim osiedlem w Nowym Świecie. Hiszpanie mogli zaatakować St. Kitts albo którąś inną osadę. Ale nie Port Royal.

– Coś jest nie tak, to pewne.

– Wkrótce się dowiemy – stwierdził Hunter, ponieważ z Fort Charles, pod

którego lufami zakotwiczyli, właśnie wypłynęła szalupa.

Szalupa przycumowała przy *El Trinidadzie* i na pokład wszedł kapitan królewskiej milicji.

Hunter go znał: Emerson, młody oficer u progu kariery. Emerson wydawał się spięty; przemówił zbyt głośno:

– Kto jest kapitanem tego okrętu?

– Ja – powiedział Hunter, podchodząc z uśmiechem. – Jak się masz, Peter?

Emerson stał sztywno. Niczym nie zdradził, że poznaje Huntera.

– Przedstaw się, panie, jeśli łaska.

– Peter, przecież doskonale wiesz, kim jestem. Co to ma znaczyć...

– Przedstaw się, panie, pod karą grzywny.

Hunter zmarszczył brwi.

– Cóż to za szarada?

Emerson, wyprężony jak struna, wyrecytował:

– Czy nazywasz się Charles Hunter, obywatel kolonii Massachusetts Bay, ostatnio z kolonii Jego Królewskiej Mości na Jamajce?

– Tak – potwierdził Hunter.

Zauważył, że pomimo chłodnego wieczoru Emerson się poci.

– Przedstaw swój statek, jeśli łaska.

– To hiszpański galeon *El Trinidad*.

– Hiszpański statek?

Hunter się zniecierpliwił.

– To jasne jak słońce.

– W takim razie, Charlesie Hunterze – Emerson zaczerpnął oddechu – moim zaprzysiężonym obowiązkiem jest aresztować cię pod zarzutem piractwa...

– Piractwa!

– ...a także całą twoją załogę. Zechcesz zejść ze mną do szalupy.

Hunter osłupiał.

– Na czyj rozkaz?

– Na rozkaz pana Roberta Hackletta, tymczasowego gubernatora Jamajki.

– Ale sir James...

– Podczas gdy my rozmawiamy, sir James umiera – wyjaśnił Emerson. – Teraz pozwól pan ze mną.

Oniemiały, poruszając się jakby w transie, Hunter wsiadł do szalupy. Żołnierze powiosłowali do brzegu. Hunter obejrzał się na malejącą sylwetkę swojego statku. Wiedział, że załoga jest równie oszołomiona jak on.

Odwrócił się do Emersona.

– Co się dzieje, do diabła?

Emerson trochę się odprężył, odkąd znalazł się w szalupie.

– Zaszło wiele zmian – powiedział. – Dwa tygodnie temu sir James zapadł na gorączkę...

– Jaką gorączkę?

– Mówię ci, co wiem – odparł Emerson. – Od tylu dni spoczywa złożony niemocą w rezydencji gubernatorskiej. Pod jego nieobecność pan Hacklett przejął zarząd kolonii.

Pomaga mu komandor Scott.

– Naprawdę?

Hunter zdawał sobie sprawę, że reaguje powoli. Nie mógł uwierzyć, że na zakończenie wszystkich przygód, po tych sześciu ciężkich tygodniach, zostanie wtrącony do więzienia – i niewątpliwie powieszony – niczym pospolity pirat.

– Tak – potwierdził Emerson. – Pan Hacklett sprawuje surowe rządy. Wielu wsadził już do więzienia albo powiesił. W zeszłym tygodniu powieszono Pittsa...

– Pittsa!

– ...a Morely'ego ledwie wczoraj. I wystawiono nakaz aresztowania na twoje nazwisko.

Tysiąc argumentów przyszło Hunterowi do głowy i tysiąc pytań. Ale milczał. Emerson był tylko funkcjonariuszem wykonującym rozkazy dowódcy, tego wymuskanego, fircykowatego Scotta. Emerson wypełni swój obowiązek.

– Do którego więzienia mnie wyślą?

– Do Marshallsea.

Hunter roześmiał się z tej niedorzecznej sytuacji.

– Znam nadzorcę z Marshallsea.

– Już nie. Teraz jest nowy nadzorca. Człowiek Hackletta.

– Rozumiem.

Hunter nie mówił nic więcej. Słuchał chlupotania wiosła w wodzie i patrzył, jak Fort Charles wznosi się nad nim coraz wyżej.

W forcie zaimponowała mu czujność i zdyscyplinowanie załogi. Dawniej na murach mógł zobaczyć tuzin pijanych wartowników wyśpiewujących sprośne piosenki. Tego wieczoru wszyscy byli trzeźwi, schludni i umundurowani.

Oddziałek sprawnych, uzbrojonych żołnierzy eskortował Huntera do miasta. Maszerowali po dziwnie opustoszałej Lime Street, potem na północ York Street, mijali ciemne tawerny, zwykle rzęsiście oświetlone o tej porze. W mieście panowała uderzająca cisza, błotniste ulice świeciły pustką.

Marshallsea, więzienie dla mężczyzn, znajdowało się na końcu York Street. Był to duży kamienny budynek z pięćdziesięcioma celami na dwóch piętrach. Cuchnęło tam uryną i fekaliami; szczury przemykały w sitowiu zaścielającym podłogę; więźniowie spoglądali obojętnie na Huntera zza krat, kiedy prowadzono go przy świetle pochodni do celi, gdzie został zamknięty.

Rozejrzał się po swojej celi. Żadnych sprzętów, żadnego łóżka ani pryczy, tylko słoma na podłodze i wysoko zakratowane okno. Za oknem widział chmury płynące po tarczy ubywającego księżyca.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim ze szczękiem, odwrócił się do Emersona.

– Kiedy będą mnie sądzić za piractwo?

– Jutro – odparł Emerson i odszedł.

\* \* \*

Proces Charlesa Huntera odbył się 21 października 1665 roku, w sobotę. Zwykle sąd nie zbierał się w soboty, niemniej Huntera sądzono właśnie tego dnia. Zniszczony przez trzęsienie ziemi budynek był prawie pusty, kiedy wprowadzono tam Huntera, samego, bez załogi, i postawiono przed wysokim trybunałem siedmiu mężczyzn, zasiadającym za drewnianym stołem. Trybunałowi przewodniczył sam Robert Hacklett, jako tymczasowy gubernator kolonii Jamajka.

Hunter stanął przed trybunałem i odczytano mu akt oskarżenia.

– Podnieś prawą rękę.

Usłuchał.

– Ty, Charlesie Hunterze, i wszyscy twoi towarzysze z upoważnienia naszego suwerennego władcy, Karola, króla Wielkiej Brytanii, jesteście oskarżeni o następujące zbrodnie.

Na chwilę zapadło milczenie. Hunter rozejrzał się po twarzach: Hacklett, mierzący go gniewnym wzrokiem, z cieniem uśmiešku satysfakcji; Lewisham, sędzia Admiralicji, wyraźnie skrepowany; komandor porucznik Scott, dłubiący sobie w zębach złotą wykałaczką; kupcy Foster i Poorman, unikający spojrzenia Huntera; porucznik Dodson, bogaty oficer milicji, usiłujący poluzować mundur; James Phips, kapitan statku handlowego. Hunter znał ich wszystkich i widział, jak nieswojo się czuli.

– Okazując jawne lekceważenie praw waszego kraju i suwerennych przymierzy waszego króla, niegodziwie zebraliście się i działaliście na szkodę poddanych oraz posiadłości Jego Chrześcijańskiej Wysokości Filipa Hiszpańskiego na lądzie i morzu. A kierując się najgorszymi i najpodlejszymi intencjami, najechaliście hiszpańską osadę na wyspie Matanceros, żeby splądrować, obrabować i spalić każdy statek i okręt, jaki wpadł wam w ręce.

Ponadto jesteście oskarżeni o stawianie bezprawnego oporu hiszpańskiemu okrętowi w cieśninie na południe od Matanceros i zatopienie tegoż, ze stratą ludzi i dobytku.

I na koniec: że uprawiając ten proceder, wszyscy razem i każdy z osobna zawarliście zbrodnicze porozumienie, planując popełnienie wszystkich tych przestępstw, a następnie dopuszczając się ich wspólnie, tak że każdy wnosił swój udział, i dokładając wszelkich możliwych starań, by niepokoić i napadać rzeczony hiszpańskie statki i posiadłości, jak też zabijać hiszpańskich poddanych. Co masz na swoją obronę, Charlesie Hunterze?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Jestem niewinny – oświadczył Hunter.

Dla Huntera ten proces od początku był farsą. Akt Parlamentu z 1612 roku ustanawiał, że sąd musi się składać z ludzi niezainteresowanych pośrednio ani

bezpośrednio rozpatrywaną sprawą. A jednak każdy członek tego trybunału mógł zyskać na skazaniu Huntera, a co za tym idzie, konfiskacie jego statku i skarbu.

Czego nie rozumiał, to szczegółowej natury oskarżenia. Nikt nie mógł wiedzieć, co się wydarzyło podczas wyprawy na Matanceros, nikt oprócz niego i jego ludzi. A jednak akt oskarżenia wymieniał udaną obronę przed hiszpańskim okrętem. W jaki sposób sąd zdobył te informacje? Hunter mógł tylko się domyślać, że któryś z jego ludzi wygadał się poprzedniej nocy, prawdopodobnie na torturach.

Sąd przyjął jego oświadczenie z całkowitą obojętnością. Hacklett wychylił się do przodu.

– Panie Hunter – powiedział spokojnym głosem – ten trybunał uznaje wysoką pozycję, jaką zajmuje pan w kolonii Jamajka. Podczas tego procesu nie musimy trzymać się kurczowo sztywnych ceremonii, które niekoniecznie przyczyniają się do triumfu sprawiedliwości. Czy zechcesz pan teraz przemówić w swojej obronie?

To była niespodzianka. Hunter milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Hacklett łamał zasady procedury sądowej. Z pewnością robił to dla własnej korzyści. Niemniej sposobność wydawała się zbyt dobra, żeby z niej zrezygnować.

– Jeśli to zadowoli czcigodnych członków tego sprawiedliwego sądu – powiedział wreszcie Hunter bez śladu ironii – dołożę wszelkich starań.

Członkowie trybunału skłonili głowy z namysłem, powagą, namaszczeniem.

Hunter przesunął wzrokiem po ich twarzach, zanim zaczął mówić.

– Panowie, nikt z was nie wie lepiej ode mnie o Świętym Przymierzu zawartym ostatnio pomiędzy Jego Wysokością królem Karolem a dworem hiszpańskim. Nigdy nie ośmieliłbym się zerwać tych świeżo zadzierzgniętych więzi pomiędzy naszymi narodami bez wyraźnej prowokacji. Jednak doszło do takiej prowokacji, i to po wielokroć. Mój statek, *Kassandra*, został napadnięty przez hiszpański okręt liniowy i wszyscy moi ludzie zostali pojmani bez nakazu. Następnie dwaj zostali zamordowani przez kapitana tego okrętu, niejakiego Cazallę.

Wreszcie ówże Cazalla przechwycił angielski statek handlowy, wiozący

oprócz innych nieznanymi mi ładunków również lady Sarah Almont, bratanicę gubernatora tej kolonii. Tenże sam Hiszpan, Cazalla, oficer króla Filipa, zniszczył angielski statek handlowy *Entrepid*, zabijając wszystkich na pokładzie w akcie krwawej przemocy. Wśród ofiar znalazł się faworyt Jego Wysokości Karola, niejaki kapitan Warner. Nie wątpię, że Jego Wysokość głęboko boleje nad losem tego dżentelmena.

Hunter zrobił przerwę. Trybunał nie znał tej informacji i najwyraźniej nie sprawiła mu przyjemności. Król Karol miał bardzo osobiste podejście do życia; był pogodnego usposobienia, łatwo jednak wpadał w gniew, jeśli któryś z jego przyjaciół został zraniony czy choćby obrażony – a co dopiero zabity.

– Po tych licznych prowokacjach – podjął Hunter – w odwecie zaatakowaliśmy hiszpańską fortecę w Matanceros, uwolniliśmy z opresji szlachetną damę oraz zatrzymaliśmy sobie skromne łupy w ramach drobnego zadośćuczynienia, które uznaliśmy za słuszne i stosowne. Przede wszystkim to nie jest piractwo, panowie. To honorowa zemsta za ohydne zbrodnie na pełnym morzu, a na tym polega moja profesja.

Przerwał i popatrzył na oblicza trybunału. Odpowiedziały mu beznamiętne spojrzenia; wszyscy znali prawdę, jak sobie uświadomił.

– Lady Sarah Almont może potwierdzić moje zeznanie, podobnie jak każdy członek załogi, jeśli zostanie wezwany na świadka. Postawione mi zarzuty są bezpodstawne, ponieważ nie może być mowy o piractwie, chyba że brak prowokacji, ale do takowej doszło.

Skończył i ponownie spojrzął na twarze sędziów. Teraz wyglądały na nieprzystępne, obojętne i nieodgadnione. Przeszedł go zimny dreszcz.

Hacklett nachylił się nad stołem w jego stronę.

– Czy chciałbyś pan dodać coś jeszcze w odpowiedzi na postawione zarzuty, panie Charlesie Hunterze?

– Nic więcej – odparł Hunter. – Powiedziałem wszystko, com miał do powiedzenia.

– I nader wymownie, jeśli wolno mi zauważyć – skomentował Hacklett. Pozostałych sześciu mężczyzn pokiwało głowami, rozległy się potwierdzające pomruki. – Czy jednak mówił pan prawdę, to inna kwestia, którą tutaj musimy



rozpatrzeć. Zechciej pan poinformować sąd, w jaki celu w ogóle wypłynął twój statek.

– Wyrąb drzew kampegowych – odparł Hunter.

– Miałeś pan listy kaperskie?

– Miałem, od samego sir Jamesa Almonta.

– I gdzie są owe dokumenty?

– Zagięły razem z *Kasandrq* – wyjaśnił Hunter – ale sir James bez wątplenia potwierdzi, że je sporządził.

– Sir James – powiedział Hacklett – ciężko niedomaga i nie jest w stanie obecnie niczego potwierdzić ani zanegować przed sądem. Niemniej uważam, że możemy uwierzyć panu na słowo, iż takie papiery wydano.

Hunter skłonił się lekko.

– Zatem – podjął Hacklett – gdzie zostaliście pojmani przez hiszpański okręt? Na jakich wodach?

Hunter natychmiast dostrzegł dylemat i zawahał się przed odpowiedzią, wiedząc, że wahanie zniszczy jego wiarygodność. Postanowił wyznać prawdę... prawie.

– W Cieśninie Zawietrznej na północ od Puerto Rico.

– Na północ od Puerto Rico? – powtórzył Hacklett z wystudiowanym zdziwieniem. – Czy w tamtych stronach rosną kampegowiny?

– Nie – przyznał Hunter – ale przez dwa dni miotał nami silny sztorm i zeszliśmy daleko z wyznaczonego kursu.

– W istocie zeszliście, ponieważ Puerto Rico leży na północy i wschodzie, podczas gdy kampegowiny rosną tylko na południu i zachodzie Jamajki.

Hunter wzruszył ramionami.

– Nie mogę odpowiadać za sztormy.

– Proszę podać datę tego sztormu.

– Dwunasty i trzynasty września.

– Dziwne – stwierdził Hacklett. – Na Jamajce w tych dniach panowała piękna pogoda.

– Pogoda na morzu nie zawsze jest taka jak na lądzie – odparł Hunter – jak to powszechnie wiadomo.

– Sąd dziękuje ci, panie Hunter, za lekcję żeglarstwa – powiedział Hacklett. – Chociaż myślę, że niewiele mógłbyś nauczyć zebranych tu dżentelmenów, he? – Zachichotał krótko. – A zatem, panie Hunter... wybacz, że nie zwracam się do ciebie „kapitanie Hunter”... czy zapewniasz, że nigdy, w żadnej chwili nie było zamiarem twoim ani twojej załogi atakowanie hiszpańskich statków czy osiedli?

– Zapewniam.

– Nigdy nie zwoływałeś rady, żeby zaplanować taki bezprawny atak?

– Nigdy.

Hunter starał się mówić z jak największym przekonaniem, wiedząc, że załoga nie odważy się mu zaprzeczyć w tej kwestii. Przyznanie się do głosowania, które odbyło się w Buli Bay, było równoznaczne z wyrokiem za piractwo.

– Czy przysięgasz na swoją nieśmiertelną duszę, żeś nigdy nie rozmawiał o takich zamiarach z żadnym członkiem twojej załogi?

– Przysięgam.

Hacklett zrobił przerwę.

– Niech się upewnię, czy dobrze zrozumiałem. Wypłynęliście na zwykłą wyprawę po kamieszyny i nieszczęśliwym trafem zostaliście zepchnięci daleko na północ przez sztorm, który nawet nie musnął tych brzegów. W rezultacie zostaliście pojmani bez żadnej prowokacji przez hiszpański okręt wojenny. Zgadza się?

– Tak.

– A następnie dowiedzieliście się, że ten sam okręt zaatakował angielski statek handlowy i wziął jako zakładniczkę lady Sarah Almont, co dało wam powód do odwetu. Czy tak?

– Tak.

Hacklett znowu zrobił przerwę.

– Skąd się pan dowiedziałeś, że Hiszpanie porwali lady Sarah Almont?

– Przebywała na pokładzie tego okrętu w czasie, kiedy nas pojmano – wyjaśnił Hunter.

– Tego się dowiedziałem... od hiszpańskiego żołnierza, który miał długi język.

– Bardzo dogodnie.

– A jednak taka jest prawda. Po naszej ucieczce... która, mam nadzieję, nie jest zbrodnią w świetle prawa... ścigaliśmy okręt do Matanceros i tam widzieliśmy, jak lady Sarah przewożą do fortecy.

– Więc zaatakowaliście wyłącznie po to, żeby bronić cnoty tej Angielki? – Głos Hackletta ociekał sarkazmem.

Hunter przeniósł spojrzenie na sędziów.

– Panowie – powiedział – jak rozumiem, ten trybunał nie ma ustalić, czy jestem świętym – rozległy się śmiechy – tylko czy jestem piratem. Wiedziałem oczywiście o galeonie w zatoce Matanceros. To była nader cenna zdobycz. A jednak proszę, żeby sąd wziął pod uwagę prowokację usprawiedliwiającą tuzin takich ataków... prowokację w najszerszym znaczeniu tego słowa, bez prawniczego przekręcania faktów czy spierania się o szczegóły.

Spojrzał w stronę protokolanta, który miał za zadanie notować przebieg procesu. Ku swojemu zdumieniu zobaczył, że protokolant siedzi spokojnie i nie robi żadnych notatek.

– Powiedz nam pan – zagadnął Hacklett – jak uciekliście z hiszpańskiego okrętu, gdzie was więziono?

– Dzięki wysiłkom Francuza Sansona, który dokonał chwalebnego i bohaterskiego czynu.

– Wysoko pan cenisz tego Sansona?

– W istocie, ponieważ zawdzięczam mu własne życie.

– Skoro tak – mruknął Hacklett. Odwrócił się na krześle. – Wezwać pierwszego świadka, pana Andre Sansona!

– Andre Sanson!

Hunter odwrócił się do drzwi, znowu zdumiony, kiedy Sanson wkroczył do sali sądowej.

Francuz szedł szybko, ruchy miał płynne i gładkie. Zajął miejsce na podium dla świadków i podniósł prawą rękę.

– Czy ty, Andre Sansonie, uroczyście obiecujesz i przysięgasz na Ewangelię świętą mówić prawdę przed tym trybunałem królewskim w sprawie piractwa i rabunku, o które ten tutaj mężczyzna jest oskarżony, tak ci dopomóż

Bóg?

– Przysięgam.

Sanson opuścił prawą rękę i spojrzał prosto na Huntera. Wzrok miał obojętny i pogardliwy.

Wytrzymał to spojrzenie przez parę sekund, dopóki Hacklett się nie odezwał.

– Panie Sanson.

– Tak.

– Panie Sanson, pan Hunter przedstawił swoją relację z tej podróży. Pragniemy usłyszeć tę historię opowiedzianą twoimi własnymi słowami, jako świadka, którego wartość podkreślił już oskarżony. Zechcesz nam powiedzieć, jaki był cel wyprawy *Kasandry*... jak pierwotnie dano ci do zrozumienia?

– Wyrąb kampszynów.

– A czy później odkryłeś coś innego?

– Tak.

– Proszę wyjaśnić sądowi.

– Kiedy wypłynęliśmy dziewiątego września – zaczął Sanson – pan Hunter skierował się do Zatoki Małej. Tam zawiadomił załogę, że celem jest Matanceros, gdzie zamierzał zdobyć hiszpańskie skarby.

– Jak pan zareagował?

– Byłem zaszokowany – odparł Sanson. – Przypomniałem panu Hunterowi, że taki atak to piractwo, karane śmiercią.

– A jego odpowiedź?

– Plugawe przekleństwa i pogróżki – oświadczył Sanson. – Ostrzegł, że jeśli nie wezmę udziału w wyprawie, zabije mnie jak psa i nakarmi rekiny moimi szczątkami.

– Więc uczestniczył pan we wszystkich następnych wydarzeniach pod przymusem, nie dobrowolnie?

– Tak jest.

Hunter zagapił się na Sansona. Francuz mówił spokojnie, niewzruszony jak skała. Niczym nie zdradził, że kłamie. Ciągłe spoglądał na Huntera wyzywająco, jakby prowokował swoją ofiarę, żeby ośmieliła się zaprzeczyć

historii, którą opowiadał z takim przekonaniem.

– Co się stało potem?

– Popłynęliśmy na Matanceros, gdzie mieliśmy nadzieję przypuścić atak z zaskoczenia.

– Przepraszam, czy to znaczy atak bez prowokacji?

– Tak.

– Proszę kontynuować.

– W drodze na Matanceros napotkaliśmy hiszpański okręt wojenny. Widząc, że przewyższają nas liczebnie, daliśmy się pojmać jako piraci.

– I co pan zrobiłeś?

– Nie chciałem umierać w Hawanie jako pirat – oświadczył Sanson – zwłaszcza że dotąd byłem zmuszony wykonywać rozkazy pana Huntera. Więc ukryłem się i później pomogłem w ucieczce moim towarzyszom, ufając, że postanowią wrócić do Port Royal.

– Ale nie wrócili?

– Istotnie, nie wrócili. Pan Hunter, jak tylko odzyskał dowództwo nad statkiem, zmusił nas, żebyśmy popłynęli na Matanceros, by wykonać jego pierwotny plan.

Hunter nie mógł już wytrzymać.

– Zmusiłem was? Jak mogłem zmusić sześćdziesięciu ludzi?

– Cisza! – huknął Hacklett. – Więzień zachowa milczenie albo zostanie usunięty z sali. – Znowu odwrócił się do Sansona. – Jak wtedy wyglądały twoje stosunki z więźniem?

– Źle – odparł Sanson. – Zakuł mnie w kajdany na czas podróży.

– Następnie zdobyliście Matanceros i galeon?

– Tak, panowie – potwierdził Sanson. – Dlatego znalazłem się na *Kasandrze*: pan Hunter wszedł na pokład i ocenił, że statek nie nadaje się do żeglugi po ataku na Matanceros. Wtedy oddał mi dowództwo nad tym nędznym statkiem, porzucając mnie jak rozbitka, ponieważ spodziewał się, że łajba zatonie na pełnym morzu. Dał mi małą załogę z ludzi, którzy czuli to co ja. Ruszyliśmy do Port Royal, kiedy uderzył w nas huragan i statek się rozbił, a cała załoga zginęła. Ja jeden w szalupie dotarłem na Tortugę, a potem tutaj.

– Co pan wieś o lady Sarah Almont?

– Nic.

– Nic zupełnie?

– Nic aż do tej chwili – sprecyzował Sanson. – Czy istnieje taka osoba?

– Owszem – powiedział Hacklett, zerknąwszy szybko na Huntera. – Pan Hunter twierdzi, że uratował ją z Matanceros i przywiózł bezpiecznie tutaj.

– Nie była z nim, kiedy opuszczał Matanceros – oświadczył Sanson. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że pan Hunter zaatakował angielski statek handlowy i wziął pasażerkę jako jeńca, żeby usprawiedliwić swoje zbrodnie.

– Nader dogodny zbieg okoliczności – przyznał Hacklett. – Ale dlaczego nic nie słyszeliśmy o tymże statku?

– Prawdopodobnie zabił wszystkich na pokładzie i zatopił go – zasugerował Sanson.

– W drodze powrotnej z Matanceros.

– Ostatnie pytanie – powiedział Hacklett. – Czy przypominasz pan sobie sztorm na morzu dwunastego i trzynastego września?

– Sztorm? Nie, panowie. Nie było żadnego sztormu.

Hacklett kiwnął głową.

– Dziękuję, panie Sanson. Możesz pan odejść.

– Wedle życzenia Wysokiego Sądu. – Sanson opuścił salę.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem, budzącym echo.

Nastało długie milczenie. Sędziowie odwrócili się do Huntera, który drżał, blady z gniewu, ale usiłował się opanować.

– Panie Hunter – odezwał się Hacklett – czy odnajdziesz pan w pamięci jakieś szczegóły tłumaczące rozbieżności pomiędzy historiami opowiedzianymi przez pana i pana Sansona, którego pan cenisz tak wysoko?

– To kłamca. Podły i bezczelny kłamca.

– Sąd gotów jest rozważyć takie oskarżenie, jeśli może pan przedstawić sądowi fakty służące za dowód, panie Hunter.

– Mam tylko moje słowo – oświadczył Hunter – ale możecie uzyskać obszernie zeznanie od samej lady Sarah Almont, która zaprzeczy każdemu słowu

Francuza.

– Z pewnością powołamy ją na świadka – zapewnił Hacklett. – Zanim jednak ją wezwiemy, pozostaje kłopotliwe pytanie. Atak na Matanceros, usprawiedliwiony czy nie, miał miejsce dwudziestego pierwszego września. Wróciliście do Port Royal dwudziestego października. Po piratach można się spodziewać, że taka zwłoka wynika wskutek podróży na odległą wyspę w celu ukrycia zagarniętych skarbów, a tym samym oszukania króla. Jakie podasz wyjaśnienie?

– Prowadziliśmy bitwę morską – odpowiedział Hunter. – Potem przez trzy dni walczyliśmy z huraganem. Naprawialiśmy statek przez cztery dni na wyspie poza Boca del Dragon. Potem wypłynęliśmy, ale pochwyił nas kraken...

– Przepraszam. Czy mówisz pan o potworze z głębin?

– Tak.

– Jakie to zabawne. – Hacklett zaśmiał się, a pozostali członkowie trybunału mu zawtórowali. – Twoja wyobraźnia w wyjaśnianiu tej miesięcznej zwłoki jest podziwu godna, jeśli nawet mało wiarygodna. – Obrócił się na krześle. – Wezwać lady Sarah Almont do złożenia zeznań.

– Lady Sarah Almont!

Po chwili lady Sarah, blada i mizerna, weszła do sali, złożyła przysięgę i czekała na pytania.

Hacklett przyjrzał jej się niezwykle troskliwym wzrokiem.

– Lady Sarah, przede wszystkim chciałbym cię powitać w kolonii Jamajka i przeprosić, że już przy pierwszym zetknięciu z tutejszą społecznością zostałeś zamieszana w takie przykre sprawy.

– Dziękuję, panie Hacklett – odpowiedziała z lekkim ukłonem.

Ani razu nie spojrzała na Huntera. To go zaniepokoiło.

– Lady Sarah – zaczął Hacklett – dla tego trybunału jest kwestią wielkiej wagi, czy zostałeś pojmana przez Hiszpanów, a potem oswobodzona przez kapitana Huntera, czy też właśnie kapitan Hunter cię pojmał. Czy możesz nas oświecić?

– Tak.

– Proszę, zechciej więc wyjaśnić.

– Byłam na pokładzie statku handlowego *Entrepid* – zaczęła – płynącego z Bristolu do Port Royal, kiedy...

Głos jej się załamał. Zapadło długie milczenie. Lady Sarah spojrzała na Huntera. W jej oczach zobaczył strach, jakiego nie widział nigdy przedtem.

– Mów dalej, proszę.

– ...kiedy dostrzeżliśmy hiszpański okręt na horyzoncie.

Otworzył do nas ogień i zostaliśmy schwytani. Ze zdziwieniem odkryłam, że kapitanem tego hiszpańskiego okrętu jest Anglik.

– Czy masz na myśli Charlesa Huntera, więźnia, który obecnie stoi przed nami?

– Tak.

– Mów dalej.

Hunter ledwie słyszał resztę jej zeznania: jak zabrał ją na galeon, potem zabił angielską załogę i podpalił statek. Jak powiedział jej, że zamierza udawać, iż wyratował ją z rąk Hiszpanów, żeby usprawiedliwić swój napad na Matanceros. Recytowała swoją opowieść cienkim, napiętym głosem, szybko wyrzucając słowa, jakby chciała to jak najszybciej zakończyć.

– Dziękuję, lady Sarah. Możesz odejść.

Lady Sarah wyszła z sali.

Siedem nieruchomych, pozbawionych wyrazu twarzy zwróciło się w stronę Huntera.

Członkowie trybunału spoglądali na niego jak na martwe stworzenie. Upłynęła długa chwila.

– Świadkowie nic nie wspominali o twoich barwnych przygodach z Boca del Dragon albo morskim potworem. Czy masz pan jakiś dowód? – zapytał łagodnie Hacklett.

– Tylko to – odparł Hunter i szybko obnażył się do pasa. Na piersiach miał blizny i ślady olbrzymich przyssawek, wielkich jak talerze. Członkowie trybunału zachłysnęli się na ten upiorny widok. Rozległy się szemrania.

Hacklett uderzył młotkiem sędziowskim, przywołując ich do porządku.

– Interesujące, panie Hunter, ale mało przekonujące dla obecnych tu wykształconych dżentelmenów. Wszyscy bez trudu potrafimy sobie wyobrazić,



jakich przyrządów pan użyłeś, żeby w swoim desperackim położeniu odtworzyć ślady takiego potwora. Sąd nie jest przekonany.

Hunter popatrzył na twarze siedmiu mężczyzn i zobaczył, że mu uwierzyli. Ale młotek Hackletta znowu uderzył.

– Charlesie Hunterze – oznajmił – sąd uznaje cię za winnego zbrodni piractwa i rozboju na morzu, zgodnie z oskarżeniem. Czy pragniesz podać jakiś powód, dlaczego wyrok nie powinien zostać wykonany?

Hunter milczał przez chwilę. Przyszły mu na myśl tysiące przysięg i przekleństw, ale wiedział, że nie zdadzą się na nic.

– Nie – powiedział cicho.

– Nie słyszałem cię, Charlesie Hunterze.

– Powiedziałem: nie.

– Zatem ty, Charlesie Hunterze, i cała twoja załoga jesteście uznani za winnych i skazani na odprowadzenie do miejsca, skąd przyszliście, po czym w poniedziałek zostaniecie zaprowadzeni na miejsce egzekucji, High Street Square w mieście Port Royal, i tam powieszni za szyję, póki nie umrzecie po trzykroć. A potem wasze zwłoki zostaną zdjęte i powieszzone na noku rei. Niech Bóg zlituje się nad waszymi duszami. Zabrać go, dozorczo.

Hunter został wyprowadzony z budynku sądu. Kiedy wychodził, usłyszał śmiech Hackletta: dziwny, piskliwy, rehotliwy dźwięk. Potem drzwi się zamknęły i Hunter wrócił do więzienia.

# Rozdział 35

Zamknięto go w innej celi: widocznie dozorca z Marshallsea nie czynili różnicy między więźniami. Usiadł na słomie zaścielającej podłogę i starannie rozważył swoje położenie.

Ledwie mógł uwierzyć w to, co się stało, i pałał gniewem silnym ponad wszelkie wyobrażenie.

Nadeszła noc i w więzieniu zapadła cisza, którą mąciło tylko chrapanie i wzdychanie osadzonych. Hunter też już zasypiał, kiedy usłyszał znajomy syczący głos:

– Hunter!

Usiadł.

– Hunter!

Znał ten głos.

– Szept – powiedział. – Gdzie jesteś?

– W następnej celi.

Wszystkie cele otwierały się od frontu; nie mógł zajrzeć do sąsiedniej, ale słyszał całkiem dobrze, jeśli przycisnął policzek do kamiennej ściany.

– Szept, jak długo tu jesteś?

– Tydzień, Hunter. Zostałeś osądzony?

– Tak.

– I skazany?

– Owszem.

– Tak jak ja – syknął Szept. – Oskarżenie o kradzież. Fałszywe.

Kradzież, podobnie jak piractwo, karano śmiercią.

– Szept – zapytał Hunter – co się stało z sir Jamesem?

– Mówią, że jest chory – syknął Szept – ale to nieprawda. On jest zdrowy,

trzymają go pod strażą w rezydencji gubernatorskiej, pod groźbą śmierci. Hacklett i Scott przejęli władzę. Wmawiają wszystkim w mieście, że on umiera.

Hacklett widocznie zagroził lady Sarah, pomyślał Hunter, i zmusił ją do złożenia fałszywych zeznań.

– Krążą też inne plotki – ciągnął Szept. – Pani Emily Hacklett jest przy nadziei.

– No i?

– No i podobno jej mąż, tymczasowy gubernator, nigdy nie wypełnia swoich małżeńskich obowiązków wobec żony. Nie jest do tego zdolny. Toteż jej stan jest mu solą w oku.

– Rozumiem – mruknął Hunter.

– Przyprawileś rogi tyranowi, więc tym gorzej dla ciebie.

– A Sanson?

– Przyplłynął sam, w szalupie. Bez załogi. Opowiedział historyjkę, że wszyscy zginęli w huraganie oprócz niego.

Hunter przycisnął policzek do kamiennej ściany. Chłodna wilgoć przynosiła mu pewną pociechę.

– Jaki dzisiaj dzień?

– Sobota.

Zostały mu dwa dni do egzekucji. Westchnął, usiadł wygodnie i spoglądał przez zakratowane okno na chmury, przemykające po tarczy bladego, malejącego księżyca.

\* \* \*

Rezydencja gubernatora, zbudowana z solidnej cegły na północnym krańcu Port Royal, stanowiła istną fortecę. W piwnicy, pod silną strażą, sir James Almont leżał w gorączce na łóżku. Lady Sarah Almont położyła wilgotny ręcznik na jego rozpalonym czole i kazała mu głęboko oddychać.

W tej samej chwili weszli pan Hacklett z żoną.

– Sir Jamesie!

Almont spojrział na swojego zastępcę oczami szklistymi od gorączki.

– Co znowu?

– Osądziliśmy kapitana Huntera. Zawisnie w następny poniedziałek jak pospolity pirat.

Na te słowa lady Sarah odwróciła wzrok. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Zgadzasz się, sir Jamesie?

– Cokolwiek... uznasz... za najlepsze... – wy dyszał z trudem sir James.

– Dziękuję, sir Jamesie. – Hacklett zaśmiał się, okręcił się na pięcie i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim ciężko.

Sir James natychmiast się ożywił. Spiorunował wzrokiem Sarah.

– Zabierz tę przekłętą szmatę z mojej głowy, kobieto. Mam robotę.

– Ale, stryju...

– Do diabła, czy ty nic nie rozumiesz? Tyle lat spędziłem w tej zapadłej kolonii, czekając i finansując korsarskie wyprawy, wszystko dla jednej chwili; kiedy któryś z moich bukanierów przyprowadzi hiszpański galeon wyładowany skarbami. Teraz wreszcie się doczekałem i rozumiesz, co się stanie?

– Nie, stryju.

– No, jedna dziesiąta pójdzie dla Karola – oświadczył Almont. – A pozostałe dziewięćdziesiąt procent podzielą między siebie Hacklett i Scott. Zapamiętaj moje słowa.

– Ale oni mnie ostrzegali...

– Pluń na ich ostrzeżenia, ja znam prawdę. Cztery lata czekałem na tę chwilę i nie pozwolę się wykantować. Ani inni dobrzy obywatele tego, hm, spokojnego miasta. Nie pozwolę się wykołować żadnemu pryszczatemu moralizatorskiemu łajdakowi i wystrojonemu wojskowemu gogusiowi. Huntera trzeba uwolnić.

– Ale jak? – zapytała lady Sarah. – Mają go stracić za dwa dni.

– Ten stary kundel – powiedział sir James – nie zawisnie na żadnej szubienicy, to ci mogę obiecać. Miasto jest za nim.

– Jak to?

– Ponieważ jeśli wróci do domu, ma długi do spłacenia, i to pokaźne. Z odsetkami.

Wobec mnie i innych. Musi tylko wyjść na wolność...

– Ale jak? – powtórzyła lady Sarah.

– Zapytaj Richardsa – poradził Almont.

A wtedy z półmroku na końcu pokoju odezwał się jakiś głos:

– Ja zapytam Richardsa.

Lady Sarah okręciła się gwałtownie... i zobaczyła Emily Hacklett.

– Mam rachunek do wyrównania – oznajmiła Emily Hacklett i wyszła.

Kiedy zostali sami, lady Sarah zapytała stryja:

– Czy to wystarczy?

Sir James zachichotał.

– Z nawiązką, moja droga – zapewnił. – Z nawiązką. – Zaśmiał się głośno.

– Przed świtem zobaczymy krew na ulicach Port Royal, zapamiętaj moje słowa.

\* \* \*

– Pomogę z największą chęcią, pani – powiedział Richards.

Wierny sługa od tygodni bolał nad niesprawiedliwością, jaka spotkała jego pana, uwięzionego pod strażą.

– Kto może wejść do Marshallsea? – zapytała pani Hacklett.

Widziała już ten budynek z zewnątrz, ale oczywiście nigdy tam nie weszła. Zresztą to było niemożliwe. W obliczu zbrodni szlachetnie urodzona kobieta prychała i odwracała wzrok.

– Czy ty możesz wejść do więzienia?

– Nie, pani – zaprzeczył Richards. – Twój mąż wystawił specjalne strażę; od razu mnie zauważą i zastąpią mi drogę.

– Więc kto może?

– Kobieta – odparł Richards.

Jedzenie i niezbędne przedmioty osobiste, zgodnie z przyjętym zwyczajem, dostarczały więźniom krewne i przyjaciółki.

– Jaka kobieta? Musi być sprytna i uniknąć rewizji.

– Tylko jedna przychodzi mi na myśl – powiedział Richards. – Pani Sharpe.

Pani Hacklett kiwnęła głową. Pamiętała panią Sharpe, jedną z trzydziestu

siedmiu skazanych kobiet, które przyplęły na *Godspeed*. Od tamtego czasu pani Sharpe stała się najpopularniejszą kurtyzaną w porcie.

– Zajmij się tym – zażądała pani Hacklett – bez zwłoki.

– A co mam jej obiecać?

– Powiedz jej, że kapitan Hunter wynagrodzi ją sownie i sprawiedliwie, co na pewno zrobi.

Richards kiwnął głową, potem się zawahał.

– Pani – powiedział – ufam, że zdajesz sobie sprawę z konsekwencji uwolnienia kapitana Huntera?

Głosem tak zimnym, że Richardsowi ciarki przeszły po grzbiecie, kobieta odparła:

– Nie tylko zdaję sobie sprawę, ale szczerze tego pragnę.

– Doskonale, pani – mruknął Richards i wymknął się w noc.

\* \* \*

W ciemnościach żółwie zamknięte w Czekoladowej Dziurze wypływały na powierzchnię i kłapały ostrymi dziobami. Stojąca w pobliżu pani Sharpe mizdrzyła się i chichotała. Ze śmiechem wysliznęła się z objęć jednego ze strażników, który obmacywał jej pierś. Przesłała mu całusa i ruszyła dalej, w cień wysokich murów Marshallsea. W ramionach niosła garnek z gulaszem żółwiowym.

Następny strażnik odprowadził ją do celi Huntera. Ten był gburowaty i podпиты. Zatrzymał się, wsadziwszy klucz do zamka.

– Czemu się ociągasz? – zapytała.

– Żeby otworzyć zamek, trzeba porządnie kręcić – odparł, łypiąc na nią lubieżnie.

– Ten zamek potrzebuje dobrego oliwienia – zripostowała, szczerząc zęby.

– Tak, paniusiu, i dobrego klucza.

– Wierzę, że masz taki klucz – powiedziała. – Ale co do zamka, musimy zaczekać na odpowiednią porę. Zostaw mnie na kilka minut z tym głodnym psem, a potem pokręcimy się na całego.

Strażnik zarechotał i otworzył drzwi. Pani Sharpe weszła do środka; strażnik zamknął za nią drzwi na klucz i nie odszedł.

– Kilka minut z tym więźniem – poprosiła – dla zachowania przyzwoitości.

– To niedozwolone.

– Kogo to obchodzi? – rzuciła i wymownie oblizała usta.

Strażnik odwzajemnił uśmiech i odszedł.

Jak tylko zniknął, postawiła garnek z gulaszem na podłodze i odwróciła się do Huntera.

Hunter jej nie rozpoznał, ale był głodny, a gulasz żółwiowy pachniał mocno i smakowicie.

– Jesteś bardzo dobra.

– Nawet nie wiesz jak dobra – oświadczyła i szybkim, zaskakująco wulgarnym gestem podciągnęła spódnicę aż do pasa. Jeszcze bardziej zaskakujące okazało się to, co odsłoniła.

Do ud i łydek miała przytroczony prawdziwy arsenał: dwa noże, dwa pistolety. – Moje sekretne rejonny podobno są niebezpieczne – powiedziała – a teraz znasz prawdę.

Hunter szybko zebrał broń i schował za pasem.

– Nie strzelaj przedwcześnie, panie.

– Możesz liczyć, że się wstrzymam.

– Jak długo mogę liczyć?

– Do stu – odparł Hunter – i to obietnica.

Obejrzała się w stronę strażnika.

– Innym razem wezmę cię za słowo – powiedziała. – Na razie zechcesz mnie zgwałcić?

– Chyba tak będzie najlepiej – przyznał Hunter i obalił ją na ziemię.

Piszcziała i wrzeszczała, i strażnik przybiegł pędem. W jednej chwili pojał znaczenie całej sceny. Pospiesznie odemknął drzwi i wpadł celi.

– Ty przekłety piracie! – warknął.

Strażnik zarechotał i otworzył drzwi. Pani Sharpe weszła do środka; strażnik zamknął za nią drzwi na klucz i nie odszedł.

– Kilka minut z tym więźniem – poprosiła – dla zachowania przyzwoitości.

– To niedozwolone.

– Kogo to obchodzi? – rzuciła i wymownie oblizała usta.

Strażnik odwzajemnił uśmiech i odszedł.

Jak tylko zniknął, postawiła garnek z gulaszem na podłodze i odwróciła się do Huntera.

Hunter jej nie rozpoznał, ale był głodny, a gulasz zółwiowy pachniał mocno i smakowicie.

– Jesteś bardzo dobra.

– Nawet nie wiesz jak dobra – oświadczyła i szybkim, zaskakująco wulgarnym gestem podciągnęła spódnicę aż do pasa. Jeszcze bardziej zaskakujące okazało się to, co odsłoniła.

Do ud i łydek miała przytroczony prawdziwy arsenał: dwa noże, dwa pistolety. – Moje sekretne rejonny podobno są niebezpieczne – powiedziała – a teraz znasz prawdę.

Hunter szybko zebrał broń i schował za pasem.

– Nie strzelaj przedwcześnie, panie.

– Możesz liczyć, że się wstrzymam.

– Jak długo mogę liczyć?

– Do stu – odparł Hunter – i to obietnica.

Obejrzała się w stronę strażnika.

– Innym razem wezmę cię za słowo – powiedziała. – Na razie zechcesz mnie zgwałcić?

– Chyba tak będzie najlepiej – przyznał Hunter i obalił ją na ziemię.

Piszcziała i wrzeszczała, i strażnik przybiegł pędem. W jednej chwili pojął znaczenie całej sceny. Pospiesznie odemknął drzwi i wpadł celi.

– Ty przekłety piracie! – warknął.

A potem nóż Huntera wbił mu się w szyję. Strażnik zatoczył się do tyłu, chwyciwszy za ostrze wystające pod brodą. Wyciągnął nóż i krew chlusnęła syczącą fontanną. Potem przewrócił się i umarł.

– Szybko, pani – powiedział Hunter, pomagając wstać kobiecie.



Więźniowie zamknięci w Marshallsea milczeli; słyszeli wszystko i zachowywali absolutną ciszę. Hunter chodził dookoła, otwierając drzwi cel; potem oddał klucze więźniom i pozwolił im dokończyć dzieła.

– Ilu strażników jest przy bramie? – zapytał panią Sharpe.

– Widziałam czterech – odparła – i następny tuzin na murach.

To zmartwiło Huntera. Strażnicy byli Anglikami i nie miał serca ich zabijać.

– Musimy użyć fortelu – stwierdził. – Zawołaj do siebie kapitana.

Anne Sharpe kiwnęła głową i wyszła na dziedziniec. Hunter schował się za nią w cieniu.

Nie dziwiło go opanowanie tej kobiety, która dopiero co widziała brutalne morderstwo. Nie przywykł do kobiecej słabości, tak modnej na francuskim i hiszpańskim dworze. Angielki były twarde, pod pewnymi względami bardziej wytrzymałe od mężczyzn, co dotyczyło zarówno kobiet z plebsu, jak i szlachetnie urodzonych.

Kapitan straży więziennej podszedł do Anne Sharpe i w ostatniej chwili zobaczył lufę pistoletu Huntera wysuniętą z mroku. Hunter kiwnął na niego.

– Teraz posłuchaj – powiedział. – Jeśli odwołasz swoich ludzi i każesz im rzucić muszkiety na ziemię, nikomu nie stanie się krzywda. Albo możesz z nami walczyć i wtedy na pewno wszyscy zginiecie.

Kapitan straży odrzekł:

– Czekałem na twoją ucieczkę, panie, i mam nadzieję, że nie zapomnisz o mnie w najbliższych dniach.

– Zobaczymy – rzucił Hunter, nic nie obiecując.

Oficjalnym tonem kapitan oznajmił:

– Komandor Scott przeprowadzi jutro własną akcję.

– Komandor Scott – oświadczył Hunter – nie dożyje jutrzejszego dnia.

Teraz wracaj na stanowisko.

– Mam nadzieję, że mnie zapamiętasz...

– Może zapamiętam – przerwał Hunter – żeby nie poderznąć ci gardła.

Kapitan straży odwołał swoich ludzi i Hunter dopilnował, żeby ich zamknięto w więzieniu Marshallsea.

\* \* \*

Pani Hacklett, wydawszy instrukcje Richardsowi, wróciła do męża. Siedział w bibliotece, popijając po obiedzie z komandorem porucznikiem Scottem. Obaj mężczyźni w ostatnich dniach rozsmakowali się w winach gubernatora i starali się opróżnić piwniczkę, zanim prawowity właściciel wróci do zdrowia.

Obecnie zdążyli już sporo wypić.

– Moja droga – powiedział Robert Hacklett, kiedy jego żona weszła do pokoju – przychodzisz w najbardziej fortunnej chwili.

– Doprawdy?

– W rzeczy samej – zapewnił Hacklett. – Właśnie wyjaśniałem komandorowi Scottowi, w jaki sposób zaszłaś w ciążę z tym piratem Hunterem. Wiesz oczywiście, że on wkrótce zadynda i będzie wisiał, póki ciało mu nie odpadnie od kości. Mówiono mi, że w tym koszmarnym klimacie to następuje całkiem szybko. Ale z pewnością rozumiesz konieczność pośpiechu, he? A skoro mowa o twoim uwiedzeniu, komandor Scott nie znał wcześniej szczegółów tego wypadku. Właśnie go informuję.

Pani Hacklett zaczerwieniła się mocno.

– Jaka skromna – zauważył Hacklett i w jego głosie zabrzmiała niemiła nuta. – Nikt by jej nie wziął za pospolitą ladacznicę. A jednak tym właśnie jest. Ile kosztują jej względy, jak myślisz?

Komandor Scott powąchał uperfumowaną chusteczkę.

– Czy mam być szczerzy?

– Ależ tak, jak najbardziej, bądź szczerzy. Bądź szczerzy.

– Ona jest za chuda jak na powszechny gust.

– Jego Wysokości się podobała...

– Możliwe, możliwe, ale to nie jest powszechny gust, he? Nasz król ma słabość do cudzoziemek o gorącej krwi...

– No dobrze – przerwał Hacklett z irytacją. – Na ile ją wyceniasz?

– Moim zdaniem kosztuje najwyżej... no cóż, zważywszy na fakt, że

zakosztowała królewskiego lancetu, może trochę więcej... ale w żadnym razie nie więcej niż sto realów.

Pani Hacklett, bardzo czerwona, odwróciła się do wyjścia.

– Nie zamierzam dłużej tego wysłuchiwać.

– Przeciwnie! – zawołał jej mąż, poderwał się z krzesła i zastąpił jej drogę.

– Wysłuchasz jeszcze dużo więcej. Komandorze Scott, jesteś pan światowym dżentelmenem.

Czy zapłacisz sto realów?

Scott łyknął wina i zakaszłał.

– Nie ja, panie – odpowiedział.

Hacklett chwycił żonę za ramię.

– Jaką cenę oferujesz?

– Pięćdziesiąt realów.

– Zgoda! – krzyknął Hacklett.

– Robert! – zaprotestowała jego żona. – Dobry Boże, Robert...

Robert Hacklett uderzył żonę w twarz. Zatoczyła się od ciosu i upadła na krzesło.

– A więc, komandorze – podjął Hacklett – jesteś pan człowiekiem honoru.

Przyjmę twoje poręczenie w tej transakcji.

Scott podniósł wzrok znad kielicha.

– He?

– Powiedziałem, że przyjmę twoje poręczenie. Bierz, za coś zapłacił.

– He? To znaczy, ee... – Scott wskazał panią Hacklett, której oczy rozszerzyły się ze zgrozy.

– Owszem, i to szybko.

– Tutaj? Teraz?

– Właśnie, komandorze. – Hacklett, bardzo pijany, chwiejnie podszedł do żołnierza i klepnął go po ramieniu. – A ja sobie popatrzę, dla rozrywki.

– Nie! – zapiszczała przeraźliwie pani Hacklett.

Mężczyźni jakby jej nie słyszeli. Wymienili pijackie spojrzenia.

– Na wiarę – powiedział Scott – to chyba niezbyt mądre.

– Nonsens! – zawołał Hacklett. – Jesteś dżentelmenem z reputacją i

musisz podtrzymywać tę reputację. Ostatecznie to nałożnica godna króla... a przynajmniej kiedyś godna króla. Bierz się do niej, człowieku.

– Niech mnie diabli – wybełkotał Scott i podniósł się niepewnie. – Niech mnie diabli, zrobię to, panie. Co było dobre dla króla, będzie dobre i dla mnie.

I zaczął rozpinać sprzączki bryczesów.

Komandor Scott był mocno pijany i nie mógł sobie poradzić ze sprzączkami. Pani Hacklett zaczęła krzyczeć, a jej mąż podszedł i trzasnął ją w twarz, rozcinając wargę. Strużka krwi spłynęła kobiecie na brodę.

– Piracka kurwa... czy nawet królewska... nie może zadzierać nosa. Komandorze Scott, zrób sobie przyjemność.

I Scott rzucił się na kobietę.

\* \* \*

– Zabierz mnie stąd – szepnął gubernator Almont do bratanicy.

– Ale jak, stryju?

– Zabij strażnika – powiedział i wręczył jej pistolet.

Lady Sarah Almont wzięła broń w obie ręce, czując jej nieznamy kształt.

– Odbezpieczasz w ten sposób – pokazał jej Almont. – Teraz ostrożnie! Podejdź do drzwi, poproś, żeby cię wypuścił, i strzelaj...

– Jak strzelić?

– Prosto w twarz. Nie popełnij błędu, moja droga.

– Ale, stryju...

Spiorunował ją karcącym wzrokiem.

– Jestem chory – przypomniał. – No, pomóż mi.

Zrobiła kilka kroków do drzwi.

– Prosto w gardło – mruknął Almont z pewną satysfakcją. – Zasłużył sobie na to, zdradziecki pies.

Lady Sarah zapukała do drzwi.

– O co chodzi, panienko? – zapytał strażnik.

– Otwórz – poprosiła. – Chcę wyjść.

Rozległo się skrobanie i metaliczne kliknięcie, kiedy klucz obracał się w

zamku. Drzwi się otwały. Dostrzegła strażnika, dziewiętnastoletniego chłopca o świeżej, niewinnej twarzy, z rozbawioną miną.

– Czego tylko jaśnie pani sobie życzy...

Strzeliła mu w usta. Eksplozja szarpnęła jej ramieniem i odrzuciła go do tyłu. Okręcił się i osunął na ziemię, a potem przetoczył na plecy. Ze zgrozą spostrzegła, że strażnik już nie ma twarzy, tylko krwawą masę osadzoną na ramionach. Ciało skręcało się przez parę chwil.

Mocz pociekł po nogawce spodni, rozszedł się smród defekacji. Potem ciało znieruchomiało.

– Pomóż mi wstać – zaskrzeczał gubernator Jamajki, z wysiłkiem siadając na łóżku.

\* \* \*

Hunter zebrał ludzi na północnym krańcu Port Royal, w pobliżu stałego lądu. Miał do rozwiązania pilny problem natury czysto politycznej: jak uchylić ciężący na nim wyrok. W praktyce nie wątpił, że po jego ucieczce mieszkańcy miasta zgromadzą się wokół niego i nie pozwolą go ponownie uwięzić. Ale równie praktyczna pozostawała kwestia, jak Hunter zareaguje na niesprawiedliwe potraktowanie, ponieważ chodziło tu o jego reputację w mieście.

Powtórzył w pamięci osiem nazwisk:

Hacklett Scott Levisham, sędzia Admiralicji Foster i Poorman, kupcy porucznik Dodson James Phips, kapitan floty handlowej i ostatni, ale nie najmniej ważny, Sanson. Każdy z tych ludzi działał z całkowitą świadomością popełnianej niesprawiedliwości. Każdy miał zyskać na konfiskacie jego zdobyczy.

Prawa korsarskie były dostatecznie jasne: takie kręctwo oznaczało nieuniknioną śmierć i konfiskatę udziałów. Ale jednocześnie Hunter musiałby zabić kilku prominentnych obywateli miasta. To nie powinno mu sprawić trudności, później jednak miałby wyrzuty sumienia, gdyby sir James nie wyszedł z tego bez szwanku.

Jeśli sir James miał łeb na karku, już dawno uciekł w bezpieczne miejsce. Hunter postanowił przyjąć takie założenie. Tymczasem musiał pozabijać tych, co

weszli mu w drogę.

Krótko przed świtem wysłał wszystkich swoich ludzi w Góry Błękitne na północy Jamajki i kazał im tam zostać przez dwa dni.

Potem samotnie wrócił do miasta.

# Rozdział 36

Foster, zamożny handlarz jedwabiu, miał duży dom na Pembroke Street, na północny wschód od doków. Hunter wśliznął się od tyłu, minawszy oddzielny budynek kuchni. Wszedł na piętro, do głównej sypialni.

Znalazł Fostera śpiącego w łóżku obok żony. Obudził go, lekko przyciskając mu lufę pistoletu do nosa.

Foster, tęgawy pięćdziesięcioletni mężczyzna, prychnął, pociągnął nosem i przekreślił się na drugi bok. Hunter wepchnął mu lufę w nozdrze.

Foster zamrugał i otworzył oczy. Usiadł w łóżku, nie mówiąc ani słowa.

– Leż spokojnie – mruknęła sennie jego żona. – Ciągłe się wiercisz.

Ale się nie obudziła.

Hunter i Foster spoglądali jeden na drugiego. Foster przenosił wzrok z pistoletu na intruza i z powrotem.

W końcu Foster podniósł palec i ostrożnie wysliznął się z łóżka. Żona wciąż spała. Foster w koszuli nocnej podreptał przez pokój do skrzyni.

– Dobrze ci zapłacę – szepnął. – Popatrz tutaj, spójrz tylko. – Odsunął fałszywą ściankę i wydobył worek złota, bardzo ciężki. – Mam więcej, Hunter. Zapłacę ci, ile zechcesz.

Hunter milczał. Foster wyciągnął do niego worek złota. Ręka mu drżała.

– Proszę – szepnął. – Proszę, proszę...

Upadł na kolana.

– Proszę, Hunter, błagam cię, proszę...

Hunter strzelił mu w twarz. Impet pchnął ciało w tył, nogi wierzgnęły do góry, bosc stopy kopnęły powietrze. W łóżku obok żona nawet się nie obudziła, tylko obróciła się i jęknęła przez sen.

Hunter wziął worek złota i wyszedł równie cicho, jak się zjawił.

\* \* \*

Poorman, wbrew nazwisku, był bogatym handlarzem srebrem i cyną. Mieszkał na High Street. Hunter zastał go śpiącego przy stole w kuchni, z opróżnioną do połowy butelką wina przed sobą.

Hunter wziął nóż kuchenny i ciachnął nadgarstki Poormana. Poorman ocknął się, półprzytomny, zobaczył Huntera, a potem ujrzał krew lejącą się na stół. Podniósł krwawiące ręce, ale nie mógł nimi poruszyć: wszystkie ścięgna zostały przecięte i dłonie obwisły bezwładnie jak u szmacianej lalki; palce przybierały już szarawoblady odcień.

Ręce Poormana ponownie opadły na stół. Patrzył, jak kałuża krwi rozlewa się na blacie, jak krew przecieka przez szpary i kapie na podłogę. Potem znowu spojrzął na Huntera. Miał dziwny wyraz twarzy, zdumiony i oszołomiony.

– Zapłaciłbym – powiedział ochryple. – Dałbym ci, czego... czego...

Wstał od stołu, zatoczył się niepewnie. Okaleczone ręce trzymał zgięte w łokciach. W ciszy kapanie krwi rozbrzmiewało dziwnie głośno.

– Dałbym... – zaczął Poorman, a potem zachwiał się i runął na podłogę. – Ci, ci, ci, ci... – mówił coraz ciszej.

Hunter odwrócił się, nie czekając, aż kupiec umrze. Wyszedł z powrotem w noc i przemykał bezgłośnie przez ciemne uliczki Port Royal.

\* \* \*

Natknął się na porucznika Dodsona przypadkiem. Pijany żołnierz wyśpiewywał piosenkę, wędrując chwiejnym krokiem przez ulice, z dwiema kurwami uwieszonymi u ramion. Hunter zobaczył go na końcu High Street. Zawrócił, przemknął przez Queen Street i skręcił na wschód w Howell Street w samą porę, żeby spotkać Dodsona na rogu.

– Kto idzie? – zapytał głośno Dodson. – Nie wiesz, że o tej porze nie wolno przebywać na ulicy? Odejdź, bo cię wsadzę do Marshallsea.

Ukryty w cieniu Hunter odpowiedział:



– Właśnie stamtąd przyszedłem.

– He? – rzucił Dodson, przekrzywiając głowę w stronę, skąd dobiegł głos.

– Co to za chamskie odzywki? Powinienem cię znać...

– Hunter! – zapiszczały nierządnice i obie uciekły. Pozbawiony wsparcia Dodson upadł ciężko w błoto.

– Szlag by was trafił, niestałe cipy – stęknął, usiłując się podnieść. – Popatrzcie na mój mundur, niech was szlag.

Cały był utyłany w błocie i gnoju.

Zdażył się dźwignąć na kolana, zanim słowa prostytutek wreszcie dotarły do jego ogłupionego alkoholem mózgu.

– Hunter? – zapytał cicho. – Ty jesteś Hunter?

Hunter w cieniu kiwnął głową.

– Więc aresztuję cię, bo jesteś pirat i łotr – oświadczył Dodson. Zanim jednak zdołał się podnieść, Hunter kopnął go w brzuch. Dodson wyłożył się jak długi. – Au! – zawołał.

– Zabolało, niech cię szlag.

To były jego ostatnie słowa. Hunter złapał go za kark i wcisnął mu twarz w błoto i gnój.

Przytrzymał wijące się ciało, które walczyło z narastającą siłą, a pod koniec szamotało się i wykręcało gwałtownie, zanim wreszcie znieruchomiało.

Hunter odsunął się, zdyszany z wysiłku.

Rozejrzał się po ciemnej, opustoszałej ulicy. Nadchodził patrol ochotniczej milicji; Hunter cofnął się w cień, dopóki patrol go nie minął.

Wróciły dwie kurwy.

– Ty jesteś Hunter? – zapytała jedna bez śladu strachu.

Przytaknął.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała. – Przyjdź mnie odwiedzić, a nie wydasz ani grosza. – Zachichotała.

Dwie kobiety ze śmiechem znikły w ciemnościach.

Hunter stał w tawernie Pod Czarnym Dzikim. W sali tłoczyło się z pięćdziesiąt osób, ale on widział tylko Jamesa Phipsa, przystojnego i eleganckiego, pijącego z kilkoma innymi kupcami. Towarzysze Phipsa natychmiast odsunęli się od niego, ich twarze zdradzały przerażenie. Lecz sam Phips, po pierwszym wstrząsie, przybrał jowialną minę.

– Hunter! – zawołał z szerokim uśmiechem. – Oczom nie wierzę, jednak dokonałeś tego, na co wszyscy liczyliśmy. Kolejka dla wszystkich, powiadam, żeby uczcić twoją nową wolność.

Pod Czarnym Dzikim zapadło milczenie. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył.

– No, co jest? Zamawiam kolejkę za zdrowie kapitana Huntera! – nalegał Phips. – Ja stawiam!

Hunter podszedł do stołu Phipsa. W ciszy rozlegał się tylko odgłos jego miękkich kroków na brudnej podłodze.

Phips niespokojnie wpatrywał się w Huntera.

– Charles – powiedział. – Charles, nie do twarzy ci z tą surową miną. Teraz czas się weselić.

– Czyżby?

– Charles, przyjacielu – ciągnął Phips – z pewnością rozumiesz, że nie życzę ci źle.

Zmusili mnie, żebym zasiadał w trybunale. To robota Hackletta i Scotta, przysięgam. Nie miałem wyboru. Za parę tygodni przypłynie mój statek, a oni zagrozili, że nie wydadzą mi zezwolenia na rozładunek. Ale wiedziałem, że zdołasz uciec. Ledwie przed godziną mówiłem o tym Timothy’emu Flintowi. Timothy, powiedz prawdę: czy nie mówiłem, że Hunter wydobędzie się na wolność? Timothy?

Hunter wyjął pistolet i wycelował w Phipsa.

– Daj spokój, Charles – perswadował Phips. – Błagam cię, bądź rozsądny. Człowiek musi postępować praktycznie. Myślisz, że bym cię skazał, gdybym chociaż przez chwilę wierzył, że wyrok zostanie wykonany? Tak myślisz? Odpowiedz!

Hunter milczał. Odbezpieczył pistolet: zamek szczęknął metalicznie w

głębokiej ciszy.

– Charles – podjął Phips – twój widok cieszy moje serce. Chodź, napij się ze mną i zapomnijmy...

Hunter strzelił mu w pierś. Wszyscy się uchyliłi, kiedy syczący gejzer krwi zmieszanej z fragmentami kości trysnął z serca rannego. Phips upuścił kielich, który trzymał w ręku; kielich spadł na stół i stoczył się na podłogę.

Phips powiódł za nim wzrokiem. Sięgnął po niego i powiedział ochryple:

– Napijmy się, Charles...

A potem runął na stół. Krew wsiąkała w surowe drewno.

Hunter odwrócił się i wyszedł.

Kiedy ponownie znalazł się na ulicy, usłyszał bicie dzwonów w kościele Świętej Anny.

Dzwoniły bez przerwy, sygnalizując atak na Port Royal albo inne niebezpieczeństwo.

Hunter wiedział, że dzwony mogły oznaczać tylko jedno – odkryto jego ucieczkę z więzienia Marshallsea.

Wcale się tym nie przejął.

\* \* \*

Levisham, sędzia Admiralicji, mieszkał za budynkiem sądu. Obudził go dźwięk dzwonów.

Przestraszony, wysłał służącego, żeby sprawdził, co się dzieje. Sługa wrócił po paru chwilach.

– Co się stało? – zapytał Levisham. – Mówże, człowieku.

Mężczyzna podniósł wzrok. To był Hunter.

– Jak to możliwe? – zapytał Levisham.

Hunter odbezpieczył broń.

– Łatwo – zapewnił.

– Powiedz, czego chcesz.

– Dobrze – zgodził się Hunter. I powiedział.

\* \* \*

Komandor porucznik Scott leżał rozwalony na kanapie w bibliotece rezydencji gubernatorskiej, pogrążony w pijackim śnie. Pan Hacklett z małżonką dawno się oddalili.

Scott ocknął się na dźwięk dzwonów i natychmiast zrozumiał, co się stało; przeraził się jak jeszcze nigdy w życiu. Po chwili jeden z wartowników wpadł do pokoju z nowiną: Hunter uciekł, wszyscy piraci znikli, a Poorman, Foster, Phips i Dodson nie żyją.

– Przyrowadź mojego konia – rozkazał Scott i pospiesznie uporządkował rozchełstane ubranie.

Wyszedł przed front rezydencji gubernatorskiej, rozejrzał się uważnie dookoła i wskoczył na ogiera.

Kilka chwil później został ściągnięty z konia i brutalnie rzucony na bruk zaledwie sto jardów od rezydencji. Oddział opryszków prowadzony przez Richardsa, służącego gubernatora – pod dowództwem tego łajdaka Huntera – zakuł go w kajdany i odprowadził do Marshallsea.

Gdzie Scott miał oczekiwać na proces: co za bezczelni bandyci!

\* \* \*

Hacklett zbudził się na dźwięk dzwonów i również odgadł ich znaczenie. Wyskoczył z łóżka, nie zwracając uwagi na żonę, która przeleżała bezsennie całą noc, wpatrując się w sufit i słuchając pijackiego chrapania męża. Cierpiała zarówno fizycznie, jak z powodu upokorzenia.

Hacklett podszedł do drzwi komnaty i zawołał Richardsa.

– Co się stało?

– Hunter uciekł – wyjaśnił beznamiętnie Richards. – Dodson, Poorman i Phips nie żyją, może nie tylko oni.

– I ten człowiek wciąż jest na wolności?

– Nie wiem – odparł Richards, świadomie zapominając dodać: „wasza ekscelencjo”.

– Dobry Boże – powiedział Hacklett. – Zarygluj drzwi. Wezwij straż. Zawiadom komandora Scotta.

– Komandor Scott wyszedł kilka minut temu.

– Wyszedł? Dobry Boże!

Hacklett zatrzasnął drzwi sypialni i przekręcił klucz w zamku. Zawrócił do łóżka.

– Dobry Boże – wymamrotał. – Dobry Boże, ten pirat wymorduje nas wszystkich.

– Nie wszystkich – odparła jego żona, mierząc do niego z pistoletu.

Hacklett miał przy łóżku parę naładowanych pistoletów, a teraz żona trzymała po jednym w każdej ręce i celowała w jego stronę.

– Emily – powiedział Hacklett – nie bądź głupia. To nie pora na twoje fochy, ten człowiek to bezwzględny zabójca.

– Nie zbliżaj się – ostrzegła.

Zawahał się.

– Żartujesz.

– Nie.

Hacklett popatrzył na żonę i pistolety w jej rękach. Nie miał wielkiej wprawy w posługiwaniu się bronią ale ze skromnego doświadczenia wiedział, że bardzo trudno jest trafić z pistoletu.

Czuł nie tyle strach, ile irytację.

– Emily, robisz z siebie przeklętą idiotkę.

– Stój – rozkazała.

– Emily, jesteś kurwą, ale założę się, że nie jesteś morderczynią i muszę...

Wystrzeliła z jednego pistoletu. Pokój napełnił się dymem. Hacklett krzyknął głośno z przerażenia i upłynęło kilka chwil, zanim zarówno mąż, jak i żona zrozumieli, że spudłowała.

Hacklett roześmiał się, głównie z ulgi.

– Jak widzisz – powiedział – to nie takie proste. Teraz oddaj mi pistolet, Emily.

Podszedł całkiem blisko, zanim strzeliła ponownie i trafiła go w pachwinę. Impet nie był zbyt silny. Hacklett utrzymał się na nogach. Zrobił jeszcze jeden

krok. Stał teraz tak blisko, że niemal mógł dotknąć żony.

– Zawsze cię nienawidziłem – oznajmił konwersacyjnym tonem. – Od pierwszego dnia, kiedy cię spotkałem. Pamiętasz? Powiedziałem do ciebie: „Dzień dobry, pani”, a ty powiedziałaś...

Dostał ataku kaszlu i upadł na podłogę, zgięty wpół z bólu. Krew sączyła się teraz spod jego paska.

– Powiedziałaś do mnie... – wyrzeźił. – Powiedziałaś... Och, przekleństwo na twoje czarne oczy, kobieto... boli... powiedziałaś do mnie...

Kołysał się z rękami przyciśniętymi do podbrzusza, z twarzą wykrzywioną z bólu, z zaciśniętymi powiekami, i pojękiwał w tym samym rytmie:

– Aaa... aaa... aaa...

Pani Hacklett wyprostowała się i upuściła pistolet. Broń upadła na prześcieradło, tak gorąca, że wypaliła odcisk lufy na tkaninie. Pani Hacklett szybko strąciła pistolet na podłogę. Potem znowu spojrzała na męża. Wciąż się kołysał, wciąż jęczał, a potem nagle podniósł na nią wzrok.

– Skończ to – syknął przez zaciśnięte zęby.

Pokręciła głową. Komory były puste; nie wiedziała, jak ponownie naładować pistolety, nawet gdyby miała proch i kule.

– Skończ to – powtórzył.

Targały nią sprzeczne uczucia. Widząc, że on nie umrze szybko, podeszła do nocnego stolika i nałala kieliszek bordo. Uniosła mężowi głowę i pomogła się napić. Wypił trochę, a potem owładnęła nim furia i z zadziwiającą siłą odepchnął ją zakrwawioną ręką. Upadła do tyłu, na jej koszuli nocnej został czerwony odcisk dłoni.

– Przeklęta królewska dziwka – szepnął Hacklett i znowu zaczął się kołysać.

Pochłonięty własnym bólem, jakby zapomniał o obecności żony. Pani Hacklett wstała, nałala sobie kieliszek i patrzyła na męża, sącząc wino.

Ciągle jeszcze tak stała, kiedy pół godziny później do pokoju wszedł Hunter. Hacklett żył, ale zrobił się całkiem szary i prawie się nie ruszał, tylko od czasu do czasu drgał spazmatycznie.

Leżał w ogromnej kałuży krwi.

Hunter wyjął pistolet i ruszył w stronę Hackletta.

– Nie! – zawołała.

Zawahał się i odstąpił.

– Dziękuję ci za tę łaskę – powiedziała pani Hacklett.

# Rozdział 37

Dwudziestego trzeciego października 1665 roku wyrok na Charlesa Huntera i jego załogę za zbrodnię piractwa został w trybie doraźnym unieważniony przez Levishama, sędziego Admiralicji, na zamkniętej sesji z sir Jamesem Almontem, świeżo przywróconym na stanowisko gubernatora kolonii Jamajka.

Na tej samej sesji komandor porucznik Edwin Scott, dowódca garnizonu w Fort Charles, został oskarżony o zdradę stanu i skazany na powieszenie następnego dnia. W zamian za obietnicę złagodzenia kary uzyskano od niego pisemne przyznanie się do winy. Jak tylko list został napisany, nieznany oficer zastrzelił Scotta w jego celi w Fort Charles. Oficera nigdy nie złapano.

Dla kapitana Huntera, obecnie najpopularniejszego człowieka w mieście, pozostał jeden ostami problem: Andre Sanson. Francuz zniknął bez śladu i powiadano, że uciekł w góry w głębi wyspy. Hunter rozgłosił, że dobrze zapłaci za każdą wiadomość o Sansonie, i przed końcem popołudnia otrzymał zadziwiający meldunek.

Hunter oficjalnie stanął na kwaterze Pod Czarnym Dzikim i wkrótce zgłosiła się do niego ordynarna starucha. Hunter ją znał: nazywała się Simmons i prowadziła burdel. Podeszła do niego nerwowo.

– Mówże, kobieto – zachęcił ją i zawołał o szklanę kill-devil, żeby uśmierzyć jej obawy.

– No więc, panie – zaczęła, popijając trunek – tydzień temu jeden człowiek nazwiskiem Carter zjawił się w Port Royal, ciężko chory.

– Czy to marynarz John Carter?

– Ten sam.

– Mów dalej – ponaglił Hunter.



– Opowiadał, że zabrał go angielski statek pocztowy z St. Kitts. Zauważyli ogień na małej niezamieszkaney wysepce, zatrzymali się, żeby sprawdzić, i znaleźli tego rozbitka Cartera, więc go zabrali.

– Gdzie on jest teraz?

– Och, uciekł. Bał się spotkania z Sansonem, tym francuskim łajdakiem. Teraz jest w górach, ale opowiedział mi swoją historię, a jakże.

– Czyli co? – zapytał Hunter.

Starucha szybko opowiedziała historię marynarza. Carter był na pokładzie słupu *Kasandra*, dowodzonego przez Sansona i wiozącego część skarbu z galeonu. Dopadł ich gwałtowny huragan i statek rozbił się na wewnętrznej rafie jakiejś wyspy. Większość załogi zginęła.

Sanson zebrał pozostałych i wydobył z wraku skarb, który kazał zakopać na wyspie. Potem zbudowali szalupę ze szczątków rozbitego słupu.

A potem, mówił Carter, Sanson zabił wszystkich – dwunastu mężczyzn – i odpłynął sam.

Carter był ciężko ranny, ale jakimś cudem przeżył i wrócił do domu, żeby opowiedzieć swoją historię. Powiedział jeszcze, że nie zna nazwy wyspy ani dokładnego miejsca ukrycia skarbu, ale Sanson wyrył mapę na monecie, którą potem zawiesił sobie na szyi.

Hunter w milczeniu wysłuchał opowieści, podziękował kobiecie i dał jej monetę za fatygę.

Teraz jeszcze bardziej chciał znaleźć Sansona. Siedział w tawernie Pod Czarnym Dzikim i cierpliwie wysłuchiwał wszystkich plotek o miejscu pobytu Francuza. Usłyszał co najmniej tuzin wersji. Sanson popłynął do Port Morant. Sanson uciekł na Inaguę. Sanson ukrył się w górach.

Kiedy wreszcie prawda wyszła na jaw, całkiem go zaskoczyła. Enders wpadł do tawerny.

– Kapitanie, on jest na pokładzie galeonu!

– Co?

– Tak, kapitanie. Sześciu z nas pełniło wachtę; zabił dwóch, a czterech odesłał w łodzi, żeby ci powiedzieli.

– Co powiedzieli?

– Albo zapewnisz mu ułaskawienie i otwarcie zaniechasz z nim zwady, albo zatopi statek, kapitanie. Zatopi go na kotwicy. Musi dostać twoją odpowiedź przed nocą, kapitanie.

Hunter zaklął. Podszedł do okna tawerny i wyjrzał na zatokę. *El Trinidad* przesuwał się lekko na kotwicy, ale stał z dala od brzegu, na głębokiej wodzie – zbyt głębokiej, żeby wyratować cokolwiek ze skarbu, gdyby statek zatonął.

– On jest diabelnie sprytny – powiedział Enders.

– W istocie – przyświadczył Hunter.

– Czy dasz odpowiedź?

– Nie teraz – odparł Hunter. Odwrócił się od okna. – Czy on jest sam na statku?

– Tak, jeśli to jakaś różnica.

W otwartej walce jeden Sanson był wart tuzina albo więcej mężczyzn.

Galeon ze skarbami kotwiczył w oddaleniu od wszystkich innych statków w zatoce; niemal pół mili otwartej wody otaczało go ze wszystkich stron. Stał w majestatycznym odosobnieniu.

– Muszę pomyśleć – powiedział Hunter i znowu usiadł.

\* \* \*

Statek zakotwiczony na otwartych, spokojnych wodach był równie bezpieczny jak forteca otoczona fosą. A Sanson zastosował jeszcze dodatkowe środki ostrożności: wyrzucił śmiecie i wylał pomyje za burtę ze wszystkich stron statku, żeby przyciągnąć rekiny. W zatoce i tak było mnóstwo rekinów, toteż próba przedostania się wpław na *El Trinidad* oznaczałaby samobójstwo.

Również żadna łódź nie mogła niepostrzeżenie zbliżyć się do statku.

Zatem należało podpłynąć jawnie, sprawiając nieszkodliwe wrażenie. Ale w otwartej szalupie nie było gdzie się ukryć. Hunter podrapał się w głowę. Chodził po korytarzu tawerny, a potem, wciąż niespokojny, wyszedł na ulicę.

Tam zobaczył człowieka–fontannę, kuglarza z rodzaju pospolitego w tamtych czasach, z którego ust tryskały strumienie kolorowej wody. W kolonii Massachusetts sztuczki magiczne były zakazane, jako sprzyjające działalności

diabła, ale dla Huntera zawsze były dziwnie fascynujące.

Przez chwilę obserwował człowieka–fontannę, który pił i wypluwał różne rodzaje wody jeden za drugim. Wreszcie podszedł do niego.

– Chcę poznać twoje sekrety.

– Wiele pięknych dam na dworze króla Karola mówiło to samo i ofiarowało więcej od ciebie.

– Ofiaruję ci twoje życie – oświadczył Hunter i przycisnął naładowany pistolet do twarzy magika.

– Nie zastraszysz mnie – zaprotestował człowiek–fontanna.

– Chyba jednak tak.

I wkrótce znalazł się w namiocie magika, gdzie poznał szczegóły jego sztuczek.

– Rzeczy nie są takie, jakie się wydają – oznajmił kuglarz.

– Pokaż mi – zażądał Hunter.

Magik wyjaśnił, że przed występem połykał pigułkę sporządzoną z żółci jałówki i prażonej mąki pszennej.

– To mi oczyszcza żołądek, rozumiesz.

, – Rozumiem. Mów dalej.

– Następnie biorę miksturę z orzechów brazylijskich gotowanych w wodzie, aż nabierze ciemnoczerwonej barwy. Połykam ją przed pracą.

– Dalej.

– Potem płuczę szklanki białym octem.

– Dalej.

– A niektórych nie płuczę.

– Dalej.

Potem, wyjaśnił człowiek–fontanna, wypijał wodę z czystych szklanek i zwracał zawartość żołądka, napełniając szklanki jasnoczerwonym „winem”. W innych szklankach, pokrytych warstewką octu, ten sam płyn przybierał ciemnobrązową barwę i stawał się „piwem”.

Picie i zwracanie większej ilości wody skutkowało rozjaśnieniem czerwonej barwy i taki płyn nazywał się „sherry”.

– Na tym polega cały trik – wyjaśnił magik. – Rzeczy nie są takie, jakie się

wydają, i tyle. – Westchnął. – Chodzi tylko o skierowanie uwagi w niewłaściwą stronę.

Hunter podziękował mu i poszedł poszukać Endersa.

\* \* \*

– Czy znasz kobietę, która umożliwiła nam ucieczkę z Marshallsea?

– Nazywa się Anne Sharpe.

– Znajdź ją – polecił Hunter. – I zbierz załogę szalupy, sześciu najlepszych ludzi.

– Po co, kapitanie?

– Złożymy wizytę Sansonowi.

# Rozdział 38

Andre Sanson, groźny francuski zabójca, nie przywykł do uczucia strachu i rzeczywiście nie bał się, kiedy dostrzegł szalupę odbijającą od brzegu. Uważnie obserwował łódź; z daleka widział sześciu wioślarzy i dwie osoby siedzące na dziobie, ale nie mógł ich rozpoznać.

Spodziewał się jakiegoś fortelu. Ten Anglik Hunter był przebiegły i nie omieszkałby wykorzystać swojego sprytu. Sanson zdawał sobie sprawę, że pod tym względem nie dorównuje Hunterowi. Posiadał zdolności bardziej zwierzęce, o bardziej fizycznym charakterze. A jednak miał pewność, że Hunter nie zdoła go podejść. Po prostu to niemożliwe. Sanson był sam na tym statku i zamierzał tu bezpiecznie pozostać, aż zapadnie noc. Ale o zmierzchu odzyska wolność albo zniszczy statek.

Wiedział, że Hunter nigdy nie pozwoli na zatopienie galeonu. Zbyt długo walczył i zbyt wiele wycierpiał dla tego skarbu. Zrobi wszystko, żeby go zatrzymać – nawet puści wolno Sansona. Francuz był pewny siebie.

Zerknął na łódź. Kiedy podpłynęła bliżej, zobaczył, że na dziobie stał sam Hunter z jakąś kobietą. Co to miało znaczyć? Głowa go bolała od zgadywania, co też Hunter zaplanował.

W końcu jednak zadowolił się zapewnieniem, że żadne podstępny nie wchodzi w grę. Hunter był sprytny, ale spryt ma swoje granice. Hunter musiał sobie zdawać sprawę, że nawet z daleka można go sprzątnąć równie szybko i łatwo, jak się strzepuje muchę z rękawa. Sanson mógł go zabić teraz, gdyby chciał. Ale nie miał powodu. Pragnął tylko wolności i uniewinnienia. Do tego potrzebował Huntera żywego.

Szalupa podpłynęła bliżej i Hunter pomachał wesoło.

– Sanson, ty francuska świnio! – zawołał.

Sanson też pomachał, szczerząc zęby.

– Hunter, ty angielska zarazo owiec! – krzyknął, siląc się na jowialny ton. Napięcie, które odczuwał, jeszcze bardziej wzrosło, kiedy zobaczył, jak swobodnie zachowuje się Hunter.

Szalupa przybiła do kadłuba *El Trinidad*a. Sanson wychylił się lekko, żeby pokazać przybyszom kuszę. Wolał jednak nie wychylać się zanadto, chociaż bardzo chciał zajrzeć do łodzi.

– Po co przyplynałeś, Hunter?

– Przywiozłem ci prezent. Możemy wejść na pokład?

– Tylko wy dwoje – powiedział Sanson i odsunął się od relingu.

Szybko przebiegł na przeciwną stronę pokładu, żeby sprawdzić, czy z przeciwka nie podpływa druga szalupa. Zobaczył tylko spokojną wodę, którą rozcinały płetwy krążących rekinów.

Odwrócił się i słuchał, jak dwoje ludzi wdrapuje się po burcie statku. Wycelował kuszę, kiedy pojawiła się kobieta. Była młoda i diabelnie ładna. Obdarzyła go niemal nieśmiałym uśmiechem i odsunęła się na bok, żeby zrobić miejsce dla Huntera. Hunter wszedł na pokład i spojrzał na Sansona, który stał w odległości dwudziestu kroków, z kuszą w rękach.

– Niezbyt gościnne powitanie – odezwał się Hunter.

– Musisz mi wybaczyć – odparł Sanson. Popatrzył na dziewczynę i znowu przeniósł wzrok na Huntera. – Załatwiłeś, żeby spełniono moje żądania?

– Właśnie to robię, nawet w tej chwili. Sir James sporządza dokumenty, które zostaną dostarczone za kilka godzin.

– A znaczenie tej wizyty?

Hunter zaśmiał się krótko.

– Sanson – powiedział – wiesz, że jestem człowiekiem praktycznym. Ty masz wszystkie atuty. Muszę się zgodzić na twoje warunki. Tym razem okazałeś się za sprytny, nawet dla mnie.

– Wiem – przyznał Sanson.

– Pewnego dnia – ciągnął Hunter i jego oczy się zwęziły – znajdę cię i zabiję. To ci obiecuję. Ale na razie wygrałeś.

– To jakiś podstęp – stwierdził Sanson, który nagle uświadomił sobie, że

coś jest nie tak.

– Żaden podstęp – zapewnił Hunter. – Tortura.

– Tortura?

– Owszem. Rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają. Przywiozłem ci tę kobietę, żebyś mógł spędzić popołudnie na przyjemnych zajęciach. Z pewnością przyznasz, że jest czarująca... jak na Angielkę. Zostawię ją tutaj dla ciebie. – Roześmiał się. – Jeśli się odważysz.

Teraz Sanson się roześmiał.

– Hunter, ty diabli pomocię. Nie mogę wziąć tej kobiety, bo wtedy przestanę się pilnować, tak?

– Niech jej angielska piękność przyprawi cię o męczarnie – wyrecytował Hunter.

Potem skłonił się lekko i wspiał na burzę. Sanson usłyszał łomotanie stóp o kadłub statku, a potem końcowy łomot, kiedy Hunter wylądował w szalupie.

Słyszał, jak Hunter rozkazuje odbijać, słyszał plusk wiosł.

To jakiś podstęp, pomyślał. Jakiś chytry podstęp. Spojrzał na kobietę: z pewnością jest uzbrojona.

– Połóż się – warknął ostro.

Spojrzała zmieszana.

– Kładź się! – rozkazał i tupnął nogą w pokład.

Położyła się na pokładzie, a on podszedł ostrożnie i obszukał ją. Nie miała broni. A jednak czuł, że to podstęp.

Podszedł do relingu i spojrział na szalupę, płynącą szybko do brzegu. Hunter siedział na dziobie, zwrócony twarzą w stronę lądu, nie oglądając się za siebie. Policzył wiosłarzy: sześciu. Wszystko się zgadza.

– Czy mogę wstać? – zapytała dziewczyna z chichotem.

Odwrócił się do niej.

– Tak, wstań – powiedział.

Podniosła się i poprawiła ubranie.

– Podobam ci się?

– Jak na angielską świnię, jesteś ładna – odparł szorstko.

Bez słowa zaczęła się rozbierać.

– Co ty robisz? – zdziwił się.

– Kapitan Hunter mówił, że mam zdjąć ubranie.

– No więc ja ci mówię, żebyś nie zdejmowała – burknął Sanson. – Od tej chwili masz robić, co ci każę.

Rozejrzał się dookoła po horyzoncie. Nie zobaczył nic oprócz odpływającej szalupy.

To na pewno podstęp, pomyślał. Na pewno.

Odwrócił się i znowu spojrzął na dziewczynę. Oblizła wargi, urocze stworzenie. Gdzie mógł ją wziąć? Gdzie byłby bezpieczny? Potem zorientował się, że gdyby weszli na kasztel rufowy, mógłby się rozglądać na wszystkie strony i jednocześnie zażywać przyjemności z angielską kurwą.

– Ciągle mam przewagę nad kapitanem Hunterem – oświadczył – i nad tobą.

I pogonił ją na kasztel rufowy. Kilka minut później spotkała go następna niespodzianka – ta skromna istotka okazała się ognistą, namiętą diablicą, która krzyczała, jęczała i drapała, ku wielkiej satysfakcji Sansona.

– Jesteś taki duży! – dyszała. – Nie wiedziałam, że Francuzi są tacy ogromni!

Jej paznokcie boleśnie orały mu plecy. Był szczęśliwy.

Nie byłby taki szczęśliwy, gdyby wiedział, że jej okrzyki rozkoszy – za które sownie jej zapłacono – stanowiły sygnał dla Huntera, który wisiał tuż nad linią wodną, uczepiony sznurowej drabinki, i obserwował blade sylwetki rekinów przemykające pod jego stopami.

Hunter wisiał tam, odkąd szalupa odpłynęła. Na dziobie wiozła kukłę, przedtem schowaną pod plandeką i ustawioną, kiedy Hunter przebywał na pokładzie statku.

Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak Hunter zaplanował. Sanson nie odważył się zbyt dociekliwie zaglądać do szalupy, a kiedy odbijała, zajmował się akurat obszukiwaniem dziewczyny. Zanim wreszcie rzucił okiem na łódź, zdążyła odpłynąć tak daleko, że kukła na dziobie wyglądała dostatecznie przekonująco. Gdyby wtedy spojrzął prosto w dół, zobaczyłby Huntera dyndającego na drabince. Ale nie miał powodu, żeby patrzeć w dół – a poza tym dziewczynie przykazano,



żeby jak najszybciej odwróciła jego uwagę.

Hunter czekał przez wiele minut, zanim usłyszał jej namiętne krzyki. Dochodziły z kasztelu rufowego, jak się spodziewał.

Ostrożnie wspiał się do furty działowej i wśliznął się pod pokład *El Trinidad*.

Hunter był nieuzbrojony, więc przede wszystkim musiał znaleźć broń. Przeszedł do zbrojowni, skąd zabrał krótki sztylet oraz parę pistoletów. Naładował pistolety i starannie upchnął przybitki. Potem wziął kuszę, naciągnął i założył bełt. Dopiero wtedy wszedł po schodni na główny pokład. Tam przystanął.

Spojrzał na rufę i zobaczył Sansona stojącego obok dziewczyny. Poprawiała ubranie; Francuz lustrował horyzont. Poświęcił na rozpustę tylko kilka minut, ale te minuty okazały się fatalne.

Hunter patrzył, jak Francuz schodzi na śródokręcie i przemierza pokład. Wyjrzał za jedną burtę, potem za drugą.

A potem przystanął.

Znowu spojrzał.

Hunter wiedział, co tamten zobaczył. Zobaczył nieregularny wzór mokrych śladów na kadłubie, pozostawionych przez Huntera, kiedy wspinał się po boku statku do furty działowej.

Sanson obrócił się na pięcie.

– Ty dziwko! – krzyknął i strzelił z kuszy do dziewczyny, wciąż stojącej na kasztelu.

W pośpiechu chybił; dziewczyna wrzasnęła i zbiegła na dół. Sanson ruszył za nią, potem chyba się rozmyślił. Przystanął i ponownie załadował kuszę. Potem czekał, nasłuchując.

Rozległ się tupot nóg dziewczyny, potem trzasnęły zamykane drzwi grodzi. Hunter domyślił się, że zamknęła się w jednej z kabin rufowych. Chwilowo była tam bezpieczna.

Sanson przeszedł na środek pokładu i stanął przy grotmaszcie.

– Hunter! – zawołał. – Hunter, wiem, że tu jesteś.

I wybuchnął śmiechem.

Na razie miał przewagę. Stał przy maszcie, poza zasięgiem strzału z

pistoletu z każdej strony, i czekał. Ostrożnie okrążył maszt, obracając głowę powolnymi, miarowymi ruchami. Był idealnie czujny, idealnie skupiony. Przygotowany na każdą taktykę.

Hunter postąpił nielogicznie: dał ognia z obu pistoletów. Jedna kula odłupała parę drzazg z grotmasztu, druga trafiła Sansona w ramię. Francuz stęknął, ale prawie nie zwrócił uwagi na ranę. Okręcił się i strzelił z kuszy. Bełt świsnął obok Huntera i wbił się w drewno zejściówki.

Hunter zbiegł na dół po schodach. Słyszał, że Sanson go ściga. Kątem oka dostrzegł przeciwnika szarżującego z pistoletami w obu rękach.

Hunter skoczył za drabinkę zejściówki i wstrzymał oddech. Sanson zbiegł po stopniach prosto nad jego głową. Kiedy stanął na pokładzie działowym, odwrócony plecami do Huntera, ten odezwał się zimnym głosem:

– Nie ruszaj się.

Sanson nie posłuchał. Okręcił się i strzelił z obu pistoletów.

Kule świsnęły nad głową Huntera, który wcześniej przykucnął. Teraz wyprostował się, trzymając kuszę w pogotowiu.

– Rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają – powiedział.

Sanson uśmiechnął się, podnosząc ręce.

– Hunter, przyjacielu. Jestem bezbronny.

– Wejdz na górę – rozkazał Hunter beznamiętnym tonem.

Sanson zaczął się wspinać po stopniach, wciąż trzymając uniesione ręce. U pasa miał sztylet. Zaczął opuszczać lewą rękę w kierunku broni.

– Nie rób tego.

Lewa ręka zamarła.

– Na górę.

Sanson ruszył dalej.

– Jeszcze cię dostanę, przyjacielu – powiedział.

– Dostaniesz tylko strzałę w zadek – obiecał Hunter.

Obaj mężczyźni wyszli na główny pokład. Sanson cofnął się w stronę masztu.

– Musimy porozmawiać. Musimy zachować rozsądek.

– Dlaczego? – zapytał Hunter.

– Bo ukryłem połowę skarbu. Popatrz. – Sanson obrócił w palcach złotą monetę, którą nosił na szyi. – Tutaj zaznaczyłem miejsce, gdzie leży skarb. Skarb z *Kasandry*. To cię nie interesuje?

– Interesuje.

– No więc. Mamy powód, żeby negocjować.

– Próbowałeś mnie zabić – powiedział Hunter, trzymając kuszę nieruchomo.

– Nie próbowałbyś tego samego na moim miejscu?

– Nie.

– Właśnie że tak – oświadczył Sanson. – Jeszcze masz czelność zaprzeczać.

– Może i tak – przyznał Hunter.

– Wiem, że mnie nienawidzisz.

– Nie zwróciłbym się przeciwko tobie.

– Owszem, gdybyś mógł.

– Nie – zapewnił Hunter – mam swój honor...

W tej samej chwili za jego plecami kobiecy głos pisnął:

– Och, Charles, dopadłeś go...

Hunter odwrócił się lekko, żeby spojrzeć na Anne Sharpe, i wtedy Sanson zaatakował.

Hunter odruchowo strzelił. Bełt ze świstem wyskoczył z kuszy. Przemknął nad pokładem, trafił Sansona w pierś, uniósł go w powietrze i przyspilił do grotmasztu. Francuz zawisnął, drgając i machając ramionami.

– Zrobiłeś mi krzywdę – wyrzucił przez krew kapiącą mu z ust.

– Wymierzyłem sprawiedliwość – odparł Hunter.

Potem Sanson umarł, głowa opadła mu na pierś. Hunter wyszarpnął bełt i ciało osunęło się na pokład. Zerwał z szyi Sansona złotą monetę, na której wryto mapę skarbu. Anne Sharpe patrzyła, zakrywając ręką usta, jak Hunter zawlókł ciało do burty i zepchnął do morza.

Przez chwilę unosiło się na powierzchni.

Rekiny okręzały je nieufnie. Potem jeden podpłynął, szturchnął ciało, oderwał kawałek.

Później następny i następny; woda się wzburzyła i zabarwiła krwią. Po kilku chwilach czerwona piana znikła, powierzchnia się uspokoiła i Hunter odwrócił wzrok.

# Epilog

Jak podaje Charles Hunter w swoich pamiętnikach *Życie wśród korsarzy z Morza Karaibskiego*, przez cały rok 1666 szukał skarbu Sansona, ale go nie znalazł. Na złotej monecie nie wydrapano żadnej mapy, tylko szereg dziwacznych trójkątów i cyfr, których Hunter nigdy nie zdołał rozszyfrować.

Sir James Almont wrócił do Anglii ze swoją bratanicą, lady Sarah Almont. Oboje zginęli w wielkim pożarze Londynu w 1666 roku.

Pani Robertowa Hacklett mieszkała w Port Royal do 1686 roku, kiedy zmarła na syfilis. Jej syn Edgar został zamożnym kupcem w kolonii Karolina. Z kolei jego syn, James Charles Hacklett Hunter, był gubernatorem kolonii Karolina w 1777 roku, kiedy to nalegał, żeby kolonia sprzymierzyła się z buntownikami z północy przeciwko angielskiej armii stacjonującej w Bostonie pod dowództwem generała Howe'a.

Pani Anne Sharpe wróciła do Anglii w 1671 roku jako aktorka; wtedy role kobiece nie były już grane przez chłopców, jak wcześniej w tamtym świecie. Pani Sharpe została drugą najślawniejszą kobietą z Indii Zachodnich w całej Europie (najślawniejsza była oczywiście madame de Maintenon, kochanka Ludwika XIV, urodzona na Gwadelupie). Anne Sharpe zmarła w 1704 roku, po długim życiu, które sama określała jako „rozkosznie rozwiązłe”.

Enders, wilk morski i cyrulik, przyłączył się do ekspedycji Mandeville'a na Campeche w 1668 roku i zginął podczas sztormu.

Maur Bassa zginął w 1669 roku podczas ataku Henry'ego Morgana na Panamę. Stratował go byk, jeden z wielu, które wypuścili Hiszpanie, żeby chronić miasto.

Żyd don Diego mieszkał w Port Royal do 1692 roku, kiedy w podeszłym wieku zginął podczas trzęsienia ziemi, które unicestwiło na zawsze „grzeszne

miasto”.

Lazue została schwytana i powieszona za piractwo w Charlestonie w Karolinie Południowej w 1704 roku. Podobno była kochanką Czarnobrodego.

Charles Hunter, ze zdrowiem nadszarpniętym przez malarię podczas poszukiwań skarbu Sansona, wrócił do Anglii w 1669 roku. W międzyczasie atak na Matanceros uznano za polityczną kompromitację i Hunter nigdy nie został przyjęty przez Karola II ani nie otrzymał żadnych zaszczytów. Zmarł na zapalenie płuc w 1670 roku w wiejskim domu w Tunbridge Wells, zostawiając po sobie skromny majątek oraz notatnik, który przechowywano w Cambridge, w Kolegium Trójcy Świętej. Jego zapiski nadal istnieją, podobnie jak jego grób na cmentarzu kościoła Świętego Antoniego w Tunbridge Wells. Napis na kamieniu nagrobnym zatarł się niemal całkowicie, ale wciąż daje się odczytać:

SPOCZYNEK ZNALAZŁ TU

CHARLES HUNTER, KAPITAN

1627 – 1670

PRAWDZIWY ŁOWCA PRZYGÓD I ŻEGLARZ

SZCZERY PATRIOTA

NOWEGO ŚWIATA

VINCIT